

• POLSKĄ ARMİĘ DUSZA
starzy generałowie

• NASZE KLĘSKI W IRAKU
TO NIE PRZYPADEK

BIL GATES

FILM
W ŚRODKU!

PRZE KROJ

Nr 06 / 3059 •

8 lutego 2004 •

cena 4,50 zł •

/w tym 7% VAT/

Czy
telewizja
przestanie
KŁAMAĆ?
- rozmowa
z nowym
prezesem TVP
JANEM
DWORAKIEM
s. 46

seks nas

MEDYCYNĄ
ODKRYWA
SWOJEGO
NAJWIĘKSZEGO
SOJUSZNIKA!

s. 26

ULECZY

ISSN 0033-2488
06
9 1770033 248045

Masz objawy przeziębienia? Objawy grypy?
Gorączka, dreszcze, bóle mięśni, bóle głowy...



natychmiast
Oscillo!

- **Zapobiega** rozwinięciu się pierwszych objawów przeziębienia i grypy.
- **Usuwa i łagodzi** objawy infekcji.
- **Bezpieczny** i dobrze tolerowany.
- **Może być stosowany u dzieci i kobiet w ciąży.**



LABORATOIRES
BOIRON

Boiron Sp. z o.o. ul. Kubickiego 17/29, 02-954 Warszawa, www.boiron.pl

Produkt złożony. Przed użyciem zapoznaj się z ulotką, która zawiera wskazania, przeciwwskazania, dane dotyczące działań niepożądanych i dawkowanie oraz informacje dotyczące stosowania produktu leczniczego, bądź skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą.

na Czwartek **RACZKOWSKI**



Wymyślił i narysował MAREK RACZKOWSKI

w tym tygodniu **NIE PISZEMY:**

...o **apelu** szefostwa Unii Wolności skierowanym do Platformy Obywatelskiej i Prawa i Sprawiedliwości z propozycją tróstronnych rozmów, mających przynieść odpowiedzi na „najważniejsze pytania” (finanse państwa, korupcja, ratowanie i takie tam różne). Bo uważamy, że chęć podłączenia się do pociągu jadącego do stacji Władza to jednak nie to samo, co wyjście z tramwaju Socjalizm na stacji Niepodległość.

...o **wybraniu** Jerzego Jaskierni na szefa świętokrzyskiego SLD. Byśmy musieli się oburzać i to by było takie banalne...

...o **propozycji** byłego już szefa SLD w Świętokrzyskiem Włodzimierza Wójcika, żeby przy każdym biurze poselskim lub

senatorskim w regionie powstał punkt „pomocy i dobrej rady” dla obywateli, gdyż jego zdaniem dla poprawy nadwątlonego wizerunku partii konieczne jest, by działacze SLD „wyszli do ludzi i byli bliżej ich problemów”. Bo z komunistycznym stylem myślenia jest jak w starym spostrzeżeniu: chłop ze wsi może wyjść, ale wiesz z chłopą nigdy.

...o **wiceprezydencie** Warszawy Andrzeju Urbańskim, który podjął się opieki nad urodzoną niedawno w warszawskim zoo żyrafą, co uzasadnił, mówiąc między innymi: „Żyrafa zawsze była dla mnie uosobieniem kobiecości. To z powodu jedwabistego spojrzenia przepięknych oczu”. Bo chociaż to najpożyteczniejsza rzecz, jaką zrobił dotąd

wiceprezydent stolicy, to wiemy, że zwierzątko trafiło w dobre ręce – z takim opiekunem nawet przy największej powodzi zawsze wypłynie na wierzch.

...o **zwycięstwie** marketingu nad rozsądkiem, czyli ściągnięciu do księgarni w całym kraju tysięcy fanów Harry’ego Pottera, żeby o wschodzie słońca mogli kupić piątą część jego przygód po polsku. Bo to nie tylko zwycięstwo marketingu nad rozsądkiem, lecz także dowód, że można tę książkę sprzedawać taniej.

...o **minister** Krystynie Łybackiej (tej od edukacji). Bo nie znaleźliśmy żadnej informacji, w której jej osoba odegrałaby jakąkolwiek, choćby i pozytywną, rolę.

CYTAT tygodnia

Chcę przypomnieć, że SLD historyczne sukcesy odnosiło, gdy nie miało żadnego dostępu do mediów

DANUTA WANIEK,
przewodnicząca Krajowej Rady
Radiofonii i Telewizji, o odejściu z TVP
Roberta Kwiatkowskiego



Fot. MACIEJ JĘZIOREK/FOTOFORUM

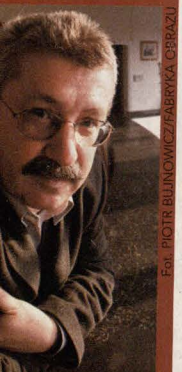


52

Dennis Rodman
znów będzie
szokował



Fot. PHOTONICA/BULLS



46

Jan Dworak
– nowy prezes
TVP

OPINIA

- 44 CHORE TWARDE JĄDRO
W Davos kraje europejskie
wytropiły hegemonów
we własnych szeregach
– Niemcy i Francję

DOKUMENT

- 40 KONTRAKTY NA PIASKU
PISANE
Bez przetargów i kontraktów
w Iraku handluje już kilka naszych
firm. To prawdziwie wolny rynek,
do grudnia nie było nawet cel

GORĄCY PROBLEM

- 36 MŁODZI ZDOLNI, W TYŁ
ZWROT!
Polską armią kieruje
dowództwo wyszkolone jeszcze
w ZSRR. Młodzi i ambitni
nie mają tam czego szukać

DOKUMENT

- 32 FLORENCKIE POTWORY
Przez 30 lat wokół Florencji
w bestialski sposób mordowano
zakochane pary. W styczniu
ujęto sprawców. Ich nazwiska
wstrząsnęły Toskanią

TEMAT NUMERU

- 26 SEKS ULECZY
Pożądanie postrzegamy jako
rodzaj magii, a to zwykła
chemia. Może nas jednak
wyleczyć nie tylko z depresji,
lecz także z raka

LUDZIE!!!

- 46 NIE PACHNIE
KWIATKOWSKIM
Za dobry na to stanowisko?
Z nowym prezesem TVP
Janem Dworakiem rozmawia
Piotr Najsttub

UWAGA! PŁYTA Z FILMEM
W PREZENCIE

- 50 SZLACHETNY RYCERZ
Z MICROSOFTU
Bill Gates dostanie tytuł
szlachecki od królowej Anglii
- 52 RODZILLA OŻYŁA
Dennis Rodman, geniusz
koszykówki, enfant terrible
Detroit Pistons i najlepszy
zbierający Chicago Bulls,
wraca do gry

- 56 ŚWIECĄ LUB SPADAJĄ

HISTORIE FIRM
I MAREK

- 58 OSIEM SZCZĘŚLIWYCH
ZNAKÓW
Toyota sprzedaje co pięć
sekund jeden nowy
samochód

- 64 ŻEBYŚ WIEDZIAŁ

MEDYCYNĄ

- 66 CHOROBA ZBYT
CZYSTYCH RĄK
Jeżeli nie jesteś na nic
uczulony, to niedługo
będziesz na marginesie
społeczeństwa

TECHNIKA

- 70 W 80 GODZIN DOOKOŁA
ŚWIATA
Samolot jak latająca bomba
– mieści tylko gigantyczny
ładunek paliwa i pilota
(ale za to milionera)

- 72 INSPEKTOR GADŻET

SPORT

- 74 KARIERA JAK SAMOBÓJ
Młodzi piłkarze nie
wytzymują tempa rozgrywek
ligowych i sięgają po używki.
Kończą kariery już jako
20-latkowie

PATRZĄC
I CZYTAJĄC

- 76 NEWTON FOTOGRAFII
Helmut Newton – gawędziarz
erotoman – umarł. Czy teraz
anioły rozbiorą się dla niego?



- 84 LISTY

- 85 TYDZIEŃ – KULTURALNIE
POLECAMY

- 86 WYDARZENIE – Grupa
trzymająca jazz

- 88 FILM – „Marzyciele”

- 90 MUZYKA – Norah Jones

- 92 KSIĄŻKI – „Bagno” Tomasza
Piątka

- 94 KOMIKS – „Kot rabina 1.
Bar Micwa”

ROZMAITOŚCI

- 96 DZIENNIK OSOBISTY
MAŚKOWSKIEJ; WINNY
BIEŃCZYK; BRALCZYK;
krzyżówka; jolka

- 98 RACZEJ RACZKOWSKI

Historia
współczesnego
świata
przypomina
historię firm
i marek.
Często one,
a nie wielcy
ludzie, kierują
naszymi losami.
W nowym cyklu
„P” przedstawia
Toyotę

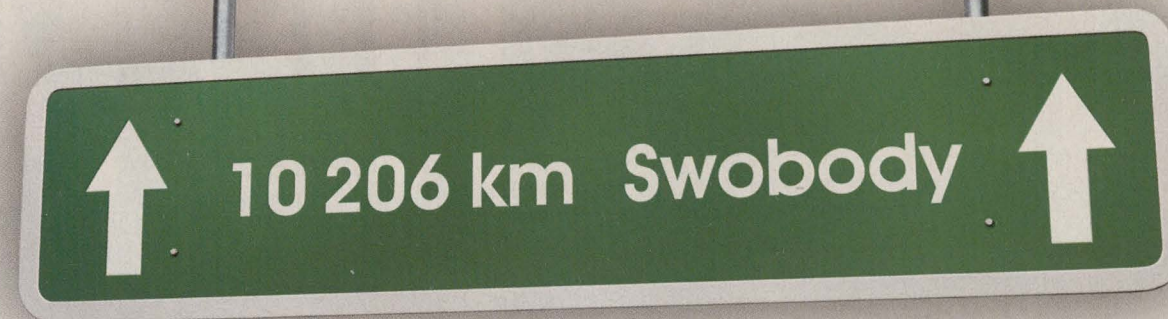
58

76

Helmut Newton
był wielkim
zbereźnikiem
fotografii

Inspektor
Gadżet

72



Nawet 10 206 km za darmo!

www.peugeot.com.pl

Peugeot 206. Błyskotliwy samochód. Bogate wnętrze, kusząca sylwetka i coś jeszcze...

Teraz dzięki specjalnemu rabatowi możesz sobie pozwolić nawet na 10 206 km jazdy ekstra!

Swobodnie! Oferta dotyczy samochodów z 2004 roku. Szczegóły w salonach Peugeot. Zapraszamy!

PEUGEOT. ZAPROJEKTOWANY, BY CIESZYĆ.

206



powiększenie

GDY KONDUKT DOTARŁ DO ALEI ZASŁUŻONYCH, ZACHMURZYŁO SIĘ I NAPIĘŁO COŚ, CO ZIMĄ PRAWIE SIĘ NIE ZDARZA – Z CHMUR DOBIEGŁ POJEDYNCZY, POTĘŻNY GRZMOT

NIE MA NIEMENA

MARCIN ZAMORSKI



Małgorzata Niemen

Tłum ludzi, którzy pojawili się na Powązkach mimo złej pogody. U góry: Małgorzata Niemen, żona zmarłego



Czesława Niemena pożegnali bliscy,
gwiazdy z jego pokolenia i wierni
fani. Atmosfera była gorąca,
choć Powązki przygotowały się
nawet na większy tłum

PRZED WMUROWANIEM URNY CÓRKA NIEMENA NATALIA ZAŚPIEWAŁA PSALM „ZOBACZYĆ CHCE NIEBO” – GŁOSEM NA GRANICY PŁACZU, ALE WYTĘŻONYM NA NIEMENOWSKĄ MODŁĘ

Księża Wiesław Niewęglowski
i Wojciech Drozdowicz
przy urnie z prochami Niemena.
Po lewej – córka piosenkarza Natalia

Południe, 30 stycznia 2004 r. W kościele świętego Karola Boromeusza krewni i przyjaciele żegnają w ostatniej drodze pewnego 88-letniego warszawskiego lekarza. Kiedy jednak po mszy żałobnicy wynoszą urnę, z pękającego w szwach kościoła prawie nikt nie wychodzi. Przecież za kwadrans w tym samym miejscu rozpocznie się pożegnanie Niemena...

GŁOS POKOLENIA

Po szumie w mediach towarzyszącym śmierci Czesława Niemena obawiano się tłumów szturmujących Stare Powązki. Miasto zmobilizowało spore siły policyjne, a rodzina zmarłego poprosiła przyjaciela Andrzeja Marca (organizator koncertów, niegdyś szef Pagartu, dziś – Andrzej Marzec Concerts) o pomoc w organizacji. Ale mas na Powązkach nie było, chociaż przed ciasnym kościołem Karola Boromeusza kłębił się tłum ludzi, którym nie udało się dostać do środka. Na zewnątrz pozostali też fotoreporterzy i ekipy filmowe, najbliżsi Czesława Niemena prosili bowiem o nierejestrowanie mszy.

Mimo bólu pożegnania i ocieranych ukradkiem łez nie było to zupełnie smutne nabożeństwo. Może dlatego, że jego prowadzenie i oprawę muzyczną powierzono animatorowi polskiej sceny gospel, dominikaninowi Andrzejowi Bujnowskiemu, który starał się, jak mógł, dodać oplakującym Niemena otuchy i nadziei. – Takie uroczystości jak ta nie powinny kojarzyć się wyłącznie ze smutkiem i powagą – mówił. – Chcemy wyrazić naszą wdzięczność Chrystusowi za to, że daje nam życie wieczne. Teraz kiedy zmarłego wśród nas nie ma, będziemy dziękować za jego osobę, za dar, jakim były jego talenty i jego charyzma.

Mniej żałobnie było również dzięki śpiewom chóru pod batutą Marcina Pospieszalskiego. Wraz z chórem śpiewała córka Niemena Eleonora. Duszpasterz środowisk twórczych ksiądz Wiesław Niewęglowski mówił w kazaniu o pokoleniowym znaczeniu twórczości Niemena: – Bóg dał mu wyjątkowy głos. Niemen podnosił go w imieniu całego pokolenia. Znamienne dla tamtych czasów były napisane przez niego słowa: „Przyszedł już czas, najwyższy czas, nawiąść zniszczyć w sobie”.

ŻEGNAŁA GO STARA GWARDIA

Niemena żegnało niemal wyłącznie jego pokolenie. W tłumie widać było Józefa Skrzeka, Halinę Frąckowiak, Wojciecha Gąssowskiego, Ewę Bem, Trubadurów czy najmłodszych chyba w tym muzycznym gronie – Korę i Grzegorza Markowskiego. Był też bodaj najpopularniejszy epigon Niemena Stan Borys. Oprócz nich dość liczna reprezentacja „starej gwardii” dziennikarstwa muzycznego, wreszcie słynny Franciszek Walicki, który na początku lat 60. zmienił Czesława Wydrzyckiego w Niemena.

Między zabytkowymi powązkowskimi pomnikami można też było zobaczyć galerię ory-

ginalnych ludzkich postaci. Największe zainteresowanie, szczególnie fotoreporterów i kamer, wzbudzali ci z transparentami, płytami, plakatami, książeczkami. – Zdjęcie może być, tylko powiedz pan, w jakiej gazecie, bo już trzech mnie dzisiaj pstrykało – instruował dziennikarzy jeden z wielbicieli piosenkarza. Mnie zaintrygował wypisz, wymaluj sobowtór Niemena, który razem z siostrą bliźniaczką trzymał transparent z cytatem z „Bema pamięci żałobnego rapsodu”. – Decyzja o tym, żeby przyjechać tu ze Szczecina, była prawie natychmiastowa, Czesław był naszym muzycznym wzorcem. Najbardziej cenimy jego wykonania poezji Herberta, Norwida, eksperymentatorski okres współpracy z Krzysztofem Nadolskim i SBB – powiedział mi „Niemen”, który nazywa się Piotr Mania i na co dzień jest pasjonującym się fotografią informatykiem.

NIEMEN OMEN

Kondukt dotarł do kolumnady przy Alei Zasłużonych, gdy nagle pogorszyła się pogoda. Zaczął niemilosiernie sypać gęsty śnieg i w pewnym momencie nastąpiło coś, co zimą prawie się nie zdarza – z chmur dobiegł pojedynczy, potężny grzmot. – Niemen omen – rzucił ktoś. Kiedy urna z prochami spoczęła w jednej z katakumb, nadszedł czas na prze-

mówienia. Oba bardzo oficjalne, ciężkie od urzędowej powagi, zza której jednak słychać było młodzieńcze fascynacje muzyką Niemena.

– Należę do pokolenia nastolatków z przełomu lat 60. i 70., które było świadkiem początku wielkiej artystycznej drogi Niemena i jego słuchaczami – mówił prezydent Warszawy Lech Kaczyński. – Za wszystko chciałbym bardzo serdecznie podziękować. Jego pamięć jako wybitnego artysty pozostanie wśród nas na wiele pokoleń.

Następny mówca – z całkiem przeciwnego bieguna politycznego – wiceminister kultury Rafał Skąpski, mówił głównie o artystycznej odmienności Niemena, która z czasem stała się wyobcowaniem: – Mówi się o Niemenie, że był artystą osobnym. To prawda – nie lubił, jak napisał Norwid, osób w ślicznie zapiętych krawatach. Chronił się w świecie muzyki, w przyjaznym królestwie dźwięków, pośród swoich instrumentów przed zawiścią, agresją i brakiem zrozumienia.

8 NA 10 PUNKTÓW

Gdy grabarze zabierali się już do murowania przepastnej katakumby, długi przejmujący psalm „Zobaczyć chcę niebo” odśpiewała druga córka zmarłego Natalia. Jej głos, chwilami wyteżony na Niemenowską modłę, zbliżał się

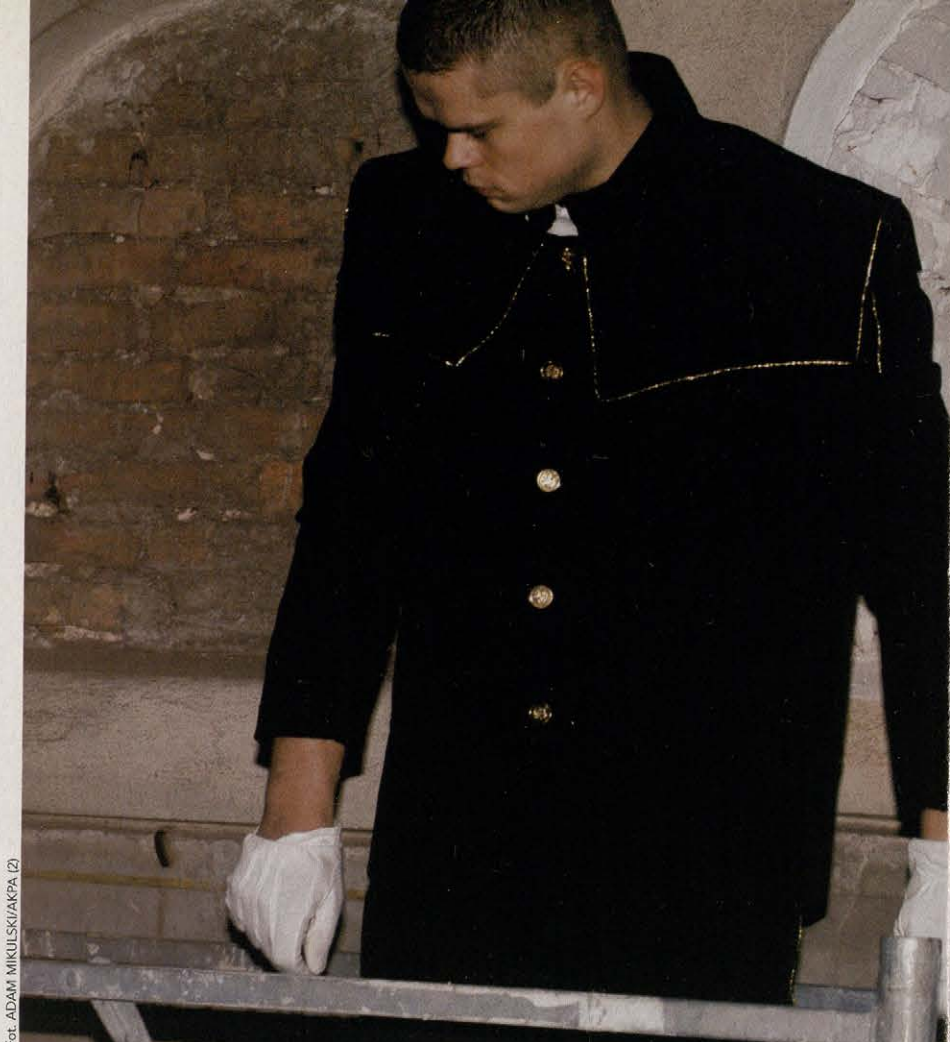
prawie do granicy placu. Tymczasem tłum żałobników z kwiatami, wieńcami i zniczami ustawiał się w długą kolumnę, która potem jeszcze przez kilka godzin miała przesuwąć się pod katakumbami. W głośnikach usłyszeliśmy wreszcie znajome dźwięki, o których jeden ze znanych muzyków powiedział, że były z całkiem innego świata – przetykane elektronicznymi brzmieniami taktu ostatniej piosenki Niemena, nagranej w 2002 roku, „Spodchmurykapelusza”.

Nie wszyscy żegnający tego dnia Niemena rozchodzili się od razu – część fanów zatrzymywała się, by porozmawiać, wymienić się adresami.

– Szczerze mówiąc, myśleliśmy, że będzie o wiele więcej ludzi – komentowała właścicielka jednego ze straganów z kwiatami na Powązkach. Największym, jaki pamięta, był tu pogrzeb Gajki Kuroń. – Nie za bardzo po-handlowaliśmy. Ludzie trochę brali, ale żadnych wieńców, tylko pojedyncze cięte kwiaty. Ale z pogrzebów muzyków to był i tak chyba jeden z największych – oceniałabym go na jakieś 8 na 10 punktów. Teraz szykujemy się na jutro, na Małachowskiego...

MARCIN ZAMORSKI

AUTOR JEST DZIENNIKARZEM CGM.PL



Fot. ADAM MIKULSKI/AKPA (2)

ARTYŚCI ŻEGNAJĄCY NIEMENA TO NIEMAL WYŁĄCZNIE STARA GWARDIA POLSKIEJ ESTRADY. WŚRÓD NAJMŁODSZYCH BYLI KORA I GRZEGORZ MARKOWSKI



Urnę z prochami na chwilę przed zamurowaniem

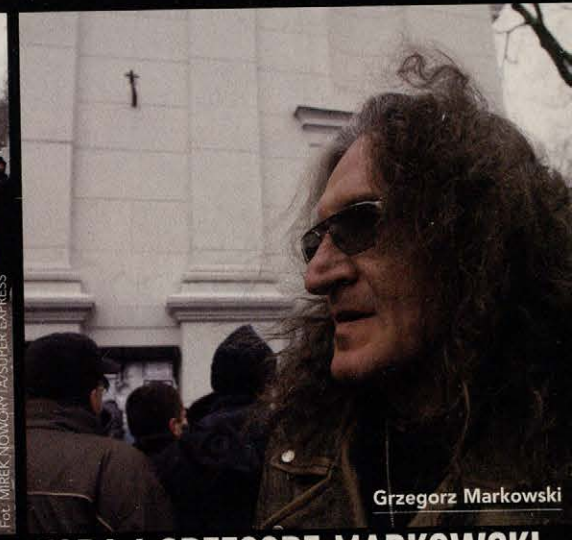


Andrzej Rosiewicz

Budka Suflera



Józef Skrzek i Wojciech Zamorski



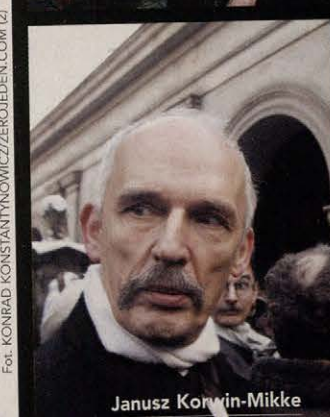
Grzegorz Markowski



Lech Kaczyński



Stan Borys



Janusz Korwin-Mikke



Jarosław Kukulski i Natalia Niemen

Fot. KONRAD KONSTANTYNOWICZ/ZEROJEDEN.COM (2)

Fot. PIOTR FOTOREPORTER

powiększenie

JOHN GALLIANO ZNALAZŁ INSPIRACJĘ DO SWOJEJ NAJNOWSZEJ KOLLEKCJI DIOIRA, LECĄC BALONEM POŁ MILI NAD EGIPSKĄ DOLINĄ KRÓLÓW, KAIREM I LUKSUSEM

Piramidalny odłoc

Galliano musi mieć jakiś szósty zmysł – wszyscy jeżdżą do Egiptu, ale tylko on zamiast sterty zdjęć przywiózł z tej podróży najlepszą kolekcję tegorocznego Paryskiego Tygodnia Mody



Wzniósł! Olśniewające! Niczego nie zabrakło!
Nawet mumii w zwojach białego jedwabiu

— FRANCUSKI „VOGUE”

To święto mody i kultury 24-karatowej!
Można powiedzieć tylko jedno: to piękne
i to sprawia, że zaczynamy marzyć

— FRANCUSKA „ELLE”

— Wyobraziłem sobie księcia Tutenchamona i Nefretete
i połączyłem ich ze zdjęciami Richarda Avedona
i Irvinga Penna — wyjaśniał Galliano po pokazie

— BRYTYJSKI „VOGUE”

Jego kostiumy były dopasowane tak dobrze jak sarkofagi.
Teraz Galliano girls szukają tylko pretekstu, by wcisnąć się
w swoją czarującą bielnię, która — jeśli jesteś elegancką
mumią — oznacza uroczy zwój bandażu. Kolekcja Diora
z pewnością okaże się nieprzebranym źródłem rozkoszy,
w którym współczesna Kleopatra z radością zanurkuje

— SARAH MOWER, STYLE.COM

Galliano w roli showmana przeszedł samego siebie. Błyszcząca od gwiazd
widownia zaniemówiła po pokazie. A Elizabeth Taylor w swojej słynnej roli
Kleopatry z 1963 roku wygląda teraz jak wieśniaczka nad brzegiem Nilu.
Pokaz był jednocześnie fenomenalny i niepokojący. Należy delektować się
tym momentem, bo jest mało prawdopodobne, że świat mody kiedykolwiek
ujrzy jeszcze równie kreatywnego projektanta haute couture

— SUZY MENKES, „INTERNATIONAL HERALD TRIBUNE”



Polacy nie mają już nawet praw do produkcji honkerów

Fot. WOJCIECH GRZĘDZIŃSKI/SUPER EXPRESS

WIELKA WSYPA

Do ogłoszonego przez Tymczasową Administrację Cywilną w Iraku (CPA) przetargu na wyposażenie i uzbrojenie powstającej irackiej armii stanęło 18 firm. Wśród nich polski holding zbrojeniowy Bumar, który wartość swoich towarów i usług wycenił na blisko 554 miliony dolarów. Przetarg wygrało amerykańsko-iracko-polskie konsorcjum Nour, bo zaproponowało kwotę około 327,5 miliona dolarów.

Jak się dowiedzieliśmy, wchodzące w skład zwycięskiego konsorcjum Polska Izba Przemysłu Zbrojeniowego, firma Ostrowski Arms oraz Andoria Mot (która od początku lutego przekazała prawa do produkcji samochodów terenowych Honker rosyjsko-brytyjskiemu konsorcjum Intral) nie mają prawa eksportować z Polski broni ani świadczyć jakichkolwiek usług z tym związanych. Firmy te nie otrzymały bowiem z Departamentu Kontroli Eksportu Ministerstwa Gospodarki pozwolenia, którego podstawą jest pozytywna opinia komisji międzyresortowej i wdrożenie w firmie Wewnętrznego Systemu Kontroli wydawanego jedynie przez Polskie Centrum Badań i Certyfikacji.

Bez przejścia tej procedury żadna z trzech firm nie miała szans znaleźć się na ministerialnej liście legalnych eksporterów broni. Oznacza to, że ich przedstawiciele podlegają karze więzienia do 10 lat, nawet jeśli zaledwie prze-

**OPOWIEŚCI
MARKA BELKI
O DOSTARCZANIU
Z POLSKI DO
IRAKU SPRZĘTU
WOJSKOWEGO
NIE MAJĄ
NA RAZIE
REALNYCH
PODSTAW.
ZA TO
KONKURENCI
AMERYKAŃSKIEGO
KONSORCJUM,
KTÓRE WYGRAŁO
PRZETARG
NA UZBROJENIE
IRACKIEJ ARMII,
MAJĄ
PODSTAWY
DO JEGO
UNIEWAŻNIENIA**

tłumacza kontrakt w sprawie sprzedaży jakiegokolwiek uzbrojenia czy wyposażenia wojskowego do Iraku.

Gdyby te trzy firmy, jak opowiadał to profesor Marek Belka, rzeczywiście wchodziły w skład zwycięskiego konsorcjum Nour, mogłoby to być potraktowane przez 17 startujących w przetargu konkurentów jako błąd prawny, który unieważnia cały przetarg. Jak ustaliliśmy, firmy te nie są jednak członkami konsorcjum. Mają jedynie podpisany z Nour list intencyjny.

W dawnej Andorii Mot – obecnie Intralu – usłyszeliśmy, że w najbliższych tygodniach do Polski mają przyjechać przedstawiciele Nour i wraz z przedstawicielami Ostrowski Arms dopiero ustalać z władzami firmy, ile konkretnie honkerów i po jakiej cenie miałyby trafić do Iraku.

Z kolei w Ostrowski Arms powiedziano nam, że firma nie należy do konsorcjum Nour, a jedynie z nim współpracuje, i że nie zamierza sprzedawać do Iraku broni, lecz tylko doradzać.

W Ministerstwie Gospodarki powiedzieliśmy się, że procedura tak zwane go przyznania stempla wdrożenia WSK trwa najkrócej 30 dni. Być może dopiero po tym terminie przedstawiciele Nour pojawią się w Polsce, by dogadać szczegóły ceny. O ile wcześniej Amerykanie tego kontraktu nie unieważnią.

AGNIESZKA LESIAK

EPITAFIUM DLA KWIATKOWSKIEGO

UŁOŻYŁ RAFAŁ BRYNDAL



Smród się w medialnej unioś
przestrzeni
Powyginały się wzdłuż
anten
Okłapy członki
na Ordynackiej
Robert opuszcza
publiczną stację

Kabel się skurczył,
pilot oszalał
Kto telewizję ma wpuszczać
w kanał?

Odchodzi heros, o błędny rycerz
Zbawca lewicy na satelicie

Wszystko, co robił, to w interesie
Tych, co dawali mu moc rozgrzeszeń
Język swój strzępił, plamił krawaty
By mieć w publicznej trochę prywaty

Nigdy aż tyle by nie mógł znaczyć
Bez młodzieżowej organizacji
Tam się o aktyw ciągle ocierał
Zapoznał Siwca, później Millera

Jeździł na Kube, wiosną na narty
Dobrze mu było być członkiem partii
Potem się kręcił tam i z powrotem
Głównie radzieckim Aeroflotem

Czas transformacji z łatwością przeszedł
Nie zapomnieli o nim koleś
Zmienił swój image i retorykę
I się zapatrzył na Amerykę

U boku jego giętki jak plastik
Mistrz gier służbowych mister Czarzasty
Najlepszy duet w tanecznych parach
Obaj zmysłowi, bo w okularach

Zdarł sobie gardło jak Rejtan szaty
Byle utrzymać w Polsce opłaty
Za to, co tylko w TVP leci
Komisja śledcza, bajka dla dzieci

Przesunął teatr na nocne pory
Biesiadę w Dwójce robić pozwolił
I wiadomości swój profil miały
Nie wszystkie newsy mu pasowały

Wzorem dla niego był model włoski
Tam Berlusconi, u nas Kwiatkowski
Lecz zaszkołdziły z Rywinem wędki
Nieodpowiedni rodzaj przynęty

Co gruba ryba nie chciała tyknąć
I z tego nieźle jajo wynikło
On nie obarcza się żadną winą
I uda mu się pewnie wywinąć

Zbyt wiele zasług ma dla formacji
Wygrał wybory dzięki swej stacji
Może mieć lepiej z tego odejścia
Są w aparacie intratne miejsca
Bo gdy w układzie znajdzie się człowiek
To czeka życie pozagrobowe

1 lutego 2004 r.

Grypa i przeziębienie przychodzą zawsze w nieodpowiedniej chwili!

Wjazd w delegację, nawał pracy, ważne sprawy rodzinne,
zaplanowana podróż...

Grypa i przeziębienie nie liczą się z naszym harmonogramem zajęć
ani z naszymi zobowiązaniami zawodowymi i rodzinnymi!

A zatem przygotujmy się, aby móc skutecznie działać
nawet po wystąpieniu pierwszych objawów grypy i przeziębienia.

Grypa i przeziębienia

są wywołane przez wirusy atakujące nasz organizm
bakterii. Są to wirusy zakaźne, przenoszone
drogą kropelkową.

Należy wzmocnić organizm!

Aby nasz organizm mógł lepiej bronić się przed wirusami
wywołującymi grypę i przeziębienie, należy przestrzegać
kilku prostych reguł dotyczących higieny życia.

Stosuj urozmaiconą i zrównoważoną dietę, spożywaj
bogatą w witaminy i mikroelementy. Zwróć uwagę na dużą
zawartość witamin i mikroelementów.

Utrzymuj organizmowi odpowiednią ilość snu i nie zaniedbuj
regulowanej aktywności fizycznej.

Unikaj przegrzanych pomieszczeń (zwłaszcza w sypialni temperatura
nie powinna być zbyt wysoka), wietrz i nawilżaj codziennie mieszkanie.

Naucz się rozpoznawać pierwsze objawy grypy i przeziębienia!

Jak możemy rozpoznać pierwsze objawy grypy

i przeziębienia? Pojawiają się **dreszcze**, nagły **wzrost temperatury**
ciała, **uczucie ogólnego rozbicia**. Mogą też wystąpić **bóle głowy**.

To sygnał, że należy od razu podjąć leczenie,
aby skutecznie zwalczyć te objawy.

LABORATOIRES
BOIRON®
Boiron Sp. z o.o.

Produkt złożony. Przed użyciem zapoznaj się z ulotką, która zawiera
wskazania, przeciwwskazania, dane dotyczące działań niepożądanych
i dawkowanie oraz informacje dotyczące stosowania produktu
leczniczego. bądź skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą.



Oscilloccinum,

od momentu wystąpienia pierwszych objawów!

W momencie wystąpienia pierwszych objawów grypy lub przeziębienia należy od
razu rozpocząć leczenie, aby nie dopuścić do ich dalszego rozwoju: jak najszybciej
zażyć dawkę Oscilloccinum, a następnie kolejne 2 dawki co 6 godzin.

Dlaczego Oscilloccinum?

**Oscilloccinum jest lekiem homeopatycznym skutecznie
zwalczającym grypę i przeziębienie.**

Przyjmowany od momentu wystąpienia pierwszych objawów, przynosi ulgę
skutecznie zwalczając gorączkę, dreszcze, uczucie ogólnego rozbicia i bóle głowy.

**Oscilloccinum można stosować zapobiegawczo przyjmując
1 dawkę tygodniowo w okresie zwiększonej zachorowalności
na grypę i przeziębienie.**

Oscilloccinum jest lekiem wygodnym w użyciu.

I to nie tylko dlatego, że mikrogranulki leku zawarte w jednodawkowych małych
tubkach łatwo rozpuszczają się pod językiem i nie trzeba mieć przy sobie ani
szklanki ani wody do popicia leku, ale także dlatego że możemy mieć lek zawsze
przy sobie (w kieszeni, w torebce) i zażyć go w każdej chwili i w każdej sytuacji
(w samochodzie, w biurze, w czasie pobytu w delegacji lub w podróży itp.)
– jak tylko wystąpią pierwsze objawy grypy lub przeziębienia.

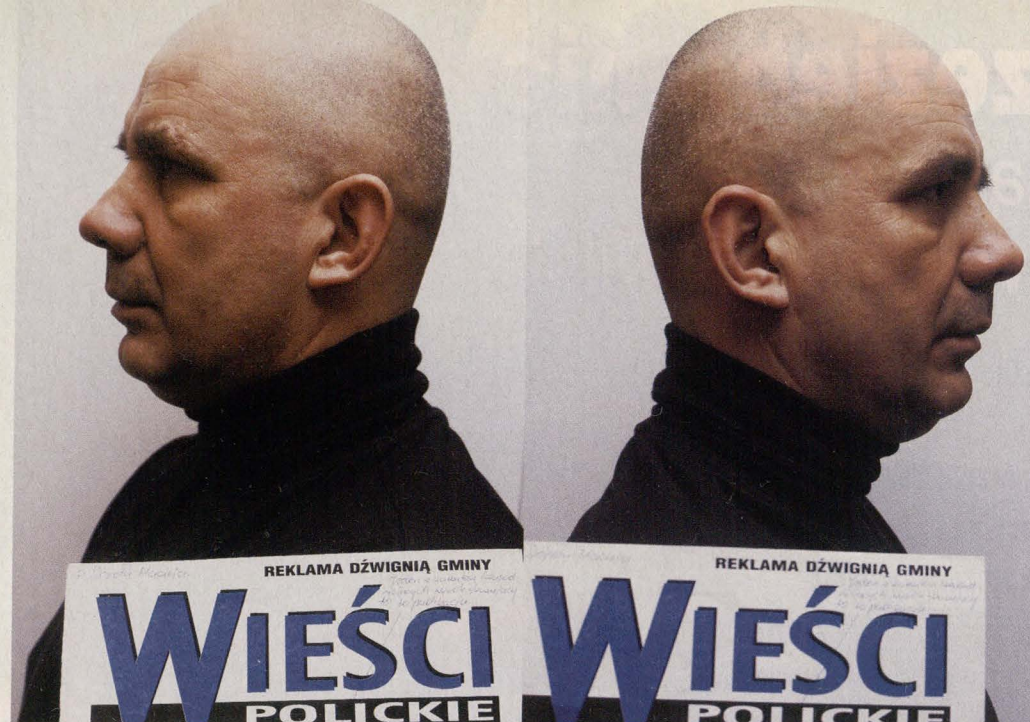
**Oscilloccinum można podawać dorosłym
i dzieciom niezależnie od wieku.**

Lek nie posiada przeciwwskazań ani nie wywołuje znanych działań ubocznych,
jest bezpieczny i dobrze tolerowany, nie wywołuje senności.

Zapytajcie farmaceutę w aptece lub lekarza, oni z pewnością potwierdzą zalety leku.

🎬 Dokumentalista Marcel Łoziński podczas Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Berlinie

otrzyma Nagrodę Wolności imienia Andrzeja Wajdy



Fot. MACIEJ PIASTA/FOTOREPERA (2)

ZA ŚLEDZCYMI
REPORTERAMI
Z WIELKICH GAZET
STOI SIŁA
ICH TYTUŁU.
DZIENNIKARZE
Z PRASY LOKALNEJ
SKAZANI SĄ
NA SAMOTNĄ,
BEZNADZIEJNĄ
WALKĘ.
ANDRZEJ MAREK
Z „WIEŚCI
POLICKICH” JUŻ TĘ
WALKĘ PRZEGRĄŁ.
GROZI MU WIĘZIENIE

SŁABOŚĆ CZWARTEJ WŁADZY

Dla obserwatora spoza Polic, miasteczka koło Szczecina, sprawa może się wydać co najmniej żenująca. Oto Andrzej Marek, naczelny „Wieści Polickich”, depcze po piętach lokalnemu urzędnikowi. Piotr Misilo to ambitny naczelnik wydziału promocji gminy, a zarazem rzecznik prasowy. Pod koniec jakiegoś służbowego spotkania wręcza uczestnikom swoje wizytówki. Na nich widnieją informacje o prywatnej firmie urzędnika.

Na drugi dzień w „Wieściach” ukazuje się artykuł „Promocja kombinatorstwa”. Pada w nim feralne zdanie: „Tylko jakiś szantaż, niezrozumiałe partyjne szachy mogły wynieść Piotra Misilę na funkcję naczelnika”. Wybuchł skandal. Urażony urzędnik rozsyła po redakcjach innych lokalnych gazet sprostowanie, że jego prywatna firma już dawno zawiesiła działalność. Kieruje sprawę do sądu. W listopadzie 2002 roku zapada wyrok. Redaktor ma zamieścić sprostowanie. Dziennikarz odmawia. Zapada kolejny wyrok. Trzy miesiące więzienia, jeśli nie przeprosi rozżalonego urzędnika.

SOJKA ZAŚPIEWAŁ

Andrzej Marek z zawodu jest elektrykiem. Jednak dwa lata przed Okrągłym Stołem rzucił śrubokręt i chwycił za pióro. W podziemnej gazecie opisał kombinację w zarządzie szczecińskiego Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej. Po publikacji sprawa stała się na tyle głośna, że nad ledwo czytelnym drukiem pochyłili się prokuratorzy. Dwóch bohaterów tekstu trafiło do więzienia.

Potem Marek zaczął pracować w Solidarności w Zakładach Chemicznych w Policach. W fabrycznej prasie opisał malwersacje przy zakupie węgla. Zakład kupował go bowiem od firmy związanej z ludźmi prezesa.

Kilka lat temu zaczął redagować lokalny tygodnik. W czerwcu 2002 roku złapał wiatr w żagle. Urząd gminy Police przeprowadził gigantyczną, jak na to dość małe (35 tysięcy mieszkańców) miasteczko, akcję promocyjną. W nakładzie 16 tysięcy wydał płytę Stanisława Sojki i zorganizował mu dwa koncerty. Akcja kosztowała ponad 80 tysięcy złotych. Dochód miał zasilić konta kilku domów dziecka. Andrzej Marek opisał akcję i jej rezultaty. Działowi promocji udało się sprzedać 300 płyt, a na koncert w Policach przyszło 26 osób.

– Rzeczywiście, dostaliśmy wtedy pieniądze od gminy – przyznaje Szeffowa miejskiego domu dziecka i z zażenowaniem dodaje, że było to nieco ponad 700 złotych.

SKOCZYĆ DO GARDEŁ!

Redaktor Andrzej Marek jest jak cień. Irytuje i zawadza. Na każdy argument ma kilka kontrargumentów. Nic dziwnego, że jego kolejne teksty rozsierdziły gminnego urzędnika. Mimo że toczyła się już przeciwko niemu sprawa, nie tylko nie zamilkł, lecz także dopisywał coraz to nowe odcinki afery. W miarę upływu czasu z urzędu zaczęły dochodzić sygnały potwierdzające jego teksty. Mało tego. Szef komisji rewizyjnej w Policach Jerzy Kardziejonek przeprowadził w końcu dodat-

kowe dochodzenie. Wnioski były zaskakujące: – Z 10 tysięcy płyt przeznaczonych na sprzedaż rozliczono tylko 300 sztuk. Jeden z koncertów został zorganizowany bez pisemnej umowy, zaś z przewidzianych stu tysięcy złotych zysku udało się zebrać trzy tysiące. Sami skierowaliśmy sprawę do prokuratury – mówi Kardziejonek.

– Mimo oczywistych dowodów przeciwko Misile to ja miałem sprawę w sądzie – mówi rozgorączkowany Marek. Rok od skazującego wyroku po apelacji zapadł drugi wyrok. Również ten nie był po myśli dziennikarza.

– Wtedy wiedziałem już, że nie ustąpię – mówi Marek. Nawiązał kontakt z Centrum Monitoringu Wolności Prasy, a potem ze Stowarzyszeniem Prasy Lokalnej. Tymczasem na jego podwórku zaczęły się zastanawiające zmiany. Piotr Misilo, rzecznik prasowy urzędu, mimo zwycięstwa w sądzie poprosił o zwolnienie. Dziś już w gminie nie pracuje. Przeniósł się do Warszawy. Zatrudnił się w wydawnictwie Point Group Sp. z o.o. W miesięczniku młodzieżowym „Dlaczego?”, którego wydawcą jest właśnie Point Group, ukazał się zdumiewający wywiad z nim „Skoczyć politykom do gardeł!”.

„Chcę tworzyć, zmieniać, przekształcać. W polickim samorządzie – podobnie jak w wielu innych – jest to niemożliwe. Rządzą tam bowiem układy i partyjne koneksje, a działacze lubią stagnację” – mówił o swoim niedawnym miejscu pracy.

Zaraz po ukazaniu się tekstu Andrzej Marek pojawił się w urzędzie. Dowiedział się, że Misilo jako szef działu promocji już w 2002 roku współpracował z warszawskim wydawnictwem. Zlecił Point Group rozwieszenie plakatów o koncertach Sojki w Policach w kilku miastach Polski. Od kilku tygodni jest w firmie szefem marketingu i kontroli wewnętrznej.

PRZYPADEK GONI PRZYPADEK

Przez trzy miesiące od wyroku redaktor żył z duszą na ramieniu. W każdym momencie mogli po niego przyjść policjanci. Wbrew wyrokowi odmówił przeproszenia urzędnika. To oznaczało, że odsiadka jest nieunikniona.

– Wiem, że ulegam emocjom, wiem, że jestem irytujący, ale właśnie to pozwala mi jakoś funkcjonować. Wkrótce zebram dowody, że za wyrokiem stoją konkretni politycy i prawnicy. Moje pisanie rozsiedziło pewien układ – mówi.

W Centrum Monitoringu Wolności Prasy dowiedział się, że wyrok zawierający warunek przeproszenia powoła do prawne curiosum. Sąd drugiej instancji zbagatelizował zeznania świadków, którzy

wyraźnie mówili o specyficznym układzie rodzinno-partyjnym, jaki ukształtował się w gminie.

Bohater tekstów Marka Piotr Misilo został rzecznikiem zapewne ze względu na swoje nieprzeciętne umiejętności. Miał dopiero 26 lat, ale posiadał doskonałe referencje. Nie wiadomo jednak, czy na nominację nie wpłynął fakt, że jego żona była w tym czasie wiceprzewodniczącą rady miejskiej, a teść politykiem rządzącej w mieście koalicji.

Barbara Karczewska z Centrum Monitoringu Wolności Prasy uważa, że można mieć też spore wątpliwości co do bezstronności sądu. Okazuje się bowiem, że opisany przez dziennikarza urzędnik był narzeczonym córki członka zarządu powiatu. Mieszkał z nim pod jednym dachem. W tym samym czasie w domu samorządowca mieszkał również inny młody człowiek. Był nim szczeciński sędzia, narzeczony drugiej córki gospodarza. Sędzia był wówczas jednym z trzech zatrudnionych w XIV wydziale karnym sądu rejonowego, resztą wspólnie z innym sędzią Marcinem Jędrzejewskim. To oczywiście może być przypadek, ale wyrok skazujący zapadł właśnie w XIV wydziale karnym, a wyrok wydał właśnie Jędrzejewski. Jeszcze dziwniejsze jest to, że o wszystkim tym Marek poinformował sąd apelacyjny. Bez rezultatu...

WIWAT TRANSPARENTNOŚĆ!

Dziś Piotr Misilo zapewnia, że nie zamierza wycofać oskarżenia.

„Redaktor zarzucił mi, iż wykorzystuję pozycję urzędnika do osiągania zysków w ramach działalności agencji. Nigdy nie takiego nie robiłem, nie robię i nie będę robił! Postępowanie takie zaprzecza bowiem idei transparentności państwa, którą wyznaję” – tłumaczy upór w wywiadzie w swoim piśmie. Jak widać, idea ta jednak nie przeszkadza mu pracować w firmie, którą kilka miesięcy wcześniej sam wspomagał publicznymi pieniędzmi.

Tymczasem redaktor Andrzej Marek ledwo wiąże koniec z końcem. Jego „Wieści Polickie” powoli tracą reklamodawców. Już wycofał się główny sponsor.

– Boję się, bo nie widzę się w zimnej celi z jakimś recydywistą. Wiem jednak, że nie ustąpię.

Jeżeli nic się nie zmieni, a na to wygląda, Andrzej Marek będzie pierwszym w Polsce dziennikarzem, który trafi do więzienia za pisanie o lokalnych układach.

MICHAŁ WÓJCİK



Fot. KRZYSZTOF MILLER/AG

Dzięki szantażowi profesor Zbigniew Religa dostał pieniądze na Instytut Kardiologii

WYROK ODROZCZONY

**SZANTAŻ
JEST NAJLEPSZYM
SPOSOBEM
NA ZDOBYCIE
PIENIĘDZY
Z BUDŻETU.
TĘ METODĘ
STOSUJĄ
OSTATNIO
LEKARZE**

Profesor Zbigniew Religa zagroził, że zrezygnuje z kierowania Instytutem Kardiologii w Aninie, jeśli jego szpital nie dostanie więcej pieniędzy z Narodowego Funduszu Zdrowia. – Wymaga się od nas robienia znacznej, znacznie więcej za te same pieniądze. To niemożliwe. W Instytucie powstałaby bardzo duża dziura finansowa, a ja z taką dziurą nie jestem w stanie zapewnić bezpieczeństwa chorym ani pracownikom – oświadczył Religa i rzucił na biurko ministra dymisję. Minister Leszek Sikorski ugiął się już po 48 godzinach. Obiecał, że przekonasz szefów NFZ, by wyłożyli dodatko-

we pieniądze. Dostanie je nie tylko instytut Religi, lecz także wszystkie instytuty w Polsce.

Skąd Fundusz weźmie pieniądze? Tego nie wie lub nie chce ujawnić rzecznik resortu zdrowia Agnieszka Gołąbek. – Pracujemy nad znalezieniem sensownego rozwiązania – mówi.

Wcześniej dodatkowe pieniądze dostali lekarze rodzinii zrzeszeni w Porozumieniu Zielonogórskim. Finansowa wygrana lekarzy zdenerwowała pielęgniarki. – Szlag mnie trafia, gdy widzę, jak gloryfikuje się lekarzy, którzy odeszli od pacjentów i powinni stanąć przed sądem. A oni są z siebie zadowoleni – oświadczyła Hanna Gutowska, przewodnicząca Warszawskiej Okręgowej Izby Pielęgniarek i Położnych. Siostry zaskarżyły podpisanę na początku stycznia porozumienie z NFZ i wniosły do sądu o jego unieważnienie.

Zdaniem doktora Misińskiego z Centrum imienia Adama Smitha przyznawanie dodatkowych pieniędzy przez ministra zdrowia jest przestępstwem: pieniądze dla resortu i dla NFZ ustalił Sejm i tylko Sejm może zmienić ich przeznaczenie. – To mi wygląda na odraczanie wyroku śmierci. Zwiększony tegoroczny deficyt będzie pokryty deficytem z przyszłego roku – twierdzi Misiński.

DOROTA SAJNUG

OSZCZĘDZANIE PRZEZ PODWYŻSZANIE

**PRZEDSIĘBIORCY
CZUJĄ SIĘ
OSZUKANI
– W PLANIE
HAUSNERA
NIEOCZEKIWANIE
POJAWIŁ SIĘ
ZAPIS
O PODWYŻSZENIU
ZUS NAJLEPIEJ
ZARABIAJĄCYM
WŁAŚCICIEŁOM
MAŁYCH FIRM**

Pomysł podwyższenia składki ZUS osobom fizycznym prowadzącym działalność gospodarczą pojawił się w planie Hausnera nagle, kuchennymi drzwiami. Podważa to wiarygodność prowadzonych wcześniej konsultacji tego planu – ocenia Małgorzata Krzysztozek, dyrektor departamentu analiz ekonomicznych Polskiej Konfederacji Pracodawców Prywatnych. Wicepremier Jerzy Hausner przez ostatni kwartał 2003 roku szczegółowo konsultował swój oszczędnościowy plan z pracodawcami i związkowcami. – Wtedy nie zdradził się z pomysłem podniesienia składki – dziwi się dyrektor Krzysztozek. – Ten element pojawił się dopiero teraz, po przyjęciu planu przez rząd. Przedsiębiorcy czują się oszukani, bo z jednej strony obniżono im podatki, pozwalając właścicielom 1,2 miliona małych i średnich firm rozliczać się według skali trójstopniowej z ulgami lub płacić 19 procent podatku liniowego bez ulg. Z drugiej strony już od 2005 roku pieniądze znów mają zniknąć, przepadając w przepastnym brzuchu ZUS. Tak naprawdę jednak nie wiadomo, jak ZUS zabrałby prowadzącym działalność ich pieniądze. Rząd nie chce tego ujawnić, nie mówi też, kto miałby płacić większe składki (większe procentowo czy wynikające ze zwiększenia podstawy, od której płacono jest stawka? – to też tajemnica). W Ministerstwie Gospodarki dowiedzieliśmy się, że konkrety będą ujawnione w połowie marca, gdy projekt nowelizacji odpowiedniej ustawy trafi do zaopiniowania przez... pracodawców i związkowców. Rząd oczekuje od podatników uczciwości, a sam gra nie fair. Czy liczy na to, że przedsiębiorcy nagle zapomną, jak się omija podatki, których nie chcą płacić? (LES)

GRA Z LUDOBÓJCĄ

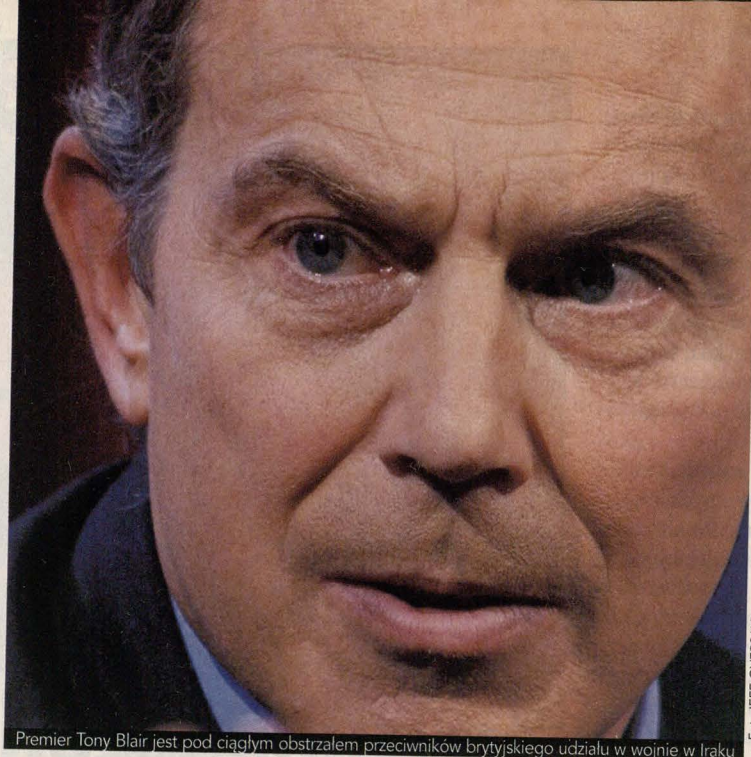
Korea Północna morduje ludzi w komorach gazowych. Telewizja BBC pokazała film dokumentalny, w którym były nadzorca jednego z północnokoreańskich obozów koncentracyjnych opowiada, jak beznamiętnie przyglądał się agonii całych rodzin. Umierali jako „wrogowie ludu”, „zdraycy ojczyzny” i „szpiegdy”. Bohater filmu sam był szpiegiem, w 1999 roku poddał się Korei Południowej. Nawrócony oprawca spędził na Południu cztery lata, zanim zdecydował się opowiedzieć o tym, co robił na początku lat 90., gdy pracował w jednym z północnokoreańskich obozów koncentracyjnych. Jego zeznanie nie jest pierwszym świadectwem istnienia systemu masowej eksterminacji ludzi w państwie Kim Dzong Ila. Organizacje praw człowieka dysponują wieloma świadectwami uciekinierów, którym udało się przeżyć północnokoreański archipelag Gułag. To od nich pochodzą pierwsze doniesienia o komorach gazowych czy tajnych laboratoriach, gdzie eksperymentuje się na ludziach. Według szacunków w gułagach Kima ukrytych w górach przy granicy z Chinami i Rosją przebywa nawet 200 tysięcy osób. Dotąd przeciwko reżimowi Kim Dzong Ila wypowiadały się tylko ofiary. BBC po raz pierwszy uzyskało potwierdzenie ze strony



Fot. DIGITAL GLOBE

członka aparatu represji, który spokojnie dożywa teraz swoich dni pod ochroną Korei Południowej. Materiał ukazuje się w momencie, kiedy między Północą a sprzymierzonym z USA Południem toczy się wojna propagandowa. Oskarżenia o ludobójstwo stają się więc kartą przetargową w próbie sił między Zachodem a koreańskim odcinkiem „osi zła”. Tydzień temu Kim tryumfował. Amerykanie przyznali, że Korea Północna ma potencjał atomowy. Przypomnienie znanego faktu, że Kim morduje swoich obywateli w komorach gazowych, jest obliczone na osłabienie jego pozycji. Tylko czy hermetycznie zamkniętego w swoim stalinowskim skansenie Kima można w ogóle osłabić?

JAKUB MIELNIK



Premier Tony Blair jest pod ciągłym ostrzałem przeciwników brytyjskiego udziału w wojnie w Iraku

AMNEZJA WIERNEGO SĘDZIEGO

KIEDY W UBIEGŁYM TYGODNIU UKAZAŁ SIĘ RAPORT SĘDZIEGO HUTTONA ZARZUCAJĄCY BBC NIERZETELNOŚĆ, GŁOWY POŁOŻYLI PREZES I DYREKTOR GENERALNY KORPORACJI. PREMIER BLAIR ZATRYUMFOWAŁ, ALE NIE NA DŁUGO

W ubiegły weekend na Downing Street grupka demonstrantów spaliła raport Huttona, wznosząc okrzyki: „Blair kłamca!”. Opublikowany tydzień temu raport zamiast rozstrzygnąć spór między BBC a brytyjskim rządem, tylko go zaostrzył.

Powodem konfliktu premiera z publicznym nadawcą stało się doniesienie BBC z maja ubiegłego roku o tym, że rząd brytyjski dopisywał alarmistyczne wnioski do raportu wywiadu na temat zagrożenia iracką bronią masowej zagłady. Z raportem w ręku Tony Blair przekonał brytyjski parlament do słuszności interwencji w Iraku. Dziś wiadomo już, że raport był błędny, bo mimo usilnych starań w Iraku nie znaleziono dotąd broni masowego rażenia.

Dla Brytyjczyków ważniejsza jest jednak kwestia, czy rząd zmienił pierwotną wymowę raportu. Sędzia Hutton orzekł, że Tony Blair ma czyste ręce. Mimo tego spora część Brytyjczyków bardziej ufa BBC niż premierowi i uważa, że Hutton napisał laurkę dla establishmentu.

Hutton miał powody do krytykowania BBC. Słusznie orzekł, że dziennikarz, od którego zaczęła się awantura, złamał reguły gry. Na podstawie poszlak z rozmowy z rządowym ekspertem Davidem Kellym oskarżył szefa komunikacji Blaira Alastaira

Campbella o dopisanie do raportu alarmistycznego stwierdzenia, że armia Saddama jest zdolna w trzy kwadranse odpalić rakiety z głowicami chemicznymi i biologicznymi. Tymczasem Kelly tylko sugerował, że raport podlega obróbce na Downing Street. Sędzia słusznie napiętnował też BBC za to, że miesiącami szło w zaparte, broniąc swojego reportera bez sprawdzenia faktów.

Jednocześnie sędzia doznał gwałtownego ataku amnezji. Zapomniał o pracownikach wywiadu, którzy bezskutecznie apelowali do swoich przełożonych o usunięcie z raportu zdania o „groźbie 45 minut”. Nie napiętnował Campbella za zredagowanie dokumentu tak, by wynikało z niego niezbitcie, że Irak ma groźną broń. Nie skrytykował rządu za to, że umieścił w raporcie fotografie, potęgując wrażenie zagrożenia. To na podstawie raportu prasa pisała o zagrożeniu irackim jak o bombowcach Luftwaffe.

Zaraz po opublikowaniu raportu Huttona premier zmusił nowe kierownictwo BBC do poniżających przeprosin. BBC jest niezależne i publiczne, ale musi być bezstronne. – W tak ceniej instytucji jest niezwykle ważne, by prezes wziął na siebie osobistą odpowiedzialność za najwyższe standardy bezstronności informacji – mówił prezes BBC Gavyn Davies. Ciekawe, czy Tony Blair też będzie gotów wziąć na siebie odpowiedzialność. Ze zbyt gwałtownie zatrzaśniętej szafy premiera wypada bowiem już kolejny „trup”. Wkrótce Blair będzie musiał przyznać, że w Iraku nie było broni masowego rażenia. A to oznacza, że niebawem w Wielkiej Brytanii ruszy zapewne dochodzenie w sprawie słuszności całej wojny. Ale tym razem Tony Blair będzie musiał radzić sobie sam. Wierny sędzia Hutton jest już na zasłużonej emeryturze.

MAREK RYBARCZYK

FRANCUSKA WATERGATE

SĘDZIOWIE, KTÓRZY W UBIEGŁYM TYGODNIU SKAZALI BYŁEGO PREMIERA FRANCJI ALAINA JUPPÉ ZA ORGANIZACJĘ LEWYCH PARTYJNYCH ETATÓW, BYLI ZASTRASZANI. AFERA MOŻE ZAGROZIĆ SAMEMU PREZYDENTOWI CHIRACOWI

Tuż po ogłoszeniu wyroku sędziowie ujawnili, że w trakcie dwumiesięcznego procesu lidera francuskiej centroprawicy grożono im śmiercią, włamywano się do ich komputerów i podsłuchiwało rozmowy telefoniczne. Ostateczną sentencję spisano w tajemnicy na prywatnym laptopie.

Sąd uznał Alaina Juppé za winnego przyznawania pracownikom partii gaullistowskiej w latach 80. i na początku 90. fikcyjnych etatów w paryskim ratuszu. Sąd skazał byłego premiera na 18 miesięcy

cy w zawieszeniu i na 10 lat odebrał mu prawo sprawowania funkcji publicznych. Juppé odwołał się od wyroku. Kolejna rozprawa ma się odbyć jesienią.

Jeśli Juppé wycofa się z polityki albo przegra proces, partia Chiraca straci swojego asa atutowego w wyborach prezydenckich w 2007 roku. Zwiększa to szanse „czarnego konia”, popularnego ministra spraw wewnętrznych Nicolasa Sarkozy’ego, który jednak nie cieszy się zaufaniem prezydenta.

Grunt pali się pod nogami także samemu Chiracowi. Choć w tej chwili chroni go immunitet, wyrok w Nanterre w politycznym sensie uderza także w niego. W latach 80. Chirac był merem Paryża i bezpośrednim przełożonym Juppé.

Na wieść o wyroku w Nanterre Chirac ruszył do kontrataku. Nakazał rozpoczęcie szczegółowego dochodzenia. Wyniki mogą wstrząsnąć Francją podobnie jak niegdyś afera Watergate USA.

Oczywistymi podejrzanymi o zastraszanie sędziów są ludzie prezydenta, bo to on najwięcej stracił na wyroku. – Juppé to najbliższy doradca prezydenta, wymarzony następca i przyjaciel – mówi BBC Anita Hauser, komentatorka telewizji LCI.

Brudne metody Francuzi pamiętają z epoki generała de Gaulle’a. Jego partia była podejrzewana o wykorzystywanie policji do zwalczania przeciwników.

(RYB)

REHABILITUJĄ MUSSOLINIEGO

Las porastający zbocza Monte Giano nieopodal Rzymu, w którym drzewa zasadzono tak, by widoczne z góry układały się w łaćski napis „Dux”, znów jest widoczny z włoskiej stolicy. „Dux” to łaćski odpowiednik słowa „duce”, czyli „wódz”, którym określano Benita Mussoliniego. Las zasadzono na cześć Duce jeszcze za jego rządów.

Ostatnio – w ramach konserwacji zabytków przyrody, której kosztą pokrywa się we Włoszech z publicznych pieniędzy – drzewostan uporządkowano tak, że przydomek Mussoliniego znów stał się wyraźny. Na tym nie koniec odkurzania „pamiętek” po twórcy faszyzmu włoskiego, który pod koniec wojny zginął z rąk własnych rodaków. Lokalne władze w Pesaro na wybrzeżu Adriatyku zachęcone przykładem lasu na zboczu Monte Giano mają zamiar sfinansować renowację profilu Mussoliniego wykutego w 1936 roku w skale wąwozu w Furlo. (QBA)

Dolisos

Dolisos Polska Sp. z o.o.
ul. Belwederska 20/22, 00-762 Warszawa,
tel.: (22) 559 63 90; fax: (22) 559 63 97
www.dolisos.pl

WSKAZANIA: Trudny do opanowania napadowy kaszel wilgotny, kaszel suchy bez odkrztuszania wydzieliny, świadczący o rozpoczynającym się stanie zapalnym dróg oddechowych; kaszel odruchowy, towarzyszący często innym zmianom w zakresie otolaryngologii, i wreszcie kaszel skurczowy, którego gwałtowny charakter i nasilenie, zwłaszcza nocą, wskazują na udział czynnika alergicznego.

SKŁAD I POSTAĆ: Produkt złożony; syrop – butelka 150 ml

DAWKOWANIE: Dorosli: 1 łyżka – 3 do 5 razy dziennie.

Dzieci: do 5 lat 1 – 2 łyżeczki do herbaty – 3 do 4 razy dziennie, powyżej 5 lat 1 łyżeczka do herbaty – 3 do 5 razy dziennie.

Przed użyciem zapoznaj się z ulotką, która zawiera wskazania, przeciwwskazania, dane dotyczące działań niepożądanych i dawkowanie oraz informacje dotyczące stosowania produktu leczniczego, bądź skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą.

Rada Europy zamówiła wykonanie swojego hymnu „Oda do radości” (autor: Ludwig van Beethoven) w wersjach techno, hip-hop, trans i jazzowej, które mają być wykorzystywane podczas młodzieżowych imprez europejskich

JESTEŚMY MĄDRZY I ODPOWIEDZIALNI

POLACY
NIE CHCĄ
NA PREZYDENTA
PRZYPADKOWEJ,
CHOĆBY
I NAJBARDZIEJ
POPULARNEJ,
OSOBY.
TAK WYNIKA
Z NASZEGO
SONDAŻU

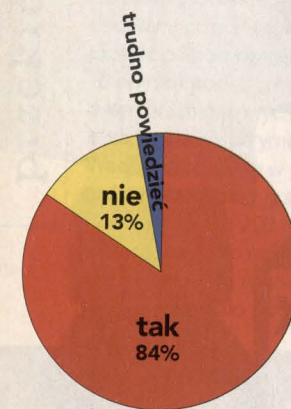
Dziennikarz telewizyjny Tomasz Lis ustalony przez tygodnik „Newsweek” w szeregu z rasowymi politykami uzyskał 17 procent głosów i wysunął się w rankingu prezydenckim na drugie miejsce, zaraz po Jolancie Kwaśniewskiej (37 procent). Wiadomość ta wstrząsnęła opinią publiczną oraz stacją telewizyjną, która zatrudnia Lisę. Stacja uznała, że polityk nie powinien podawać się za dziennikarza. Odśunięto go od prowadzenia „Faktów”, żeby się zastanowił, kim właściwie chce być. Wśród opinii publicznej zaś odezwały się głosy, że w takim razie najważniejszym człowiekiem w państwie mogłaby zostać dowolna osoba, byle wystarczająco znana. Postanowiliśmy sprawdzić, czy Polakom jest wszystko jedno, kto będzie prezydentem, i czy w swoich wyborach kierują się jedynie popularnością kandydata.

Sopocka Pracownia Badań Społecznych przeprowadziła dla nas sondaż, w którym do listy oczywistych, partyjnych kandydatów na prezydenta dołożyliśmy pięć osób niekoniecznie związanych z polityką, ale popularnych. Znalazł się tam piosenkarz Michał Wiśniewski, prezenterka telewizyjna Grażyna Torbicka, aktorzy Artur Żmijewski i Marek Kondrat oraz – najbardziej upolityczniona postać – publicysta i wydawca Jerzy Urban. Żadna z tych osób nie przekroczyła progu czterech procent.

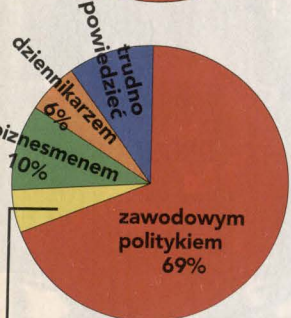
Okazało się więc, że nie jest tak źle. A nawet jest bardzo dobrze. Wyborcy przejawili mądrość i odpowiedzialność. W dodatku z sondażu wynika, że polska klasa polityczna nie jest jeszcze całkiem skompromitowana. Ponad 84 procent respondentów uznało za ważne, kto bę-

dzie prezydentem. Prawie 69 procent jest zdania, że powinien nim być zawodowy polityk.

Jak więc wytłumaczyć nagle pojawienie się dziennikarza na wysokiej pozycji w rankingu? Podobnie jak Jolanta Kwaśniewska nie jest już dziś postrzegana jako człowiek spoza polityki, Tomasz Lis nie jest tylko dziennikarzem. Codzienne komentowanie w porze „Faktów” wiadomości oraz wydanie książki „Co z tą Polską?” sprawiły, że Lis zaczyna być kojarzony z publiczną misją. Nigdy nie ukrywał, że ma bardzo konkretne poglądy polityczne, w wielu punktach identyczne z głoszonymi przez Platformę Obywatelską. W sondażu „Newsweeka” nie znalazł się Donald Tusk. Ankietowani zwolennicy centrystycznej PO postawieni przed dylematem: Kwaśniewska czy prawica, wybrali więc Tomasza Lisę.



Czy jest dla Pana/Pani ważne, kto będzie prezydentem?



Kim z zawodu powinien być prezydent?



JOLANTA KWAŚNIEWSKA

38,9

11,3
ANDRZEJ LEPPER



3,6 MICHAŁ WIŚNIEWSKI



15,2 TOMASZ LIS



4,8 ROMAN GIERTYCH



15,5 LECH KACZYŃSKI



ACH, TEN LIS!

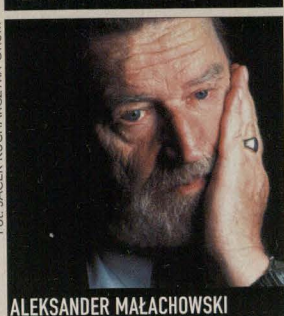
IRENEUSZ KRZEMIŃSKI,
SOCJOLOG:

– W sondażu „Przekroju” najciekawsze wydało mi się pytanie o to, kim powinien być kandydat na prezydenta. Odpowiedzi potwierdziły intuicję, że polityka się sprofesjonalizowała: miejsce na szczycie władzy przypaść powinno zdaniem pytanym zawodowemu politykowi. Ale dziennikarz jest trzeci na liście zawodów dopuszczanych do kandydowania w prezydenckich wyborach. Aspiracje Tomasza Lisę w oczach opinii publicznej nie są więc bezzasadne.

Przemiana polityki z powołania w zawod najwyraźniej została zaakceptowana przez nasze społeczeństwo. To w sytuacji, gdy powszechne jest rozczarowanie do politycznej elity, a ludzie wyglądają „nowych twarzy”. Właśnie dostępność drogi do kariery politycznej jest wielką atrakcją demokracji. Choć za to była ona też krytykowana niemal od początku swego istnienia. Tacy kandydaci jak Tomasz Lis biorą jednak na poważnie otwartość demokracji i mają do tego prawo. Chodzi o to, aby potrafili przekonać do siebie wyborców. Starym ideałem jest zdobywanie poparcia dzięki pracy na rzecz społeczeństwa – od lokalnej czy zawodowej społeczności do działalności ogólnospołecznej. Ale ta droga, jak się zdaje, nie jest już jedyna nawet w starych demokracjach.

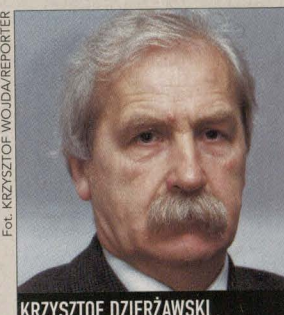
Co do reszty sondażu trudno nie traktować go trochę jak zabawy polityczno-socjologicznej, jak zapewne czynili i ankietowani. Wyniki zależą tu w dużym stopniu od listy odpowiedzi do wyboru. Ciekawe, jakie byłyby, gdyby znaleźli się na nich prawdziwie dziś popularni politycy? Na wszystkich „przekrojowych” listach Tomasz Lis jako „nowa twarz” wybierany był zdecydowanie rzadziej niż przodująca „nowa twarz” Jolanta Kwaśniewska. Wszędzie zrównał się – mniej więcej – z Lechem Kaczyńskim. Całkiem niezłe jak na kogoś, kto poza książką „Co z tą Polską?” jeszcze niczym się nie zasłużył, ale i tak jest niezłym kandydatem. A kampanię promocyjną ma bez porównania krótszą niż kandydatka Jolanta Kwaśniewska, która w dodatku jest „nową twarzą”, za to z bardzo starym politycznym zapleczem.

ZMARLI



ALEKSANDER MAŁACHOWSKI

Aleksander Małachowski, 80 lat, polityk. Współzałożyciel i honorowy przewodniczący Unii Pracy, wicemarszałek Sejmu drugiej kadencji. Urodzony we Lwowie, podczas okupacji w podziemiu, dwukrotnie więziony przez NKWD. Zesłany do łagru koło Stalinogorska pracował w kopalni węgla kamiennego. Po wojnie został usunięty z Uniwersytetu Wrocławskiego za odmowę wstąpienia do ZMP. Od 1980 roku członek Solidarności, w stanie wojennym został internowany, rok później aresztowany pod zarzutem działalności konspiracyjnej. Poproszony w jednym z wywiadów o próbę życiowego bilansu odpowiedział: – Nie mam prawa mówić, że było mi źle. Ja naprawdę miałem szczęśliwe życie.



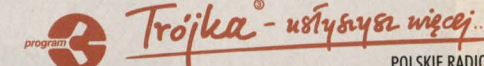
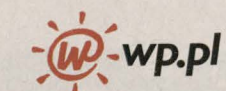
KRZYSZTOF DZIERŻAWSKI

Krzysztof Dzierżawski, 55 lat, ekonomista, ekspert Centrum imienia Adama Smitha. Absolwent Wydziału Budownictwa Politechniki Warszawskiej. Budował między innymi Trasę Łazienkowską w Warszawie i elektrownię wodną w Żarnowcu. W latach 80. prowadził własną firmę budowlaną. W 1992 roku trafił do Centrum, interesowały go głównie problemy ubezpieczeń i funduszy emerytalnych, bezrobocie oraz sytuacja małych przedsiębiorstw i ich obciążenia podatkowe. – Dzięki olbrzymiemu doświadczeniu przenikliwie docierał do istoty problemu, co wyróżniało go spośród innych komentatorów gospodarczych – wspomina Andrzej Sadowski, wiceprezydent Centrum imienia Adama Smitha.



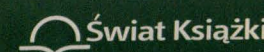
Najnowsza
powieść
Jerzego Pilcha

Patroni medialni:



POLSKIE RADIO

www.swiatksiazki.pl





a właściwie
to...



Zamiast

Mamy początek lutego i już wiadomo, że nic z tego. Nie będzie prawdziwego karnawału w tym roku. W głowach pusto i nic w nich nie szumi, a nogi są ciężkie jak z ołowiu, po całodziennych pogoniach za żywnością, kredytem i miłością. Poczuć się w tłumie przyjemnie możemy co najwyżej na wyprzedazach. I co najważniejsze, elity, których zabawy zawsze „nakręcały” karnawał, zajęte są w tym roku ustalaniem, kto do nich jeszcze należy i kto do jakiej należy (dziennikarze zastanawiają się, czy są już politykami, gwiazdy show-biznesu – dziennikarzami, a politycy opozycją czy rządem). Cóż więc może, chociaż w ostatniej chwili, zastąpić nam karnawał? A może publiczne egzekucje? Uzbierałoby się kandydatów, którzy odchodzą po cichu, a przecież nie musi tak być! Na przykład transmitowane przez telewizję odspawanie od stołka prezesa TVP Roberta Kwiatkowskiego, te snopy iskier, postaci ślusarzy – surowe, w grubych fartuchach i maskach ochronnych... A ilu jest takich, którzy już powinni odejść, a jakoś nie mogą? Dopiero ogłoszenia prasowe o castingach do nowego widowiska mogłyby przyspieszyć ich odejścia. I to nie tylko centralnie, w Warszawie, na przykład w Świętokrzyskim też można by taką publiczną egzekucję urządzić. A w tym wypadku to ofiarny działacz z Warszawy Jerzy Jaskiernia mógłby uświetnić uroczystość i wyprowadzić Kielce na szerokie wody. Oczywiście straciłaby na tym „Gazeta Wyborcza”, bo zniknęłaby jej rozwojowa rubryka „Niezatapialni”, i nawet Marek Barański z „Trybuny” by się tym zmartwił, ale co tam... Bo coś musimy mieć zamiast karnawału, skoro już chaos mamy zamiast sensu.

PIOTR NAJSZTUB

Jak sklecić raport

W komisji śledczej matura. Marszałek Nałęcz usadził posłów w pary i zadał każdej po jednym z rozdziałów raportu w sprawie Rywina. Pierwsza ławka – Rokita z Lewandowskim – ma opisać, jak w lipcu 2002 roku rząd negocjował z Agorą, a Rywin przyszedł jednocześnie do Michnika; druga – sam Szteliga – co miał do tego Polsat; trzecia – Błochowiak z Ziobro – co kto zrobił, gdy oferta Rywina była już tajemnicą poliszynela (a raczej kto czego nie zrobił, choć powinien); wreszcie czwarta – Szczepańczyk i Rydzoń – jako najzdolniejsza zrelacjonuje, jak majstrowano przy ustawie o RTV. Znosi się na to, że raport powstanie w ten sam sposób jak owa ustawa, czyli metodą dopisywania. Będzie niespójny, pełen sprzeczności, a w młynie międzypartyjnych uzgodnień kluczowe wnioski zostaną rozwodnione. Ustawa o komisji śledczej opiera się na naiwnym założeniu, że członkowie, dobrani na

podstawie sejmowego parytetu, wchodząc do Sali Kolumnowej, zapominają o partyjnych interesach. Widzieliśmy wielokrotnie, że nie zapominali. Wkład posłów SLD ograniczał się do roztrząsania opieki nad świadkami związanymi z Sojuszem i torpedowania groźniejszych inicjatyw opozycji. Posłowie PO i PiS byli w wygodniejszej sytuacji, bo ich dociekliwość automatycznie procentowała wzrostem partyjnych notowań. Ale i oni popełniali polityczne faule w rodzaju pytań Ziobro do premiera o śmierć generała Papaly. Teraz ci sami ludzie mają razem napisać jeden raport. Międzypartyjny dialog to cenna rzecz, ale chyba nie cenniejsza od prawdy o sprawie Rywina. Pytanie, czy wnioski z sejmowego śledztwa powinni formułować posłowie, którzy je prowadzili? Jeśli toczyło się ono zgodnie z normami postępowania karnego, to dlaczego wyrok – bo postawienie przed Trybunałem Stanu to wyrok – ferują pospolu oskarżyciele i obrońcy „grupy trzymającej władzę”? To równie racjonalny pomysł jak ten, by raport ze sprawy Rywina spisali jednym długopisem Adam Michnik i Lew Rywin. Raport powinien pisać mąż zaufania, którego wiarygodność wynika z niezmienności postaw i trwałości dokonań, a nie z sondaży. Na przykład Tadeusz Mazowiecki. A wracając do komisyjnej matury, bez tematu został Jan Łączny z Samoobrony. Dla niego mamy brakujący rozdział: „Kto był w »grupie trzymającej władzę«? Nie bój się napisać i uzasadnić”.

WAWRZYNIEC SMOczyński

Fot. Marek Szczepański (2)

Stanisław Baliński

(1898–1984)

Komentarz

Witoldowi Gombrowiczowi

Wiersz nie jest dziełem sztuki, ale komentarzem
Do spraw, co poza wierszem wyrazić się nie chcą.
Do wizji naniesionych przez noc, które z rana
Zapalamy jak świece przed mrocznym ołtarzem,
Do przecuć nie nazwanych, które w nazwach szepcą
I pierzchają z tą chwilą, kiedy są nazwane.

Wiersz nie jest słów urodą, ale słów układem
Kierowanym w ciemności fantastyczną fletnią,
Co pozwala się cofnąć za umarłym śladem,
Prowadzącym przez pola, przez ogród, pod ganek,
I usłyszeć raz jeszcze w uśpioną noc letnią
Echo pierwszego wiersza i szept kołysanek.



WILHELM SAGNAL

Dla „Przekroju” ANDRZEJ DUDZIŃSKI

raport mniejszości

Myślisz, że seks to tylko przyjemność i prokreacja? Nie! Już wkrótce lekarz przepisze ci go na receptę

Nasze życie miłosne rozpoczyna się bardzo wcześnie – już w chwili narodzin – potrzebą przytulenia. W 1918 roku niemiecki pediatra Ernst Moro opisał pierwszy ludzki „odruch przytulenia” – dziecko dopiero co wyjęte z łona matki rozkłada ręce, a potem zaciska je desperacko, szukając osoby gotowej wziąć je w objęcia. Nawet jednak gdy wyrośniemy z pieluch, potrzeba przytulania nas nie opuszcza. Przez całe życie trwamy w czymś w rodzaju tego pierwszego uścisku po urodzeniu.

Naukowcy od wieków starają się zgłębić tajemnicę ludzkiej seksualności. Wydaje się, że nigdy bardziej niż dziś ta wiedza nie była pełna. Poznaliśmy już mechanizmy pożądania, wiemy, jak w mózgu rodzi się miłość. Co więcej, dowiedzieliśmy się też, jaki wpływ ma seks na nasz organizm.

Anatomia pożądania

Trudno w naszym mózgu wyróżnić jeden zdecydowany obszar odpowiedzialny za seks. Pożądanie i miłość angażują niemal cały nasz umysł. Hormony i neuroprzekazniki zalewają wiele ośrodków, budząc w nas burzę uczuć i przytępiając rozsądek.

Dzięki postępowi techniki badaczom udało się „przylapać” na gorącym uczynku niektóre zachowania mózgu. Stąd wiemy już, że najbardziej zaangażowaną w seks okolicą naszego mózgu jest płat czołowy kory mózgowej. W literaturze naukowej opisywano przypadek kobiety, u której dochodziło do spontanicznych (i niepożądanych) orgazmów wskutek istnienia naczyniaka (rozszerzonego naczynia krwionośnego) właśnie w tym obszarze.

Płaty czołowe kontrolują „czyste żądze” – to obszar, który odpowiada za wiele wyższych funkcji intelektualnych. Tu tkwi nasza świadomość, wrażliwość, rozum. Być może dlatego rozwiązłość seksualna i brak zahamowań w tej sferze występują u osób z uszkodzoną tą częścią mózgu.

Znany jest przypadek pewnego mężczyzny, który wtargnął do domu swojej sąsiadki (od dawna ją prześladował, mimo że prawie jej nie znał) i zaczął tam wnosić swoje rzeczy. Wezwanej na miejsce policji oświadczył, że jest z tą panią zaręczony i zamierzają wspólnie zamieszkać. Lekarze, którzy go potem badali, odkryli guza w lewym płacie czołowym. Po usunięciu guza mężczyzna natychmiast „odkochał” się w sąsiadce.

Pewną rolę w ludzkiej seksualności odgrywają także płaty skroniowe kory mózgowej.

Uszkodzenie przedniego odcinka tej części mózgu powoduje wystąpienie przypadłości zwanej zespołem Kluvera-Bucy’ego. Polega to na braniu do ust rozmaitych rzeczy i próbach odbywania aktu płciowego z przypadkowymi przedmiotami.

Pewnego mężczyznę mającego tego typu uszkodzenie mózgu aresztowano, gdy próbował spółkować z chodnikiem. Jaki jest mechanizm tak dziwnych zachowań? Płaty skroniowe odpowiadają między innymi za hamowanie aktywności ośrodków zmuszających nas do kopulacji – brzuszno-przysrodkowego jądra podwzgórza. Tu również znajdują się centra dbające o to, byśmy nie zginęli z głodu – popychają nas do wkładania do ust łatwo dostępnych pokarmów. Gdy blokada zostanie zniesiona, wszystko wydaje się pyszne i zdatne do konsumpcji.

Płat skroniowy odpowiada także za rozpoznawanie charakteru oglądanego przedmiotu lub postaci – pozwala oceniać nam czyjaś atrakcyjność. Gdy zaburzymy tę funkcję, nawet chodnik zyskuje postać atrakcyjnego partnera seksualnego.

Idźmy jednak dalej. Kolejnym przystankiem na „mózgowym szlaku seksualnym” jest miejsce na pograniczu płata ciemieniowego i czołowego. To kora czuciowa i ruchowa. Tu każda część naszego ciała ma reprezentację w postaci „obsługujących” ją zespołów komórek nerwowych.

Okazuje się, że obszar mózgu związany z narządami płciowymi jest większy niż miejsce przysługujące razem klatce piersiowej, brzuchowi i plecom!

Stymulacja miejsc w mózgu odpowiedzialnych za genitalia jest w nich odczuwana. Skrajnym tego dowodem są napady padaczki – przypadkowe wyładowania elektryczne w mózgu. Gdy dojdzie do takich wyładowań w płatach skroniowych – pacjentom zdarza się bezwolnie wykonywać ruchy miednicą. Wielu opowiada też o silnych doznaniach seksualnych.

W seks uwikłane są także ośrodki związane z emocjami, z odczuwaniem przyjemności, a także te związane ze wzrokiem, słuchem, smakiem.

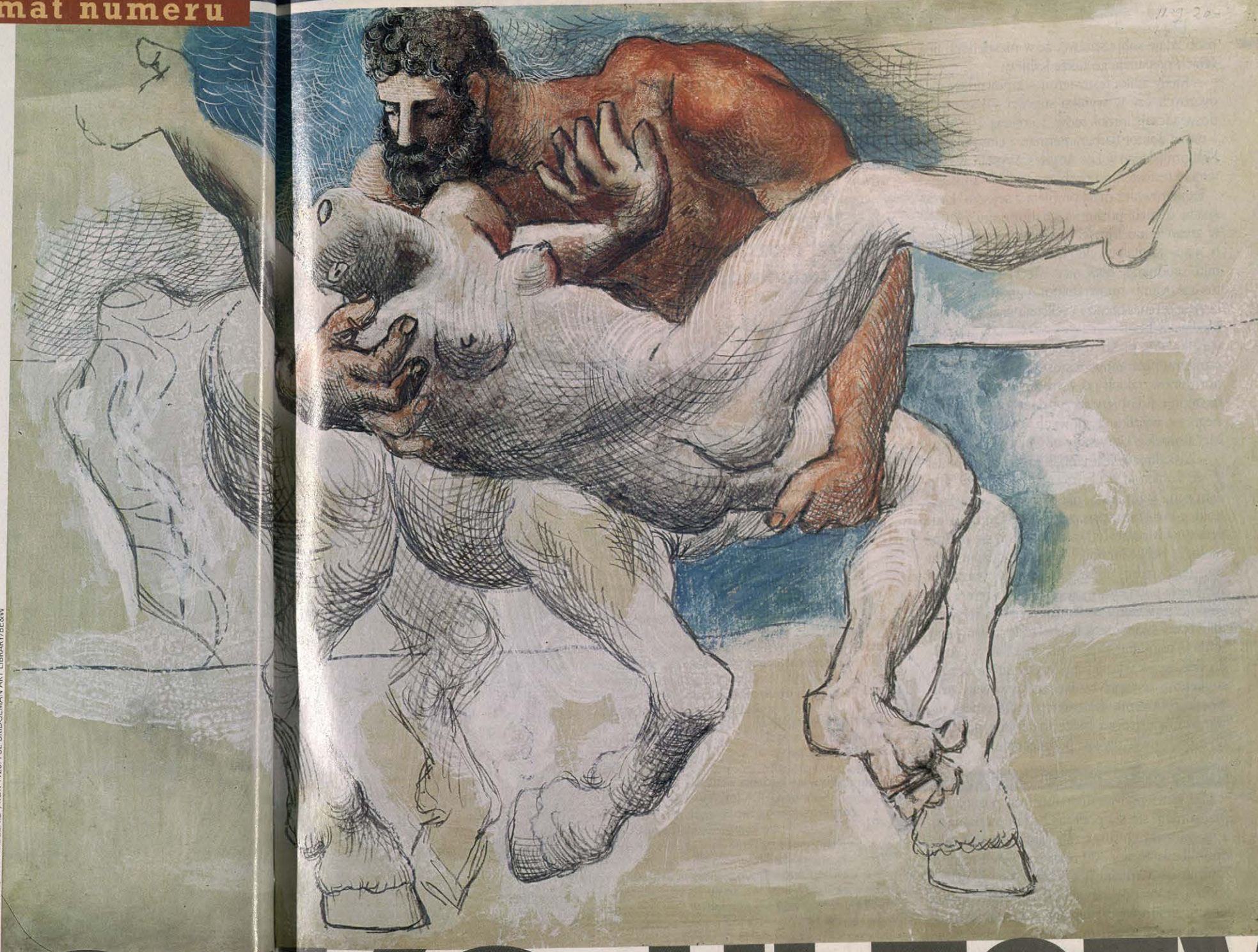
Co jednak sprawia, że wszystkie one współgrają ze sobą podczas miłosnego uniesienia? Chemia.

Testosteron dla pań

Z najnowszych badań amerykańskich naukowców wynika, że głównym „motorniczym” naszego pożądania jest hormon – testosteron.

Kojarzy się on przede wszystkim z napakowanymi bywalcami siłowni i pewnie niewiele

PABLO PICASSO „UPROWADZENIE”, ROK 1920. Fot. BRIDGEMAN ART LIBRARY/BE&W



SEKS ULECZY

MICHAEL D. LEMONICK

TIME

temat numeru

Seks poprawia krążenie, usuwa ból i pomaga zachować zdrowie. Naukowcy zaczynają badać jego wpływ na niemal każdy organ, od mózgu po serce i układ odpornościowy

Niepokój

Hormony wydzielane w czasie podniecenia mogą łagodzić niepokój, likwidować obawy i przełamywać zahamowania.

Odporność

Częste stosunki mogą zwiększyć poziom głównych ciał odpornościowych, które pomagają walczyć z przeziębieniami i innymi infekcjami.

Badanie na ponad stu amerykańskich studentach przeprowadzone w 1999 roku dowiodło, że u tych, którzy raz lub dwa razy w tygodniu uprawiali seks, poziom przeciwciał – białek zdolnych rozpoznawać czynniki chorobotwórcze – był o 30 procent wyższy niż u tych, którzy powstrzymywali się od stosunków.

Naukowcy z Karolinska Institutet w Szwecji badają tymczasem, jak seks wpływa na gojenie się ran. Tu znów na pierwszy plan wysuwa się oksytocyna. Wstrzykując ten hormon szczurom, szwedzka badaczka Kerstin Uvnäs Moberg odkryła, że otarcia na grzbietach zwierząt goją się dwukrotnie szybciej. Teraz bada się, czy istnieje ta sama zależność u ludzi.

Rak

Pierwsze badania wskazują, że oksytocyna i hormon DHEA (oba wydzielane podczas orgazmu) mogą zapobiegać przekształcaniu się komórek raka piersi w guzy.

Najnowsze badania naukowców z Australii pod kierownictwem Grahama Gilesa z The Cancer Council Victoria w Melbourne dowiodły też, że im częściej mężczyźni masturbują się pomiędzy 20. a 50. rokiem życia, tym mniejsze jest prawdopodobieństwo rozwinienia się u nich raka prostaty.

Okazuje się, że ma to związek z częstotliwością ejakulacji.

Jeśli dwudziestokilkuletek dozna jej pięć razy w tygodniu, ryzyko raka w późniejszym wieku maleje u niego o jedną trzecią.

Częsty wytrysk nasienia ma – według ekspertów – zapobiegać gromadzeniu się substancji nowotworczych w prostaty. Prostate to niewielki gruczoł umieszczony tuż pod pęcherzem moczowym.

Jej zadaniem jest między innymi produkcja ważnych składników płynu nasiennego.

Wzbogaca go w potas, cynk, cukier. Eksperci przypuszczają, że kumulacja tych pierwiastków w gruczole może być przyczyną kłopotów.

CO LECZYMIŁOŚĆ?

ALICE PARK



Depresja

Kobiety, których partnerzy nie stosują prezerwatyw, rzadziej cierpią na depresję. Może to być związane z obecnością w nasieniu hormonów oddziałujących na komórki nerwowe mózgu kobiety i wpływające na jej nastrój: testosteronu, estrogenu, hormonu luteinizującego, hormonu FSH, prolaktyny czy prostaglandyny. Te hormony są wchłaniane przez nabłonek pochwy do krwiobiegu. Ich obecność można wykryć we krwi kobiety już po kilku godzinach od aktu płciowego.

Korzystne właściwości męskiego nasienia dostrzega także seksuolog, profesor Zbigniew Lew Starowicz: – Kobiety, które uprawiają seks, mają kontakt z nasieniem partnera, mogą liczyć na zmniejszenie dolegliwości miesiączkowych. Powodem są zawarte w spermie substancje zwane prostaglandynami, które działają rozkurczowo.

Odkrycie amerykańskich psychologów wzbudziło wiele zainteresowania wśród par homoseksualnych. Pojawiają się pytania, czy antydepresyjne działanie spermy jest takie samo podczas stosunków analnych lub oralnych. Jeśli hormony z pigulek antykoncepcyjnych nie są wrażliwe na trawienie, być może i substancje zawarte w nasieniu przetrwają drogę przez nasz układ pokarmowy.

Choroby serca

Uprawianie seksu to doskonale ćwiczenie aerobowe, które poprawia krążenie i wzmacnia serce. Ludzie aktywni seksualnie zwykle mają rzadziej ataki serca prawdopodobnie dlatego, że mają lepszą kondycję.

W czasie orgazmu rytm serca i ciśnienie krwi zwykle wzrastają dwukrotnie. Przeprowadzone w latach 80. badanie ponad 900 mężczyzn z południowo-wałoskiego miasta Caerphilly i okolicznych wiosek dowiodło, że ci, którzy uprawiali seks dwa razy w tygodniu lub częściej, zwykle po 10 latach mieli o połowę mniej ataków serca niż ci, którzy stosunek seksualny mieli rzadziej niż raz w miesiącu. Badanie dodatkowe opublikowane w 2002 roku pokazało, że korelacja między częstszym seksem i mniejszym ryzykiem ataku serca nieco się zmniejszyła, ale wciąż częstszy seks dawał pewnego rodzaju ochronę przed śmiertelnymi przypadkami choroby wieńcowej.

Waga

W czasie stosunku można spalić około 200 kalorii. To tyle, ile podczas 30-minutowego spaceru.

Długowieczność

Częste orgazmy wydłużają życie – przekonali się naukowcy. Może to mieć związek z dobrym wpływem seksu na serce i system odpornościowy.

Ból

Endorfiny – zwane hormonami szczęścia – to substancje wydzielane w mózgu podczas orgazmu. Mają one działanie przeciwbólowe.

Podobnie działa oksytocyna. Odkryła to doktor Beverly Whipple z Rutgers University w New Jersey, badając słynny punkt G u kobiet. Whipple dowiodła, że lekkie uciskanie na punkt G podnosiło granicę tolerancji bólu o 40 procent, a w czasie orgazmu kobiety są w stanie znosić ból nawet o 110 procent większy. Nie była w stanie wyjaśnić tego związku. Stało się to możliwe dopiero z nadejściem technologii funkcjonalnego rezonansu magnetycznego (fMRI).

Doktor Whipple za pomocą fMRI obserwowała mózgi kobiet doprowadzających się do orgazmu, okazało się, że w czasie szczytowania uaktywniany jest ośrodek uśmierzania bólu znajdujący się w śródmózgowiu. Sygnały z tej części mózgu każą organizmowi wydzielać endorfiny i kortykosterydy, które na kilka minut znieczulają zakończenia nerwowe odpowiedzialne za najrozmaitsze rodzaje bólu: od skurczów menstruacyjnych, przez artretyzm, aż po migreny.

Panaceum na oziębłość

Jaki jest wpływ testosteronu na pożądanie, przekonano się też podczas badań na paniach z usuniętymi chirurgicznie jajnikami. Wyniki opublikowano w 2000 roku w „New England Journal of Medicine”. Okazało się, że wiele kobiet, które po operacji przyjmowały testosteron, miało więcej fantazji seksualnych niż przedtem. Częściej uprawiały też seks i masturbowały się. Czy zatem wynaleziono cudowne panaceum na oziębłość?

Tryumfalne uśmiechy naukowców zrzedły, gdy obejrżeli wyniki grupy kontrolnej. Podobnie, choć w mniejszym stopniu, zachowywały się panie, które przyklejały sobie plastry bez testosteronu. U kobiet cierpiących na brak libido efekt placebo był niemal równie silny jak u tych, które przyjmowały testosteron. Krótko mówiąc – już sama wiara w terapię może przywrócić pożądanie seksualne.

Te wyniki pokazują, jak wiele nadziei dają i jak trudne są badania biologicznych podstaw

PABLO PICASSO, RZĘBIAK I KŁĘCZĄCA MODELKA*, ROK 1933. Fot. ERICH LESSING/PICTURES

ludzkiej seksualności. Umysł, ciało i doświadczenie są tu ze sobą nierozdzielnie związane.

Pożądanie i seks to dla naszego ciała skomplikowana reakcja biochemiczna, którą sterują hormony, neuroprzekaźniki i inne substancje. Trudno wytypować „jednego odpowiedzialnego”. W ciągu ostatnich 10–20 lat badacze zdołali jednak zidentyfikować wiele elementów tej skomplikowanej układanki.

Oto spis niektórych najistotniejszych chemicznych składników miłości.

Dobra chemia

Zarówno opisywany wcześniej testosteron, jak i estrogen wywołują pożądanie, uruchamiając wydzielanie neuroprzekaźników w mózgu. To właśnie te substancje chemiczne odpowiadają za nasze nastroje, emocje i humory.

Najważniejsza dla pożądania wydaje się dopamina. Neurony produkujące dopaminę w środkowej części mózgu podbarwiają obraz postrzeganego przez nas świata i tworzą coś, co odbieramy jako nastrój na seks. Poziom dopaminy ma ścisły związek z pożądaniem.

U mężczyzn leki zwiększające ilość dopaminy (w tym niektóre antydepresanty czy leki na chorobę Parkinsona) mogą wzmacniać pożądanie i prowadzić do erekcji. Podobne działanie może mieć apomorfina, lek na chorobę Parkinsona, który działa bezpośrednio na receptory dopaminowe w komórkach mózgowych i uruchamia je.

Kolejny neuroprzekaźnik niemal na pewno zaangażowany w biochemię miłości to serotonina. Ten neuroprzekaźnik powstaje w śródmózgowiu oraz w pniu mózgu i pomaga odczuwać satysfakcję, także ten jej rodzaj, który powstaje po orgazmie. Serotonina może też zwiększać pożądanie – najprawdopodobniej we współpracy z dopaminą – ale paradoksalnie zwiększające poziom serotoniny leki, takie jak prozac, mogą też utrudniać osiągnięcie orgazmu.

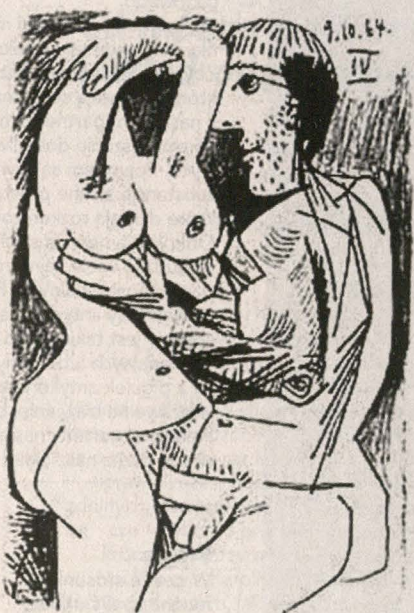
Dopamina i serotonina to zgrana para. Od ich wzajemnych relacji zależy nasz stan umysłu i ciała.

Szybsze krążenie

Pożądanie to złożony mechanizm. Za to dla odmiany podniecenie jest stosunkowo proste: u mężczyzny naczynia w penisie wypełniają się krwią, u kobiety krew zostaje przekierowana do pochwy i łechtaczki. I już.

– Kiedy mózg otrzyma odpowiedni bodziec: wzrokowy, zapachowych, dotykowy, w sto-

sunkowo prosty sposób przyspiesza krążenie krwi – mówi doktor Alan Altman. U mężczyzny substancją chemiczną przyspieszającą przepływ krwi jest polipeptyd jelitowy, hormon, który steruje rozszerzaniem lub skurczami mięśni gładkich na trakcie żołądkowo-jelitowym. Drugą ważną substancją jest tlenek azotu. Można go porównać do policjanta kierującego krążeniem naczyniowym



Fot. BRIDGEMAN ART LIBRARY/BE&W

– aktywuje mięśnie, które odpowiadają za kurczenie i rozszerzanie naczyń krwionośnych. Jeśli umysł jest w odpowiednim nastroju albo kiedy zażyjemy lek podnoszący poziom tlenu azotu, taki jak viagra czy levitra, organizm zaczyna reagować.

Mężczyźni bardziej skupiają się na stymulacji genitaliów niż kobiety, więc częściej postrzegają zwiększony napływ krwi do narządów płciowych jako objaw podniecenia. Być może jest to jeden z powodów, dla których testy viagry u kobiet kończą się niepowodzeniem. Samo przekrwienie genitaliów to dla pań jeszcze nie wszystko.

Hormon przytulania

Endokrynolodzy od lat wiedzą, że oksytocyna, hormon wydzielany przez przysadkę, jajniki i jądra, pomaga wywoływać skurcze porodowe, wpływa na produkcję mleka w czasie karmienia i na skurcze pochwy, jakich doświadczają kobiety w czasie orgazmu (być może ma również wpływ na skurcze

penisa podczas męskiego orgazmu). Ten hormon odgrywa też ważną rolę w tworzeniu się więzi między matką i dzieckiem i niewykluczone, że podobny wpływ ma na młodych ojców – poziom oksytocyny wzrasta w organizmie tatusia, kiedy trzyma on na rękach potomka.

Niektórzy naukowcy nazywają też oksytocynę hormonem przytulania. Badania przeprowadzone przez psychiatrę Kathleen Light z University of North Carolina dowodzą, że poziom oksytocyny rośnie, kiedy para trzyma się za ręce, obejmuje się lub ogląda romantyczny film.

Istnieje też coraz więcej dowodów, że oksytocyna bierze udział w tworzeniu głębokich związków.

Ludzkie zapachy

Zapewne najbardziej kontrowersyjną kwestią w chemii seksualności jest rola feromonów. W 1971 roku doktor McClintock dowiodła naukowo tego, o czym dziewczyny mieszkające w akademikach wiedziały od lat – kiedy kobiety mieszkają razem, ich cykle menstruacyjne się synchronizują.

– To zapewne z powodu feromonów, substancji zapachowych, które wyczuwamy, choć nie jesteśmy tego świadomi – stwierdziła McClintock. W 1998 roku przeprowadziła doświadczenia, które potwierdziły tę hipotezę, ale w przeciwieństwie do feromonów zwierzęcych u ludzi nie dało się wyizolować żadnych substancji.

Ponieważ cykle menstruacyjne i seksualność to część całego systemu, możliwe jest, że feromony także wywołują pożądanie. Tej teorii uczepli się producenci perfum sprzedający zapachy oparte na feromonach. – Nie jest to wykluczone – mówi doktor Altman. – Ale nie sądzę, by tu nauka poczyniła w najbliższym czasie jakieś postępy.

Pociąg seksualny i pożądanie postrzegamy jako rodzaj magii, zjawisko pełne cudownej tajemniczości. Choć badania naukowe co rusz zdejmują z tej sfery życia nieco romantyzmu, naukowcy wciąż gubią się w labiryncie skomplikowanej gry między wieloma substancjami krążącymi między ciałem i umysłem.

Należy mieć tylko nadzieję, że kiedy odnajdą prostą drogę, nie skończy się to jakimś wynalazkiem zastępującym seks pigułką czy stymulatorem...

MICHAEL D. LEMONICK

WSPÓŁPRACA KATE NOBLE, LONDYN;
SONJA STEPTOE, LOS ANGELES

© 2004. TIME INC. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE. TŁUMACZENIE I PRZEDRUK Z „TIME MAGAZINE” ZA ZGODĄ TIME INC. POWIELANIE CAŁOŚCI LUB CZĘŚCI ARTYKUŁU W JAKIKOLWIEK SPOSÓB I W JAKIKOLWIEK JĘZYKU BEZ UPRZEDNIEJ PISEMNEJ ZGODY TIME INC. JEST ZABRONIONE

Ciesz się zdrowiem



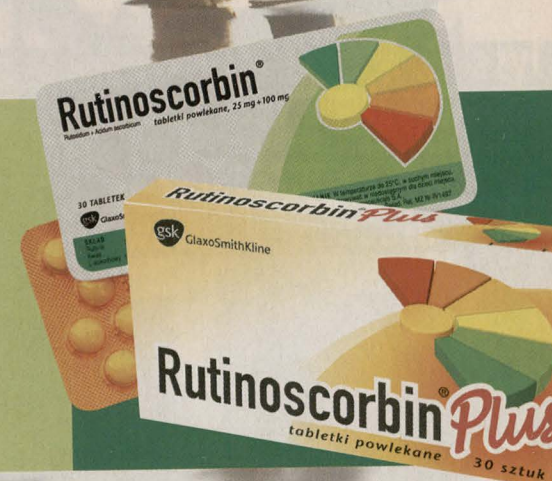
gsk GlaxoSmithKline

Zastanawiałeś się kiedyś, co tak naprawdę daje Ci Rutinoscorbin®?

Gdy pojawiają się pierwsze objawy przeziębienia, chętnie po niego sięgasz. A zażywając profilaktycznie wiesz, że Rutinoscorbin® wspomaga odporność organizmu, ograniczając ryzyko zachorowania.

Także wtedy, gdy już jesteś chory, masz coś pod ręką: Rutinoscorbin® Plus, z cynkiem i selenem, dzięki którym pobudza organizm do walki z zaawansowanym przeziębieniem.

Rutinoscorbin® i Rutinoscorbin® Plus są po to, abyś o każdej porze mógł cieszyć się zdrowiem i czerpać przyjemność z każdej przeżywanej chwili.

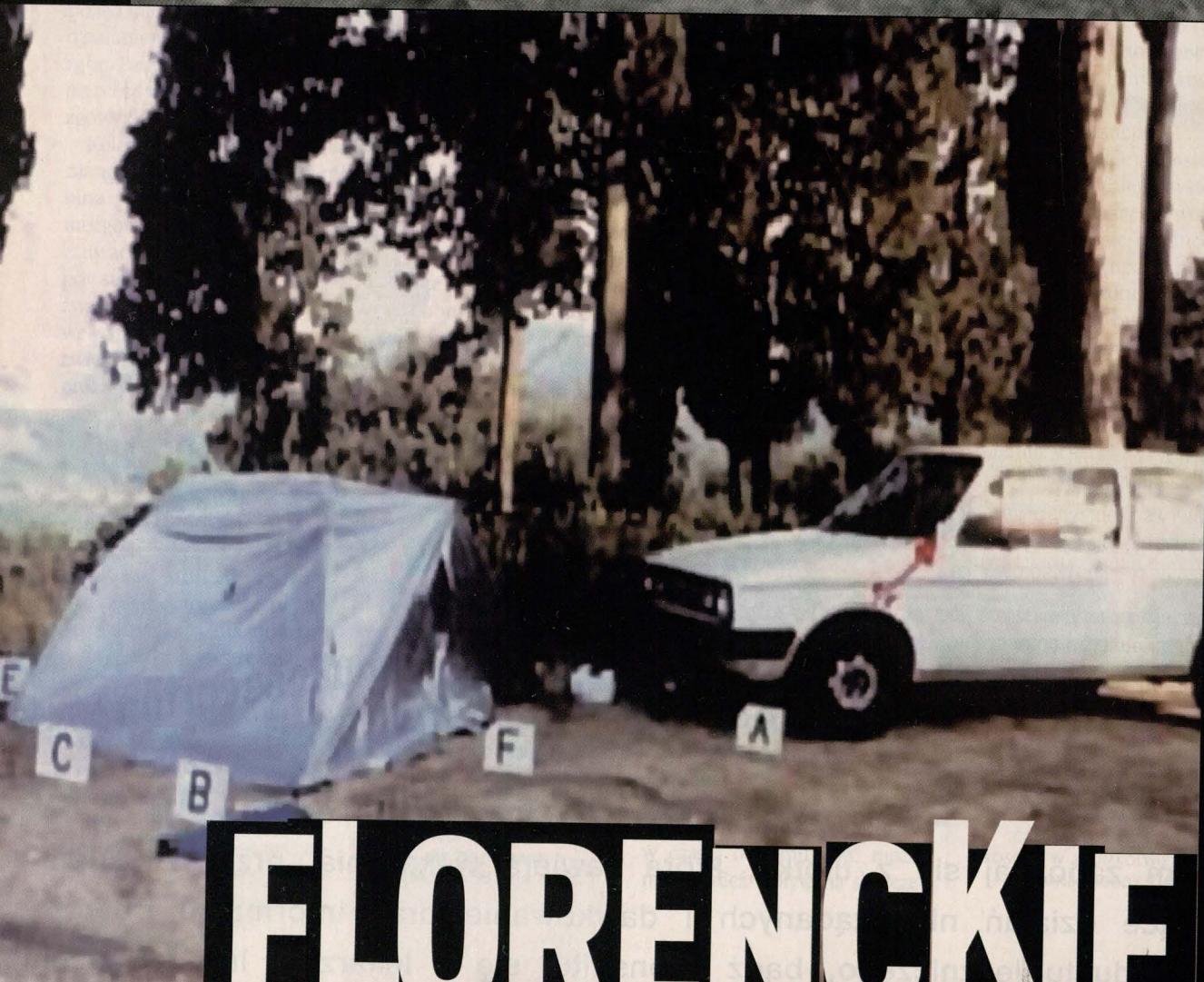


Rutinoscorbin® Plus, tabletki powlekane. Produkt złożony. Wskazania: w stanach niedoboru w organizmie witaminy C, rutyny, cynku i seleniu oraz w stanach, w których zwiększona ich podaż wykazuje korzystne efekty kliniczne, np.: w zapobieganiu przeziębieniom i łagodzeniu objawów grypy, we wspomaganiu odporności organizmu, w uszczelnianiu i zapobieganiu kruchości krwionośnych naczyń włosowatych. Rutinoscorbin®, tabletki powlekane. Lek zawiera: Rutosidum 25 mg i Acidum ascorbicum 100 mg. Wskazania: w stanach niedoboru witaminy C i rutyny, wspomaganie odporności organizmu, uszczelnianie naczyń włosowatych, zapobieganie przeziębieniom i łagodzenie objawów grypy. Podmiot odpowiedzialny: GlaxoSmithKline Pharmaceuticals S.A., ul. Grunwaldzka 189, 60-322 Poznań; tel.: (061) 8601-200, fax: (061) 8675-717

Przed użyciem zapoznaj się z ulotką, która zawiera wskazania, przeciwwskazania, dane dotyczące działań niepożądanych i dawkowanie oraz informacje dotyczące stosowania produktu leczniczego bądź skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą



Wszystkie ofiary „potwora” znajdowano w tym samym stanie – z wyciętymi genitaliami. W okaleczonym kroczu mordercy zostawiał gałązki winnej latorośli

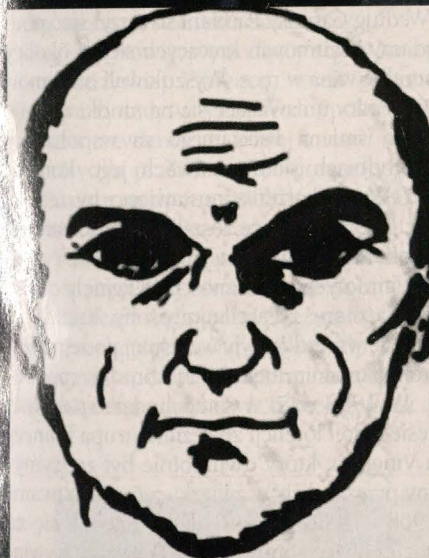


Między 1968 a 1985 rokiem „potwór z Florencji” był postrachem turystów odwiedzających Toskanę i kochanków, którzy urządzali sobie schadзки w okolicach Florencji. Mimo rozesłania portretów pamięciowych przez wiele lat pozostawał nieuchwytny



„Potwór” bogatych florentyńczyków wykonywał Pratto Pacciani. Został zamordowany w 1998 roku, gdy pojawiła się groźba, że wyjawi w sądzie tożsamość swoich mocodawców

Foto: BRUNELLESCHI TORRINI/AP



Malownicze tokańskie miasteczko San Casciano nie widziało jeszcze takiej akcji. 22 stycznia do drzwi domu aptekarza Francesca Calamandrei zapukał sędzia śledczy. Miał ze sobą kilkunastu policjantów i nakaz rewizji. Powszechnie szanowany aptekarz był przesłuchiwany przez dziewięć godzin. Z jego domu policjanci wynieśli dziesięć dużych pudeł z dokumentami, notesami i filmami z brutalną pornografią. W tym samym czasie w pobliskiej Florencji policja zatrzymała trzy kolejne osoby, wśród nich Achille Sertolego, profesora medycyny specjalizującego się w leczeniu chorób wenerycznych.

Po miesiącu od lat krążyły plotki o krwawych rytuałach, w których mieli brać udział członkowie bogatych i wpływowych florentyńskich rodzin. Teraz makabryczne opowieści znalazły potwierdzenie. Czterech szanowanych obywateli są podejrzani o udział w satanistycznych mordach, które swego czasu rzuciły ponury cień na sielską atmosferę Florencji.

ŚMIERĆ KRÓLOWEJ PSZCZÓŁ

W upalną sierpniową noc 1968 roku do drzwi farmy w miejscowości Lastra a Signa, kilka kilometrów na południe od Florencji, zapukał sześciolatek Natalino Locci. – Moja mama i wujek nie żyją – oznajmił chłopiec zaspianemu mężczyźnie, który otworzył drzwi. Kilka godzin później na pobliskich wzgórzach zaroilo się od policjantów. W zaparkowanym w lesie samochodzie znaleziono zwłoki Barbary Locci i jej kochanka Lo Bianco.

Oboje zginęli od strzałów z automatycznego pistoletu Beretta. Ciało kobiety zostało dosłownie posiekane nożem, morderca wyciął też jej genitalia. Potem zabrał śpiącego na tyl-

nym siedzeniu samochodu syna Barbary, którego obudziły strzały, zaniósł go do najbliższego domu i zniknął w ciemnościach.

Po dwuletnim śledztwie za winnego mordu uznano męża ofiary, miejscowego opryska. Motyw morderstwa był oczywisty: Locci uchodziła za kobietę, którą każdy w okolicy mógł mieć. Partnerów zmieniała tak często, że miejscowi nazwali ją Królową Pszczół.

W 1974 roku zabójstwo Barbary Locci zostało już dawno zapomniane, a skazany za nie mąż ofiary gnął w więzieniu. Tymczasem we wrześniu tego roku w okolicach Florencji znów zamordowano parę kochanków, którzy pod osłoną nocy uprawiali seks w ustronnym miejscu. Oboje zginęli od strzałów z beretty. 19-letnia Stefania Pettini dostała też 96 ciosów nożem. Tym razem nie udało się wskazać podejrzanego.

WIELU PODEJRZANYCH, ŻADNEGO ZABÓJCZY

Minęło siedem lat, zanim morderca uderzył ponownie. 6 czerwca 1981 r. zastrzelił parę kochającą się w aucie zaparkowanym na skraju winnicy. Genitalia zastrzelonej kobiety usunięto z chirurgiczną precyzją. Policja zatrzymała kręcącego się po okolicy podglądacza, który według świadków znał szczegóły zabójstwa, zanim podała je prasa. Do procesu jednak nie doszło, bo w ciągu następnych kilkunastu miesięcy, gdy podejrzany siedział w areszcie, w okolicach Florencji zamordowano kolejne dwie pary. Zabójca za każdym razem strzelał z tej samej beretty i za każdym razem okaleczał ciała kobiet.

Podglądacza zwolniono, a policja zainteresowała się niejakim Franceskiem Vincim – drobnym przestępcą, który 13 lat wcześniej był jednym z podejrzanych o zabójstwo Królowej Pszczół Barbary Locci. Ale i ten trop okazał się

Dante umieścił tam Piekło, a pisarz Thomas Harris azyl dla Hannibala Lectera. We Florencji policja zlikwidowała właśnie gang bogatych i wpływowych satanistów, którzy zlecili zabicie i poćwiartowanie kilkunastu osób

POTWORY

FLORENCYJ

Nadine Mauriot i jej chłopak byli ostatnimi ofiarami „potwora”. Dzień po ich śmierci ktoś przesłał do prokuratury anonim wraz z kawalkiem piersi odciętej francuskiej turystce



Szumowiny z okolic Florencji dostawały miliony lirów za dostarczenie trofeum w postaci kobiecych genitaliów Kupował je znany aptekarz, adwokat i dwaj lekarze

W morderstwie byli zamieszani bracia Antonio, Francesco i Salvatore Vinci. Francesco (w środku) został w 1993 roku zamordowany przez nieznaną sprawców



falszywy, bo latem 1983 roku „potwór z Florencji” zaatakował ponownie. Tym razem jego ofiarą padło dwóch niemieckich turystów obozujących w lesie koło San Casciano. Jeden z Niemców miał długie włosy i został prawdopodobnie wzięty za kobietę. Pod presją gazet, które zaczęły pisać o grasującym w Toskanii mordercy, znów aresztowano kilku podejrzanych. Dwa lata później tajemniczy zabójca udowodnił, że policja znów jest na fałszywym tropie.

9 września 1985 r. na biurko prokurator Silvi della Monica, która prowadziła dochodzenie w sprawie „potwora”, trafiła koperta z adresem złożonym z liter wyciętych z gazety. W środku był kawałek lewej piersi wyciętej dzień wcześniej francuskiej turystce zamordowanej razem ze swoim chłopakiem w lesie koło San Casciano. Było to ostatnie morderstwo dokonane przez tajemniczego „potwora”. Dla florenckiej policji doprowadzenie go przed sąd stało się kwestią honoru.

DONOS NA POTWORA

– Jestem niewinny jak Chrystus na krzyżu! – krzyczał Pietro Pacciani, gdy karabinierzy siłą wywieźli go z sali rozpraw florenckiego sądu. W 1996 roku dobiegający siedemdziesiątki Pacciani został uznany za winnego popełnienia sześciu z ośmiu podwójnych zabójstw i skazany na dożywocie. Proces był poszlakowy. Transmitowała go telewizja, a na zajętych do ostatniego miejsca ławkach dla publiczności siedział między innymi Thomas Harris, amerykański twórca thrillerów. Proces Paccianiego posłużył mu do napisania ostatniego odcinka horroru o Hannibalu Lecterze, który później – mimo protestów rady miasta Florencji – nakręcił w tym mieście Ridley Scott.

Zanim zainteresowała się nim policja, sąd i Thomas Harris, Pacciani najmował się jako ogrodnik w majątkach wokół Florencji. W 1985 roku, tuż po zabójstwie francuskich turystów, policja dostała donos wskazujący na ogrodnika jako na sprawcę morderstw. Napi-

go. Nie dość, że pracował i mieszkał na farmach w promieniu godziny jazdy od miejsc zbrodni, to jeszcze miał za sobą kryminalną przeszłość. W 1951 roku został skazany na 13 lat więzienia za zabicie kochanka swojej ówczesnej narzeczonej, którą zgwałcił na stygnącym jeszcze ciele ofiary. W 1987 roku dostał kolejne cztery lata za znęcanie się nad żoną i molestowanie seksualne dwóch córek.

Jak na prostego parobka Pacciani żył całkiem nieźle – miał dwa domy i 50 tysięcy dolarów oszczędności. W jednym z domów, w których pracował, znaleziono rysunki przedstawiające okaleczone kobiety, a w ogrodzie część pistoletu, z którego zabito wszystkie 16 ofiar przypisywanych „potworowi z Florencji”.

SPISEK PATRYCJUSZY

Dwa lata po skazaniu Paccianiego sąd apelacyjny nakazał ponowne rozpatrzenie sprawy i uwolnił go z więzienia. Do wznowienia procesu nigdy jednak nie doszło. 23 lutego 1998 r. Paccianiego znaleziono martwego w jego domu pod Florencją. Leżał twarzą do ziemi, spodnie miał spuszczone na kostki, a sweter zwinięty pod szyją. Lekarze stwierdzili zawał, co wydawało się prawdopodobną przyczyną śmierci chorego na serce i nerki, a do tego tęgo popijającego nałogowego palacza po siedemdziesiątce.

Niedługo potem okazało się, że ktoś pomógł ogrodnikowi przenieść się na tamten świat. – W dniu śmierci zażył zupełnie inne leki niż te, które brał zazwyczaj – mówił Paolo Canessa, sędzia śledczy, który nadzorował śledztwo w sprawie śmierci „potwora

z Florencji”. – Ktoś, kto przepisał mu te środki, musiał wiedzieć, że przy jego stanie zdrowia zabiją go.

Według Canessa Pacciani stworzył sieć podglądaczy i szumowin kręcących się po okolicy z butelką wina w ręce. Wyszukiwali oni i mordowali pary umawiające się na randki w lesie. Już po śmierci Paccianiego za współudział w zbrodniach skazano dwóch jego kompanów. Akty oskarżenia postawiono by też innym, gdyby nie to, że zostali zamordowani.

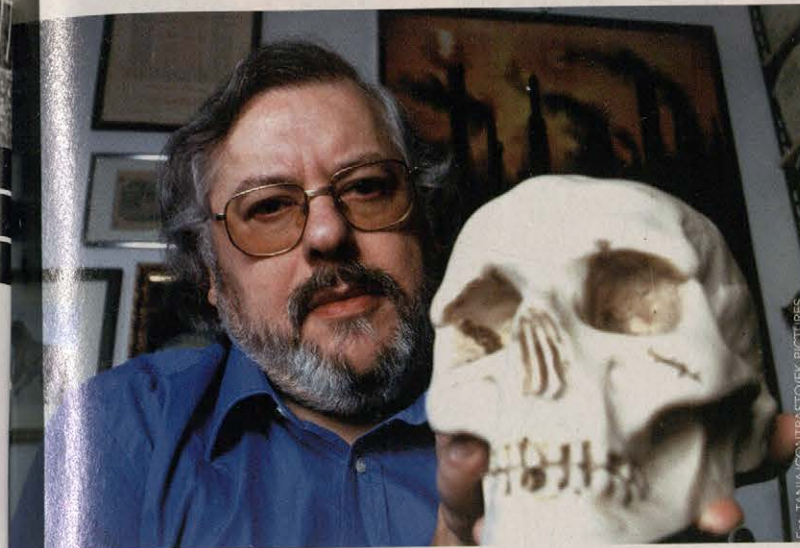
Prokurator Canessa ustalił, że od 1981 roku w tajemniczych okolicznościach zginęły cztery zaprzyjaźnione z Paccianim osoby. Łączyło je też to, że wszystkie były wcześniej podejrzewane o dokonanie niektórych zbrodni „potwora”. W 1993 roku w samochodzie spalonym w lesie koło Florencji znaleziono trupa Francesca Vinciego, który dwukrotnie był zatrzymywany przez policję w związku z morderstwami z 1968 i 1982 roku. – Nikogo nie pali się za kradzież owiec – mówił w 2001 roku w wywiadzie dla włoskiej telewizji Giovanni Calamessa, inny kompan Paccianiego, podejrzewany o bycie „potworem z Florencji”.

Wszystko wskazywało na to, że za wykonawcami zabójstw stoją ludzie, którzy z obawy przed wznowieniem procesu Paccianiego pozbyli się niewygodnego świadka – tak jak wcześniej pozbyli się jego kompanów. Mimo tych podejrzeń zleceniodawcy zabójstw byli wciąż nieuchwytni. Ktoś bardzo się starał, aby takimi pozostali.

W 2001 roku przesłuchano ludzi, którzy wiedzieli o szczegółach zabójstw więcej niż policjanci prowadzący śledztwo. Chodziło o Aurelia Matteiego, psychiatrę pracującego dla

włoskich służb specjalnych Sisde, i Francesca Bruno, kryminologa, który był jednym z obrońców Pietra Paccianiego. Pierwszy z nich w 1992 roku opublikował książkę o „potworze z Florencji”. Były w niej fakty, które policja po-

cujących w domu starców. Kobiety twierdziły, że w Villa Verde odprawiano satanistyczne rytuały. Zignorowano te zeznania, między innymi dlatego, że wśród pensjonariuszy zakładu znajdował się ojciec Francesca Fleury, ów-



Kryminolog Francesco Bruno był w zespole ekspertów, broniących „potwora z Florencji”. Na długo przed ustaleniami policji znalazł fakty łączące serię zbrodni z grupą wpływowych satanistów

znała dopiero dziewięć lat później. Okazało się, że Mattei do spółki z Franceskiem Bruno jeszcze w połowie lat 80. sporządził dla włoskich służb raport, z którego wynikało, że za serią zabójstw stoi sekta satanistów.

Jej członkowie, wywodzący się ze śmietanki towarzyskiej Florencji, mieli odprawiać krwawe rytuały w Villa Verde, położonej na uboczu rezydencji, w której mieścił się dom starców dla przedstawicieli florenckiej socjety. Raport nigdy nie trafił do policji. Utknął na biurku Vincenza Parisiego, oficera Sisde, który zrobił później szybką i błyskotliwą karierę w rzymskiej centrali służb specjalnych.

Villa Verde była jedną z rezydencji, w których Pacciani pracował jako ogrodnik. Policja skonstruowała opisane w zapomnianym raporcie fakty z zeznaniami dwóch pielęgniarek pra-

czesnego zastępcy prokuratora okręgowego we Florencji.

SILA TRADYCJI

Na trop zleceniodawców zabójstw policja trafiła po śladach innej zbrodni sprzed lat. W 1985 roku, kilka tygodni po ostatnim morderstwie dokonanym przez „potwora z Florencji”, z Jeziora Trazymeńskiego wyłowiony został doktor Francesco Narducci, szanowany ginekolog z Perugii. Za życia Narducci nie krył się ze swoją fascynacją satanizmem, więc patolog z braku wskazówek na morderstwo uznał jego śmierć za rytualne samobójstwo.

W willi, którą ginekolog wynajmował we Florencji, właściciele znaleźli po jego śmierci zakonserwowane w formalinie kobiece genitalia. Ale policji o tym nie powiadomili.

Podobno jeszcze za życia Narducciego w Perugii krążyły plotki o tym, że jest on mordercą.

Może dlatego kilka lat po domniemanym samobójstwie policja postanowiła ekshumować ciało lekarza. Wynik autopsji był zaskakujący: Narducci miał skręcony kark, a zwłoki, które w 1985 roku badał patolog sądowy, należały do kogoś innego. Śledczy rozpoczęli spóźnione poszukiwania zabójcy.

BEZIMIENNY LEKARZ

I tak trafili do San Casciano. Ustalili, że w latach 80. Narducci przyjaźnił się z aresztowanym niedawno Franceskiem Calamandrem, aptekarzem z San Casciano. Miał nawet gabinet tuż obok jego apteki. Narducci znał się także z Achille Sertolim, znanym florenckim profesorem wenerologii, oraz ze szwajcarskim artystą, który kilka lat wcześniej zatrudniał Paccianiego w swoim tokańskim domu pełnym rysunków okaleczonych kobiet.

Według śledczyh aptekarz, lekarz, wenerolog i artysta założyli we Florencji satanistyczną sektę. W Villa Verde odprawiali krwawe rytuały z użyciem ludzkich genitaliów. By je zdobyć, zlecali Paccianiemu i jego szajce morderstwa kochających się par.

Szczegóły z 30-letniego śledztwa zaczęły wreszcie układać się w całość. Po zamordowaniu Pietra Paccianiego jeden ze skazanych razem z nim mężczyzn wymienił jako zleceniodawcę zbrodni bezimiennego lekarza. Teraz stało się jasne, że miał na myśli Narducciego.

Aresztowany niedawno aptekarz Francesco Calamandrei ma podobno ciagoty artystyczne. Gdy w 1998 roku zginął Pietro Pacciani, zamknął interes i zabrał się do malowania. Kilka swoich prac podarował nawet kościołowi w San Casciano. – To były dziwne, mroczne rysunki, pełne cierpienia – mówił niedawno tamtejszy ksiądz.

JAKUB MIELNIK



Jezioro Trazymeńskie (w tle), w którym znaleziono ciało doktora Narducciego. To ono zawiadło policję do sprawców zbrodni

sała go genueńska prostytutka, której stałym klientem był Pacciani. Policjanci zignorowali te doniesienia, bo szukali kogoś znacznie inteligentniejszego od tępego półanalfabety.

Głównym podejrzany Pacciani stał się dopiero w roku 1991, gdy śledztwo w sprawie „potwora” utknęło w martwym punkcie. Był idealnym kandydatem na kozła ofiarne-

rezerwacja biletów
oraz informacja:
22/646 34 80, w klubie,
oraz poprzez witrynę
www.newmusicart.pl

13.02.2004
jezioro łabędzie

zaprasza **Pilsner Urquell** **new music art**

bopzoo bajoo

AKTIVIST PRZE KROJ 4 Radio PiN



10 lat temu żołnierze GROM-u lecieli z misją na Haiti (poniżej). Ich nadzieje na awanse okazały się płonne. Wielu odeszło z wojska. Najwyższe stanowiska od lat są zajęte przez tę samą starą gwardię (powyżej)

Fot. JAKUB OSTALOWSKI/FOTORZEPA

Polska weszła do NATO na kredyt. Nasza armia nie spełniała standardów pod względem organizacji i wyposażenia. Przez ponad pięć lat niewiele się zmieniło. W wojsku nadal rządzą ludzie wychowani w PRL-owskich realiach, którzy skutecznie blokują napływ świeżej krwi w oficerskie szeregi i uśmierzają w zarodku próby głębokich reform. Choć niemal wszyscy czynni obecnie generałowie otrzymali ten stopień po 1989 roku, to jednak wykształcenie zdobywali na radzieckich uczelniach wojskowych. Obecny szef Sztabu Generalnego 58-letni Czesław Piątas ukończył Akademię Sztabu Generalnego ZSRR. Trzeba jednak przyznać, że uzupełnił wykształcenie na rocznym kursie dla wyższych oficerów w USA.

Prasa opisywała wpadkę sprzed kilku lat na poligonie drawskim. Generałowie mieli tam specjalny oddział, który z okazji wizyt kolejnych delegacji zdobywał ten sam mostek. Operacja stała się perfekcyjna – ku zachwytom cywili. Aż na poligon



Fot. ANDRZEJ IWANCIUK/REPORTER

MŁODZI ZDOLNI, W TYŁ ZWROT!

AGNIESZKA LESIAK, DJ-S

Naszej armii grozi trwałe brzuchactwo i stetryczenie. Odchodzą młodzi oficerowie wykształceni na Zachodzie, zostają absolwenci radzieckich akademii wojskowych

przyjechał dowódca sił NATO w Europie generał Wesley Clark (dziś jeden z kandydatów na prezydenta USA). Zapytał, kto tymi żołnierzami dowodzi. Zgłosił się dowódca. – Jaką pan ma z nimi łączność? – chciał wiedzieć Clark. – Żadnej – odpowiedział dowódca. – To pan nimi nie dowodzi – ocenił amerykański generał.

– Reforma armii uda się za 20 lat, gdy z tego świata odejdzie ostatni dowódca wyuczony w moskiewskiej szkole – komentuje nasz anonimowy informator, były oficer jednostki GROM.

– Oficerowie mentalnie nadal poruszają się w świecie dawnych doktryn wojennych, z wielkimi operacjami zaczepnymi prowadzonymi przez pancerne dywizje, a nie w rzeczywistości natowskich błyskawicznych operacji przy użyciu lotnictwa i wojsk powietrznodesantowych – ocenia poseł PiS Przemysław Gosiewski, członek sejmowej komisji obrony narodowej.

– Armia, którą ci ludzie dowodzili, była szkolona do jednego celu, miała zabezpieczać tyły armii radzieckiej w czasie zwycięskiego marszu na Zachód. Tego ich uczono na woroszyłowce i Akademii Frunzego – mówi oficer GROM-u.

DOŚWIADCZENI DO CYWILA

W polskim wojsku najtrudniej się przebić oficerom z jakimkolwiek natowskim doświadczeniem. Wobec około 30-tysięcznej kadry po PRL-owskich i radzieckich akademiach wojskowych, takich, którzy mieli okazję służyć przy kwaterze głównej NATO w Brukseli, wyjechać na misje pokojowe do Bośni czy Kosowa lub – jak żołnierze GROM-u – uczestniczyć w specjalnych szkoleniach za granicą, jest zaledwie kilkuset (dokładna liczba oczywiście jest tajna!). Tylko oni zetknęli się w praktyce z nowoczesnymi sposobami dowodzenia. I właśnie oni odchodzą z armii.

– Po powrocie z zagranicznych szkoleń czy misji do macierzystej jednostki oficer często dowiadywał się, że jego etat zajął już ktoś inny. Pozostawał wtedy do dyspozycji szefa MON, co oznacza, że pobierał pensję za wieczną gotowość – mówi poseł Gosiewski.

Bez ryzyka „powracający” mógł liczyć tylko na posadę tłumacza. – Dochodziło do absurdalnych sytuacji – opowiada generał w stanie spoczynku Sławomir Petelicki, pierwszy dowódca

GROM-u, jedynej w pełni zawodowej jednostki w naszej armii. – Wojskowi goście z NATO zaczęli fachowo dyskutować z tłumaczem, a podejmujący zagraniczną delegację oficer ani w ząb nie rozumiał, o czym mowa.

Z elitarniej jednostki GROM w ciągu ostatnich trzech lat odeszło ponad stu doskonale wyszkolonych żołnierzy. – Odesłanie nas do cywila było najprostsze. Komandosem nie można być dożywotnio, a przełożeni nie musieli się martwić, gdzie nam znaleźć miejsce, byśmy nie stracili przy okazji pieniędzy – mówi były GROMowiec, 39-latek.

NIESŁUSZNE POSTAWY PRZYWÓDCZE

Z GROM-u odszedł również Jarosław Jędrzejowski, absolwent amerykańskiej akademii West Point. – Zasady wynagradzania zmieniły się na naszą niekorzyść, a ja miałem ofertę z prywatnej firmy komputerowej. Specjalistą od informatyki zostałem w West Point.

Jedynym, który próbował zatrzymać Jędrzejowskiego, był ówczesny dowódca GROM-u Roman Polko. – Nie chcę zdradzać, jakich używał argumentów, ale na pewno nie finansowych – mówi Jędrzejowski.

Jędrzejowski trafił do West Point po pierwszym roku Wojskowej Akademii Technicznej, gdzie poszedł, bo chciał być naukowcem. – Nie mam do wojska pretensji. Dało mi niepowtarzalną szansę – podsumowuje dyplomatycznie Jędrzejowski. Dodaje, że nie rozumie, czemu tak postępuje się z GROM-em, ale chciałby wierzyć, że to ma sens w jakimś szerszym wymiarze.

Amerykanie za własne pieniądze wykształcili jeszcze kilku Polaków, także w Akademii Sił Lotniczych USA w Colorado Springs. Absolwent tej uczelni Piotr Błazeusz w imieniu polskich żołnierzy witał co prawda prezydenta Billa Clintona podczas jego wizyty w Warszawie w 1996 roku, ale potem został tłumaczem w MON. Dziś pracuje na placówce w USA.

– Tylko dzięki wystąpieniu przed Clintonem – uważa nasz informator – Wysoki był, mówił głośno, Amerykanie się o niego dopytywali.

Inny absolwent Colorado Springs Piotr Nowak służy w siłach ONZ na wzgórzach Golan, gdzie dowodzi generał Franciszek Gągor, do niedawna szef generalnego zarządu operacyjnego Sztabu Generalnego, który jako pierwszy cudzoziemiec ukończył prestiżowy War College w Waszyngtonie.

Kilku innych Polaków wykształconych na amerykańskich uczelniach wojskowych pracuje w cywilnych firmach.

– Po ich powrocie przełożeni uznali, że Amerykanie niczego tych młodych żołnierzy nie nauczyli, a jedynie ukształtowali w nich „postawy przywódcze”. A to w polskiej armii nie jest zbyt przydatne – mówi Bronisław Komorowski, eks-minister obrony w rządzie Jerzego Buzka, obecnie poseł Platformy Obywatelskiej typowany na ministra obrony w przyszłym rządzie PO. – Mimo wszystko szkoda, że ich zmarnowano.



Fot. JAKUB OSTALOWSKI/RZECZPOSPOLITA/REPORTER



Fot. MACIEJ MACIEK/REPORTER

Od góry: Roman Polko, lat 41, były dowódca GROM-u
Tadeusz Sapierzyński, lat 45, obecny dowódca GROM-u

Według Komorowskiego podobny problem za chwilę zaczną się z kobietami, absolwentkami Wojskowej Akademii Technicznej. – Przyjęli je, bo ładnie w telewizji wyglądały, ale pomysłu, co z nimi zrobić po szkole, nie ma żadnego.

ŚLIWKA W BECZCE

GROM, jedyna polska formacja potrafiąca walczyć z terroryzmem, też stał się polem walki o etaty i wpływy.

Dowódca jednostki pułkownik Roman Polko w styczniu zrezygnował ze stanowiska. Nie w pełni zgadzał się z koncepcją MON, według której GROM miałby dołączyć do trzech innych jednostek, tworząc w armii pion sił specjalnych. Uważał, że to sztabowi GROM-u powinny być podporządkowane podobne oddziały i antyterrorysty z MSWiA. Nasz informator podsumował to po wojskowemu: „Polce chodziło o to, że jak się wrzuci śliwkę do beczki z g..., to kompotu z tego nie będzie!”.

– Śmiesz mnie sugestie, że Polko zrezygnował, bo podczas konfliktu ze sztabem puściły mu nerwy. To nadzwyczaj spokojny, pragmatyczny człowiek – mówi generał Petelicki. – Wiedział, że nie przekona zwierzchników do swojej koncepcji. I że nie ma szans na drugą kadencję. I tak latem straciłby pracę.

Poseł Gosiński przypuszcza, że może Sztab Generalny chciał przejąć kontrolę nad tym, ko-

go przyjmuje się do GROM-u, bo to zbiór inatratnych etatów (GROM-owcy zarabiają 60 procent więcej niż inni żołnierze). Kandydatów spełniających wymogi zawsze był nadmiar, a to Polko wybierał. I był niewzruszony na sugestie.

Sztab Generalny wygrał zatem na całej linii. 41-letni Polko odszedł na emeryturę, a jego następcą został 45-latek Tadeusz Sapierzyński, dowódca operacji specjalnych... Sztabu Generalnego. Jedna z kolorowych gazet opublikowała zdjęcie nowego dowódcy naszych komandosów – człowieka z wyraźną nadwagą – i opatrzyła je pytaniem „Ciekawe, ile razy podciągniesz się na drążku?”.

Roman Polko otrzymał ofertę pracy w charakterze doradcy głównodowodzącego siłami amerykańskimi w Iraku generała Ricardo Sancheza. Pułkownik Adam Stasiński z MON oświadczył, że sztab nie zamierza łączyć GROM-u z innymi jednostkami i że nic mu nie wiadomo o propozycji Amerykanów dla Romana Polko.

– Jeśli teraz obniży się sprawność bojowa GROM-u, złożę do prokuratury doniesienie o popełnieniu przestępstwa – zapowiada Petelicki. – Sztab przez 13 lat nie stworzył ani jednej tak wartościowej jednostki, a teraz może zaprzepaścić to, co w armii najlepsze.

LICZBA JEDNAK TAJNA

– W ich interesie jest, by armia jak najwolniej stawała się zawodowa – mówi generał Petelicki o wojskowej kadrze. – Żołnierzami służby zasadniczej, którzy nie znają swoich praw i chcą jedynie doczekać przejścia do rezerwy, dowodzi się łatwiej. No i tacy żołnierze „w ramach ćwiczeń” bez szemrania wykopią rów na kabel dla zaprzyjaźnionej firmy telekomunikacyjnej.

Gdy zapytaliśmy w Ministerstwie Obrony, w jakim stopniu polska armia jest zawodowa, usłyszeliśmy: – W 55, może 65 czy wręcz 75 procentach! To wielki sukces ministra Szmajdzińskiego – pochwalił przełożonego pułkownik Adam Stasiński z działu prasowego MON.

Trudno więc określić ten sukces w procentach. Na pewno za to wiadomo, że sztabowi nie udało się powołać ani jednej zawodowej jednostki, bo GROM powstał w strukturach MSWiA dzięki pomocy Amerykanów. – Ale do 2008 roku takich jednostek będzie 31, czyli aż 32 procent wszystkich jednostek w armii, których liczba jest jednak tajna – zapewnia pułkownik Stasiński.

Generał Petelicki uważa poza tym, że dowódzić zawodowym wojskiem trzeba umieć i dlatego GROM w czasie operacji w Iraku podlegał bezpośrednio Amerykanom.

WOJSKO SIĘ OPŁACA

W wojsku istnieją nieformalne grupy interesów, co jest dodatkowym powodem, dla którego starym kadrom warto zabiegać o zachowanie stanowisk. Odejście zakorzenionego dowódcy jednostki podważa cały układ, a tym mało kto jest zainteresowany.

Najwyższa Izba Kontroli wykazała, że duże pole do nadużyć dają zwłaszcza Agencja Mienia Wojskowego i Wojskowa Agencja Mieszkaniowa. W raporcie z kontroli NIK w Wojskowej Agencji Mieszkaniowej w Szczecinie (dotyczy lat 1998–2001) czytamy: „Stwierdzone nieprawidłowości, uchybienia i błędy wskazują na możliwość występowania w Oddziale Rejonowym zjawisk korupcyjnych (...). Nieprawidłowości przede wszystkim polegały na braku zapewnienia równego dostępu zainteresowanych do informacji o nieruchomościach przeznaczonych do sprzedaży, lekceważeniu posiadanej dokumentacji, dowolności interpretowania zasad i trybu organizowania przetargów”. Temu wszystkiemu sprzyjał „brak skutecznej i wystarczającej kontroli wewnętrznej Agencji”. Wiele raportów NIK nosi klauzulę tajności.

REFORMA DO ŁÓDOWKI

Choć o konieczności redukcji kadry dowódczej mówi się od 13 lat, sztaby zamiast maleć, wciąż się rozrastają (do Sztabu Generalnego dowództwa wojsk lądowych wkrótce dołączy dowództwo operacji połączonych).

Pułkowników mamy więcej niż Brytyjczycy, Francuzi i Niemcy razem wzięci. Pułkownicy są więc kierownikami aptek, pracują w biurach, tego stopnia dosłużyli się nawet lekarze ginekologów wykształceni w łódzkiej WAM.

– Zasadą reformy miało być pełnienie przez dowódcę służby tylko przez trzy lata. Później należy go albo awansować, albo odwołać, dając szansę awansu kolejnym – tłumaczy Bronisław Komorowski. Generałowie wymogli jednak na politykach rozmiękczenie przepisów i ustawa w obecnym kształcie dopuszcza, że jednych się wymieni, ale inni zostaną na drugą kadencję.

Minister obrony narodowej jest konkurentem Sztabu Generalnego w zarządzaniu armią. Sztab, oficjalnie organ planistyczny, w praktyce działa jak filtr między cywilnym ministrem a dowództwami sił zbrojnych.

– A powinien być tylko zapleczem MON – przypomina Bronisław Komorowski.

W lipcu wchodzi w życie ustawa o żołnierzach zawodowych, która prawdopodobnie zamrozi obecny stan rzeczy na kolejne trzy lata. Nakazuje ponowne mianowanie oficerów na wszystkie stanowiska dowódcze. Teoretycznie stwarza więc możliwość przeglądu i wymiany kadr w armii. Minister Jerzy Szmajdziński zdecydowaną większość mianowań pozostawił jednak w gestii generałów, ograniczając własną kontrolę nad armią. Po dostojnych i zasłużonych dowódcach trudno się spodziewać, że sami zwolnią siebie i swoich kolegów, dając miejsce młodszemu i nowocześnie wykształconemu.

AGNIESZKA LESIAK, DJ-S

JAKĄ MAMY ARMIE

Stan na 31 grudnia 2003

Liczebność wojska: **150 tysięcy**
Kadra zawodowa: **73 tysiące**
W służbie stałej jest **61 tysięcy**, w tym 118 generałów, 12 802 oficerów starszych, 16 783 oficerów młodszych, 21 295 chorążych, 10 020 podoficerów zawodowych.

Prezydent RP i Rada Ministrów są naczelnymi organami kierowania obronnością.

Najwyższym zwierzchnikiem sił zbrojnych jest prezydent.

W czasie pokoju armią kieruje jednak minister obrony przy pomocy **MON**. Organem planowania strategicznego sił zbrojnych jest **Sztab Generalny WP** – integralna część MON. Natomiast Dowództwa Rodzajów Sił Zbrojnych dowodzą wszystkimi podległymi im wojskami.

W czasie wojny siłami zbrojnymi dowodzi Naczelny Dowódca Sił Zbrojnych RP mianowany przez Prezydenta RP na wniosek premiera.

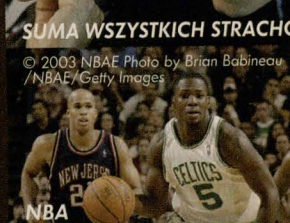
Rodzaje wojsk:
lądowe, lotnicze i obrony powietrznej, marynarka wojenna.

ZOBACZ PRZYSZŁOŚĆ

CODZIENNIE
PREMIERA

Film Stevena Spielberga
RAPORT MNIEJSZOŚCI
w lutym w CANAL+.

Wejdz w świat
wspaniałego filmu
i pasjonującego
sportu!
Czeka Cię
wiele premier
i wydarzeń
sportowych.



CANAL+

CANAL+
ZŁOTY

CANAL+
NIEBIESKI

W CYFROWEJ JAKOŚCI TYLKO NA PLATFORMIE

CYFRA+

CANAL+

Włącz si

Sprawdź, co jeszcze możesz zobaczyć: 0 801 801 999, (22) 541 88 88

www.canalplus.pl



Irak to jeden z najbardziej wolnych rynków na świecie. Na ulicach handluje się wszystkim, jak w Polsce na początku lat 90.

Nasze ostatnie nadzieje rozwiała Condoleezza Rice, doradca prezydenta USA do spraw bezpieczeństwa narodowego. W ubiegłym tygodniu, w czasie wizyty Aleksandra Kwaśniewskiego w Waszyngtonie, powiedziała, że jej rząd nie ma ani prawa, ani zamiaru ingerować w przebieg przetargów na odbudowę Iraku. Trudno było oczekiwać czegoś innego, skoro przed podjęciem decyzji o wysłaniu tam naszych żołnierzy nie postawiliśmy prezydentowi Bushowi żadnych warunków. Polacy uwierzyli, że rząd USA sam z siebie z otwartymi ramionami przyjmie gospodarcze oferty najwierniejszego z sojuszników. Dlatego na listę firm szukających kontraktów w Iraku (utworzoną przez Ministerstwo Gospodarki

i Krajową Izbę Gospodarczą) na wyścigi wpisało się 1600 przedsiębiorstw.

– To było nierealne. Marines dopiero załknęli w Bagdadzie flagę, a my już widzieliśmy siebie z workami dolarów – ocenia teraz pracownik spółki Budimex Dromex.

– Ci z listy nadal czekają – powiedział nam Jerzy Glasgall, prezes warszawskiej firmy telekomunikacyjnej Opto. – My wszystko załatwiliśmy sami. W sierpniu ubiegłego roku nasz człowiek po prostu pojechał do Bagdadu i poszedł do budynku tymczasowego ministerstwa komunikacji. Za szybą wisiało ogłoszenie o przetargach na odbudowę systemów telekomunikacyjnych. Wystartowaliśmy w trzech i je wygraliśmy.

LUPY DAWNO PODZIELILI

Rząd USA jest w Iraku największym inwestorem. Pieniądze pochodzą z budżetu federalnego, czyli z kieszeni amerykańskich podatni-

ków. Jeszcze przed wybuchem wojny, na początku marca 2003 roku, do głównego rządowego przetargu na udział w odbudowie Iraku zaproszono wyłącznie amerykańskie korporacje: kalifornijskie Bechtel Group Inc., Fluor Corporation i Parsons Corporation należące do Halliburton/Kellogg Brown & Root oraz Louis Berger Group z New Jersey.

Tak się jakoś złożyło, że jednym z prezesów Bechtela był ekssekretarz obrony USA, republikanin Caspar Weinberger (firma współpracowała już z administracją USA przy odbudowie Bośni i Kosowa), a obecny wiceprezydent Dick Cheney do 2000 roku szefował Halliburton.

Dziś kolejne przetargi ogłasza w Internecie cywilna Agency for International Development (USAID), a także – nieco bardziej skrycie – różne agencje wojskowe. – I w cywilnych, i w wojskowych przetargach mają prawo startować tylko firmy amerykańskie – tłumaczy Marek Kłoczko, sekretarz generalny Krajowej

KONTRAKTY NA PIASKU PISANE

AGNIESZKA LESIAK, DJ-S



Fot. L. DOWNING/REUTERS/FORUM

Fot. M. MACIEŻYŃSKI/REPORTER

Tylko jedna polska firma podpisała dotąd kontrakt handlowy w Iraku! Amerykanie jeszcze przed wybuchem wojny prawdziwe zyski zagwarantowali wyłącznie sobie. I chętniej dzielą się nimi z wrogimi obalaniu Saddama Niemcami niż z Polską

zby Gospodarczej. – Polskie przedsiębiorstwo może ewentualnie zostać podwykonawcą firmy z USA.

Na przykład do zwycięskiego Bechtela zgłosiło się 20 tysięcy przedsiębiorstw z całego świata. Ale jak dotąd Amerykanie ani razu nie wybrali firmy z Polski. Może dlatego, że według nich nawet Bartimpex Aleksandra Gudzowatego to *small business*.

– Żeby moja firma mogła wystartować w jednym z mniejszych styczniowych przetargów o wartości 200 milionów dolarów, amerykańska administracja Iraku CPA specjalnie zmniejszyła jego wartość do 75 milionów dolarów. Uznali, że nam, Polakom, jako sojusznikom coś się należy, ale niestety, do wyjściowej kwoty przetargu mamy za mały obrót – mówi polski biznesmen, który chce zachować anonimowość. – Wcześniej mieliśmy u siebie gości z USA. Sprawdzali, czy istniejemy, czy naprawdę mamy konta bankowe i tym podobne.

Na wynik przetargu na podwykonawstwo czeka też Bumar, holding 17 polskich firm zbrojeniowych. Chce zaopatrywać wojska koalicji i powstające irackie jednostki w sprzęt, mundury i wyposażenie. – Bumar ma dobrą ofertę, ale decyzja o podwykonawcy będzie polityczna – ocenia sekretarz KIG.

Bumar walczy o kontrakt wart około 500 tysięcy dolarów. Dla porównania: kontrakt Bechtela wart jest w sumie 680 milionów dolarów.

NA WŁASNĄ RĘKĘ

Bez przetargów i kontraktów w Iraku handluje już kilka naszych firm. To jeden z najbardziej wolnych rynków na świecie, do grudnia nie było tam nawet ceł. Korzystając z tego, Wtórpol ze Skarżyska-Kamiennej sprzedał Kurdów z północy kilka kontenerów używanej odzieży odkupionej od Polskiego Czerwonego Krzyża, Fabryka Narzędzi i Pił z Bielska-Białej sprzedała w Bagdadzie

kontener brzeszczotów, a warszawski Wipol – kontener nowych dżinsów.

Bezpośrednio w Iraku łatwiej też niż w Waszyngtonie o handlowe umowy. Władzę sprawuje składająca się z Irakijczyków Rada Zarządzająca, która powołała tymczasowych ministrów (wszystkie jej decyzje podlegają formalnej akceptacji CPA, a cywilny administrator Iraku Paul Bremer ma prawo weta). Rada – oprócz Bechtela i samego CPA – też ogłasza mniejsze, dostępne dla każdego przetargi, na przykład na dostarczenie kilku tysięcy par roboczych rękawic, generatorów lub wyposażenie szpitala.

Właśnie do takiego lokalnego przetargu stało wspomniane Opto. Wygrało i do końca kwietnia musi dostarczyć kable miedziane, akcesoria do ich montażu oraz szafy dystrybucyjne warte w sumie 7,5 miliona dolarów. – Amerykanie „chirurgicznie” bombardowali stacje telefoniczne, a później Irakijczycy



Od lewej: Marek Kłoczko, sekretarz generalny Krajowej Izby Gospodarczej; Marek Kubicki, który w Iraku reprezentuje interesy polskich firm (Bartimpex, ComputerLand); irackie drogi budowane przed laty przez Polaków

W poniedziałek 9 lutego w Gazecie Wyborczej

gazeta **DUŻY FORMAT**

Zbigniew Libera
**Przy artyście
nikt nie jest
bezpieczny**

Od ośmiu lat nie miał w Polsce
żadnej wystawy. Teraz autor
głośnego obozu koncentracyjnego
z klocków lego powraca.
**Grzesznieszy
czy grzecznieszy?**

poniedziałek **gazeta** **DUŻY FORMAT**
WYBORCZA

Przeczytaj również: ■ Żubry mogą nam wymrzeć jak dinozaury – ostrzega Adam Wajrak ■ Jak seksualne marzenia przekuć w realny związek – radzi prof. Violetta Skrzypulec ■ Szczęśliwi Ukraińcy w Polsce ■ Manniak na autostradzie do piekła ■ Twarze tygodnia

wykopali kable z ziemi – mówi Jerzy Glasgall, prezes Opto.

Opto wraz z firmą Wasko z Gliwic staje też do kolejnego przetargu – na stworzenie billingu, czyli systemu zbierania danych abonentów dla całego Iraku. Serwery mają być zachodnie, ale oprogramowanie polskie. W ich ślady idzie opolska firma budowlana Jedynka. Chce remontować lotnisko w Bagdadzie.

JEDŹCIE DO BAGDADU

– Ogłaszane przez władze Iraku przetargi mają zwykle dwutygodniowe terminy od dnia ogłoszenia do zamknięcia przyjmowania ofert. Żeby zdążyć, trzeba być na miejscu – mówi Marek Kłoczko z KIG. Polska firma musi zatem mieć w Iraku przedstawiciela lub wchodzić w spółkę z kontrahentem z Kuwejtu, Arabii Saudyjskiej, Jordanii czy Turcji. Polacy starają się właśnie o współpracę z saudyjską spółką, która zbuduje linię kolejową łączącą Irak z Arabią Saudyjską. Ułatwi ona pielgrzymki Irakijczyków do Mekki, świętego miasta muzułmanów. – Jeśli rzecz dojdzie do skutku, będzie to najdłuższa powstająca obecnie na świecie linia kolejowa – wyjaśnia Marek Kłoczko.

Celem pielgrzymek przedsiębiorstw jest z kolei Bagdad, do którego ciągną tłumy przedstawicieli firm. Oprócz Amerykanów najwięcej zarobili tam dotąd Niemcy. Oba kraje politycznie się spierają, ale gospodarczo idealnie dogadują. Niemiecki gigant Siemens AG na zlecenie Amerykanów wybuduje w Iraku elektrownię za 95 milionów dolarów. Realizuje też kilka mniejszych inwestycji wartych w sumie 50 milionów dolarów. Natomiast już bez USA, w ramach odmrożonego na prośbę ONZ programu „Ropa za żywność”, niemiecki koncern znów – tak jak za czasów Saddama – dostarcza do Iraku sprzęt medyczny.

Stare umowy odnowili też Rosjanie. Na irackie drogi do kwietnia trafi pięć tysięcy rosyjskich wołów przerobionych na taksówki. Umowę na 44 miliony euro rosyjski koncern GAZ podpisał jeszcze z reżimem Saddama. Kontrakt potwierdziła Rada Zarządzająca. Wozy dotrą do Iraku do kwietnia. Irakijczycy uznali, że ich prosta konstrukcja gwarantuje wieloletnie

użytkowanie. Prosimy tylko o klimatyzację i sprawniejszy system chłodzenia silnika.

MORALNI ZWYCIĘZCY

My nie bardzo umiemy dogadać się nawet z samymi Irakijczykami, choć przecież byliśmy obecni na tamtym rynku przez wiele lat. Amerykańskie czołgi wjechały do Bagdadu Autostradą Słońca, którą wybudowało polskie przedsiębiorstwo Dromex (teraz Budimex Dromex). – Droga pięknie te czołgi wytrzymała – mówią budowlancy z Dromeksu, wciąż dumni ze swojej roboty. Dzisiaj w Iraku panuje 70-procentowe bezrobocie, nie ma więc mowy, by jak dawniej firmy z Polski organizowały wyjazdy tysięcy robotników z obsługą. Zresztą to nieopłacalne. – Tam nie ma stabilizacji, za wcześniej na odbudowę. Jak dotąd przetargi na remonty tamtejszych autostrad są zbyt mało warte, by Budimex Dromex chciał ryzykować bezpieczeństwo personelu – wyjaśnia rzecznik firmy.

Inne wielkie polskie cywilne konsorcja na razie w ogóle nie startują w irackich przetargach. Zdecydowała się tylko TP SA, ale przegrała ogłoszony przez Radę Zarządzającą przetarg na budowę sieci telefonii komórkowej. Szkoda, bo słynny iracki bloger ukrywający się pod pseudonimem Salam Pax pisze w Internecie, że zapobiegliwi Irakijczycy stoją już w kolejkach po komórki (choć oficjalnie sieci są teraz dostępne tylko dla władz cywilnych i wojskowych).

Praktyka pokazała, że gospodarczo przegrywamy w Iraku wszystko, co tylko można. Jak zawsze zostaje nam dobre imię i ideały. Podczas gdy Unia Europejska otwarcie i nieustannie negocjuje z administracją amerykańską warunki współfinansowania odbudowy Iraku, nasz minister spraw zagranicznych Włodzimierz Cimoszewicz mówi, że wysłaliśmy wojsko jedynie po to, by szerzyć demokrację.

AGNIESZKA LESIAK, DJ-S

AMBASADA RP W BAGDADZIE
ADRES: HAY AL-WAHDA, MAHALLA 904,
ZUKAK 60, HOUSE 22/24, BAGHDAD, IRAQ
TEL. (SAT.): 00873-762053413
FAXS (SAT.): 00873-762053415
E-MAIL: AMBASPOL@TLEN.PL; POLTRADE@TLEN.PL

ABC DZISIEJSZEGO IRAKU

• Do Iraku najłatwiej się dostać przez Jordanię lub Syrię. Koszt wynajęcia taksówki od granicy do Bagdadu to około 200–250 dolarów. Możliwy jest też wjazd przez Turcję. Przejścia graniczne z Kuwejtu, Arabii Saudyjskiej oraz z Iranu nie są zalecane ze względów bezpieczeństwa. Brakuje cywilnych połączeń lotniczych. W miarę regularnie pływają promy towarowo-pasażerskie ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich i Bahrajnu do portu Umm Kasr.

• Nie ma wiz. Iracka straż graniczna stempluje w paszportach datę wjazdu. Pobyt w Iraku nie powinien przekraczać 90 dni, ale wymóg ten nie jest przestrzegany.

• Działają tylko telefoniczne sieci lokalne i telefony satelitarne.

• Lokalne firmy instalują Internet satelitarne za trzy do pięciu tysięcy dolarów, koszt abonamentu: 250–700 dolarów miesięcznie. Funkcjonują płatne kawiarenki internetowe.

• Doba w hotelu w pokoju jednoosobowym o przyzwoitym standardzie z łazienką i telewizją satelitarną kosztuje 40–100 dolarów. Za wynajęcie domu o powierzchni 200–250 metrów kwadratowych płaci się około 25–50 tysięcy dolarów rocznie. Obcokrajowcy nie mogą kupować nieruchomości.

• Kilkanaście banków komercyjnych prowadzi operacje w walutach zagranicznych, otwiera i obsługuje rachunki indywidualne i rachunki firm, wymienia pieniądze, przyjmuje i wysyła przelewy z banków zagranicznych.

• Od 15 stycznia 2004 r. stare dinary z wizerunkiem Saddama Husajna zastąpiono nowymi banknotami o większych nominałach. Można też płacić dolarami. Ceny towarów i usług po przeliczeniu porównywalne są do polskich.

• Od 1 stycznia tego roku obowiązuje pięcioprocentowy podatek celny na odbudowę Iraku, z którego zwolnione są między innymi: żywność, lekarstwa, sprzęt medyczny, książki, artykuły szkolne oraz pomoc humanitarna.

Chore twarde jądro

James
Graff



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE JAMESA GRAFFA

Niemcy i Francja
zawsze były kołem
zamachowym
integracji
europejskiej.
Ale mniejsze
państwa uważają,
ze Berlin i Paryż
mogłyby się
posunąć i oddać
innym
kierownicę

Nie wszystko w tym roku w Davos było inne – śnieg padał mocno jak zawsze, światowi przywódcy sypali jak z rękawa nowymi pomysłami, a w lesie wciąż czał się groźny niedźwiedź. Był to już jednak inny niedźwiedź, a i las wydawał się sympatyczniejszy. W ubiegłym roku przywódcy z Europy i wielu innych państw świata przeciwstawiali się planom obalenia Saddama Husajna przez globalnego hegemonów – Stany Zjednoczone.

Tym razem na Światowym Forum Ekonomicznym w Davos miała miejsce znacznie bardziej subtelna debata, podczas której kraje europejskie tropiły hegemonów we własnych szeregach – Niemcy i Francję.

Nostalgia za małą Europą

Co do współpracy transatlantyckiej, panował ostrożny optymizm, natomiast podczas wielu spotkań dało się odczuć wyraźne napięcie związane z pytaniem, kto tak naprawdę przewodzi Europie? W czasie jednego z lunchów przywódca państwa mającego wkrótce stać się członkiem UE wyraźnie obruszył się, gdy ktoś określił Wielką Brytanię, Francję i Niemcy mianem liderów europejskiej polityki.

W czasie innej dyskusji prezydent Polski Aleksander Kwaśniewski narzekał, że zeszłoroczna debata nad konstytucją europejską „pogłębiła deficyt demokracji. Nowych państw nie dopuszczano do dyskusji aż do samego końca. [Nowi członkowie UE – przyp. red.] uważają, że Niemcy i Francuzi chcą więcej władzy dla siebie i dyktują nam swoje warunki”.

Z kolei hiszpańska minister spraw zagranicznych Ana Palacio powiedziała, że część opinii publicznej we Francji i Niemczech „z nostalgią wspomina małą, starą, wygodną Europę i dostaje zawrotów głowy, widząc, jak wygląda ona teraz”.

Pomysł elitarnego „jądra Europy”, które z Francją i Niemcami na czele szybko jednoczyłoby się na płaszczyźnie politycznej, oraz pozostałych państw idących wolniejszym tempem postrzegano kiedyś jako impuls do szybszej integracji.

Zepsuty silnik integracji

Obecnie, jak mówi były lider niemieckich chadeków Wolfgang Schäuble, który w 1994 roku ukuł to określenie wraz z Karlem Lamerssem, „termin ten używany jest jako groźba. Innymi słowy, jeżeli nie jesteście gotowi, to zrobimy to sami”. Ale gotowe nie są dziś właśnie Francja i Niemcy.

Trzy tygodnie temu Komisja Europejska ogłosiła, że Francja i Niemcy (oraz Belgia) mają największe zaległości wśród członków UE we wprowadzaniu do ustawodawstwa krajowego unijnych zasad wspólnego rynku. Ani Francji, ani Niemiec nie ma wśród ośmiu krajów UE, które wprowadziły europejski nakaz aresztowania, podstawowe narzędzie wspólnej polityki w dziedzinie wymiaru sprawiedliwości. Komisja Europejska pozwała zaś do sądu Radę Unii Europejskiej (brukselskie ciało reprezentujące państwa unijne) za to, że w listopadzie ubiegłego roku pozwoliła Niemcom i Francji na bezkarne złamanie powszechnie obowiązujących zasad dyscypliny budżetowej.

Jeżeli wielu obserwatorów postrzega dziś „jądro Europy” bardziej jako zagrożenie niż jako szansę, to dzieje się tak w dużej mierze dlatego, że francusko-niemiecki silnik nie działa już tak jak kiedyś. Niemiecka gospodarka pogrążyła się w stagnacji, a francuska opinia publiczna jest w najlepszym razie sceptyczna wobec poszerzenia w maju tego roku Unii o 10 nowych członków.

– Niemcy i Francja nie mają już tak silnej pozycji moralnej jak kiedyś – mówi Daniel

Gros, dyrektor brukselskiego instytutu badawczego Centrum Europejskich Studiów Politycznych. Jego zdaniem ponieważ oba te państwa często bardzo różniły się w kluczowych sprawach – takich jak stosunki ze Stanami Zjednoczonymi, interwencjonizm państwowy czy zasady tworzenia wspólnej waluty – kompromis zawarty między nimi popierała zazwyczaj większość pozostałych państw członkowskich. Dziś już tak nie jest.

Zniszczone zaufanie

Obecnie Francja i Niemcy często już na początku przyjmują wspólne stanowisko, które dla reszty jest nie do zaakceptowania. Dobrym przykładem jest tu spór o wojnę w Iraku, w którym Francja i Niemcy oraz kilku ich mniejszych popleczników stanęły przeciw Wielkiej Brytanii i większości państw środkowo-europejskich. – Wzajemne zaufanie zostało zniszczone, ponieważ Francja i Niemcy ogłosiły wszem i wobec, że ci, którzy nie podzielają ich opinii, nie są dobrymi Europejczykami – mówi Schäuble.

Podobny przebieg miało spięcie nad deficytem budżetowym, choć jego przyczyny były zupełnie inne. Mniejsze państwa, w rodzaju Holandii i Austrii, zapytały: „Dlaczego mamy ponosić wyrzeczenia, by sprostać wymaganiom budżetowym, skoro dwie największe

gospodarki strefy euro nic sobie z nich nie robią?”. – Powinniśmy traktować obowiązujące zasady poważnie – powiedział w Davos premier Holandii Jan Peter Balkenende. – To kwestia podstawowej uczciwości.

Europa jest równie podzielona w sprawie unijnej konstytucji. Irlandzki premier Bertie Ahern, którego kraj objął w styczniu sześciomiesięczne, rotacyjne kierownictwo w UE, zapowiedział niedawno, że ze wszystkich sił będzie się starał przezwyciężyć podziały związane z kwestią ważenia głosów. Powodzenia, Bertie!

Niemcy i Francja oraz większość małych państw uważają, że w poszerzonej Unii łatwiej będzie dochodzić do kompromisu przy zastosowaniu systemu głosowania opartego na liczbie ludności w poszczególnych krajach. Taki mechanizm zawarty jest w projekcie unijnej konstytucji. Polska i Hiszpania bronią natomiast silnej pozycji, jaką przyznał im podpisany w 2000 roku traktat nicejski.

W Polsce bezkompromisowe stanowisko rządu w tej sprawie było jedną z nielicznych jego decyzji, która zyskała powszechną aprobatę w ostatnich miesiącach. Wicepremier Józef Oleksy powiedział, że ostatnio w Polsce zaczyna pojawiać się stanowisko bardziej pragmatyczne, ale większość obserwatorów w Brukseli nie wierzy, by spór wokół konstytucji dało się szybko rozwiązać.

Londyn nowym tłokiem?

Być może dlatego, że francusko-niemiecka koncepcja „jądra Europy” jest tak źle zdefiniowana, niektórzy podchodzą do niej z dużą nieufnością. Petr Necas, wiceprzewodniczący Komisji Integracji Europejskiej w czeskim parlamencie, postrzega ją jako „projekt antyamerykański”, którego celem jest stworzenie „jakiejs formy francusko-niemieckiego dyktatoratu”, który mógłby osłabić Sojusz Północnoatlantycki.

Przyjmując taką optykę, można uznać, że Niemcom i Francji udało się pozyskać Wielką Brytanię, która w tym zacinającym się silniku może stać się nowym tłokiem. Wspomniana trójka osiągnęła w listopadzie ubiegłego roku kompromis w sprawie tożsamości obronnej UE, która nie zagrażałaby NATO. Na 18 lutego wyznaczono kolejne spotkanie, podczas którego według słów jednego z doradców Blaira „wszyscy będą ciężko pracować nad formułą współpracy trójstronnej”.

Mimo licznych ostatnio dyskusji idea „Europy wielu prędkości” nie jest niczym nowym. Wielka Brytania, Szwecja i Dania pozostają poza strefą euro. Londyn i Dublin nie przystąpiły do układu z Schengen umożliwiającego swobodne przekraczanie granic. Jeśli Niemcy i Francja chcą pozostać na czele stawki, muszą zrobić wszystko, by idea „jądra Europy” przestała być zagrożeniem i na powrót stała się motorem integracji.

JAMES GRAFF

JAMES GRAFF JEST DZIENNIKARZEM I REDAKTOREM TYGODNIKA „TIME”. W LATACH 1998–2002 PROWADZIŁ BRUKSELSKI ODDZIAŁ „TIME’A”, A WCZEŚNIEJ PISAŁ DLA TEGO TYGODNIKA O PROBLEMATYCE ŚRODKOWOEUROPEJSKIEJ. OBECNIE MIESZKA W PARYŻU

WSPÓŁPRACA: WILLIAM BOSTON, BERLIN; LEO CENDROWICZ, BRUKSELA; HELEN GIBSON I J.F.O. McALLISTER, LONDYN; TADEUSZ L. KUCHARSKI, WARSZAWA; JAN STOJASPAŁ, PRAGA

© 2004. TIME INC. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE. TŁUMACZENIE I PRZEDRUK Z „TIME MAGAZINE” ZA ZGODĄ TIME INC. POWIELANIE CAŁOŚCI LUB CZĘŚCI ARTYKUŁU W JAKIKOLWIEK SPOŚÓB I W JAKIMKOLWIEK JĘZYKU BEZ UPRIEDNIEJ PISEMNEJ ZGODY TIME INC. JEST ZABRONIONE



Rezygnuje z kariery biznesowej, żeby zrobić porządek w telewizji publicznej. Ale czy człowiek tak wyważony zdobędzie się na drastyczne decyzje i dokona niezbędnej rewolucji? Z nowym prezesem TVP **JANEM DWORAKIEM** rozmawia Piotr Najsztub

NIE PACHNIE KWIATKOWSKIM

W

yłował pan szóstkę w totolotka?

– Nie mam takiego poczucia.

A kiedy wcześniej nie przeszedł pan do finału, to gładko się z tym pogodził?

– Tak.

Nie miał pan poczucia niesprawiedliwości?

– Nie wszedłem do finału, jednak pamiętałem, że jest jeszcze stanowisko wiceprezesa do spraw programowych.

Jest pan bardzo dużym, odnoszącym sukcesy producentem telewizyjnym i filmowym. Po co pan właściwie startował w tym konkursie?

– Sam się teraz zastanawiam... To był impuls i wcale tego nie żałuję. Ale jak zastanawiam się nad tym głębiej, to mam na przykład takie poczucie, że nie skończyłem kiedyś zaczętej pracy, że to, co jest do zrobienia w telewizji, jest bardzo ważne, że sama telewizja publiczna jest bardzo ważna. To we mnie gdzieś tam tkwi. Proszę wybaczyć, że tak mówię, i być może jest w tym element próżności, ale zawsze ważne dla mnie były sprawy społeczne. Taka praca dawała mi zawsze najwięcej satysfakcji i poczucia sensu życia, a nie robienie pieniędzy.

Jednak ostatnimi laty był pan producentem programów telewizyjnych, filmów, które jednak nie wiążą się za bardzo z działalnością społeczną, tylko właśnie z interesem.

– Nigdy nie zaprzestałem działalności społecznej. Zakładałem Stowarzyszenie Niezależnych Producentów Filmowych i Telewizyjnych i przez dwie kadencje je prowadziłem, byłem w radzie programowej TVP, to też było społeczne zajęcie, zresztą mocno frustrujące, bo ta rada niewiele mogła. Pracowałem nad udanym projektem ustawy o radiofonii i telewizji, która obowiązuje do dnia dzisiejszego. No i nieudane sześcio- czy nawet siedmioletnie zabiegi o ustawę o kinematografii pochłaniały mi bardzo dużo czasu. Współzакładałem też Konferencję Mediów Polskich, a ta Konferencja wybrała Radę Etyki Mediów. Brzmi to tak, jakbym się chwalił, nie jest specjalnie komfortowe, ale taka jest prawda.

Wygląda na chwalębną. Jako członek rady programowej TVP krytykował pan tę telewizję za brak pluralizmu, polityczną jednostronność telewizji publicznej.

– Nie zmieniłem zdania, podtrzymuję wszystko to, co mówiłem.

Więc jakie są te najważniejsze grzechy?

– Chętniej bym zaczął od tego, co cenię w telewizji, czyli tego, co się wiąże z pewną kreacją, na przykład cykl „Pokolenie 2000” umożliwiający młodym (jeśli chodzi o dorołek) reżyserom zrobienie debiutu. Cenię Teatr Telewizji, który jest właściwie jedynym miejscem poważnej rozmowy o współczesności Polski, prowadzonej językiem artystycznym. Natomiast zdecydowanie nie cenię informacji telewizyjnej. Brakuje tam profesjonalizmu. Gdyby „Wiadomości” były robione profesjonalnie, to byłyby i bezstronne, i rzetelne, i wnikliwe, i może nawet byłyby szybkie. Z przykrością obserwuję, że właściwie dziennikarze telewizyjni niespecjalnie gonią za newsami, opierają się głównie na tym, co przeczytają w prasie...

I cytują ją, nie podając źródeł.

– ...

Ale przecież gwiazdą „Wiadomości” jest Kamil Durczok, zdobywca wielu dziennikarskich nagród!

– To jest na pewno osobowość telewizyjna. Zmiany muszą się zacząć od wyznaczenia właściwych celów, do nich trzeba dopasować strukturę, a dopiero potem mówić o ludziach. Ważne jest, żeby wykorzystać wszystkie umiejętności ludzi, którzy tam pracują. Wielu z nich to ludzie dobrzy i zdolni, trzeba im stworzyć właściwą motywację i warunki pracy, a dziennikarzom zapewnić poczucie bezpieczeństwa. A potem egzekwować to, co należy do podstaw zawodu dziennikarskiego.

Czy ma pan jakiś konkretny pomysł, co można by zmienić w „Wiadomościach”?

– Za wcześniej na takie odpowiedzi. Chciałbym uczynić z tego programu rzeczywistą konkurencję dla innych programów informacyjnych.

Przecież ma najwyższą średnią oglądalność.

– Mają najwyższą oglądalność trochę z powodów tradycji, cieszę się zresztą z tej oglądalności, ale to nie zmienia mojego krytycznego stosunku.

Ale może jak pan zacznie przy nich grzebać, to stracą oglądalność?

– Nie boję się tego, trzeba podejmować decyzje, które się uważa za słuszne, i tyle. Uni-

kam konkretów po prostu dlatego, że będę to robił z nowym zarządem. Taka jest logika. I najpierw muszę do swoich pomysłów przekonać kolegów z zarządu.

Pytałem o oglądalność, żeby ustalić, czy ona nadal będzie fetyszem telewizji publicznej.

– Dopóki telewizja nie ma bezpiecznego fundamentu finansowego. A z tego, co wiem, to wygląda, że dziś wychodzi mniej więcej na zero.

Przypuszczam, że miałyby mocniejszy fundament, gdyby nie była taka ogromna.

– Zgadzam się z panem.

Czy dobrym pomysłem byłoby ograniczenie – w jakiejś kilkuletniej perspektywie – telewizji publicznej do jednego programu?

– To zły pomysł.

Dlaczego?

– Hierarchia celów jest taka: chciałbym, żeby telewizja publiczna więcej zajmowała się kulturą, edukacją. A nie jest możliwe wprowadzenie takich programów w porach sensownej oglądalności, jeśli się ma do dyspozycji tylko jeden program.

Jak dalece czuje się pan niezależny?

– Jako człowiek?

Jako prezes. Co pana ogranicza?

– Ogranicza mnie prawo o spółkach i ogranicza mnie ustawa o radiofonii i telewizji. Nie czuję żadnych pozaprawnych ograniczeń.

Dotychczasowi prezesi, nawet jeśli tego nie deklarowali, czuli takie ograniczenia. Jeśli nawet ktoś ze świata polityki nie interweniował, to sami tak kombinowali, żeby się nie narażić mocnym politykom.

– To pytanie o to, jak pan rozumie słowo „niezależność”. Bo oczywiście w życiu człowiek kieruje się bardzo różnymi motywami i często musi wybierać spośród różnych wartości, bo one pozostają z sobą w jakiejś kolizji. Czasami najtrudniej właśnie wybrać między wartościami, a nie między jakimiś ograniczeniami, które przychodzą z zewnątrz, a pewnymi celami. Wtedy po prostu wybieram cele. Oczywiście świat polityki na pewno będzie zawsze próbował wpływać na media, to nic nowego.

W Polsce to mu się chyba udaje, przynajmniej jeśli chodzi o telewizję publiczną?

– No to mam nadzieję, że ten czas będzie się powoli kończył, a może nawet kończył szybko.



FOT. WITOLD ROZBICKI/REPORTER

- Zdecydowanie nie cenię informacji telewizyjnej. Dziennikarze niespecjalnie gonią za newsami, opierają się głównie na prasie

To idealistyczne podejście, ale rozumiem, że musi pan być też ostrożny w słowach, rozpoczynając tę pracę.

– Muszę być ostrożny w słowach, to prawda, ale tak właśnie myślę. Ja wolę myśleć dobrze o tym deklarowanym nowym początku, widzieć cały wybór rady nadzorczej jako szansę na „pstrokatość”. Wolę widzieć również cały ten proces konkursowy nie tylko jako grę polityczną. To już jest wartość, że mówi się o pewnym przygotowaniu merytorycznym kandydatów. I wolę tak to widzieć i dalej jakby tę myśl rozwijać w praktyce, to znaczy wprowadzić konkursy na inne stanowiska w telewizji.

Skoro mówi pan o konkursach, czy to oznacza, że chciałby pan zmienić dyrektorów anten?

– Jeśli zasada konkursu sprawdzi się też przy wybieraniu zarządu, to powinna być stosowana i na stanowiskach między innymi kierowników anten, ale tak naprawdę ta decyzja będzie zależała od całego zarządu.

A podoba się panu, że to rada nadzorcza wybierze panu zarząd?

– Taka jest kolej rzeczy.

Ala czy się panu podoba?

– Nie potrafię jeszcze tego powiedzieć. Jeśli te decyzje będą zupełnie pomijały moje oczekiwania, no to nie wiem... zobaczymy.

Wyobraża pan sobie taką skrajną kontestację, że gdyby dobrany panu zarząd nie spełniał pana oczekiwań, to 17 lutego nie podejmie się pan pełnienia funkcji prezesa?

– To czarny scenariusz, choć oczywiście biorę go pod uwagę. Ale po kilkunastu rozmowach, które miałem w ciągu ostatnich 48 godzin, widzę, że on jest mało prawdopodobny.

Widział się pan już po nominacji z Robertem Kwiatkowskim?

– Rozmawialiśmy. Zadzwoił do mnie z gratulacjami, a potem się spotkaliśmy.

Jak pan ocenia jego postawę jako prezesa TVP w ostatnich miesiącach?

– Nie chciałbym wystawiać mu ocen.

Delikatny pan jest i trochę, jak na mój gust, zbyt zachowawczy jak na prezesa, który ma dokonać przełomu, rewolucji.

– A jakie pan zmiany rewolucyjne ma na myśli?

Ja nie jestem prezesem, nie muszę mieć takich pomysłów – na szczęście. Natomiast pana delikatny, łagodny ton, czyli te frazy: „przyglądam się, będę się przyglądał, staram się widzieć te lepsze strony”, pozwalają przypuszczać, że z krzykiem złości i rozpacz będzie pan się odrywał od telewizora, widząc, jak niewiele zmienił.

– Te dwa lata, które ma ten zarząd przed sobą, to jest bardzo krótki okres, ale sądzę, że zmiany będą widoczne. Wszyscy prezesi za-

powiadali wielkie zmiany i potem rzeczywistość niewiele z tego wychodziło, więc po co mam się ustawiać w szeregu ludzi, którzy tylko zapowiadają?

A może w TVP nie trzeba nic zmieniać?

– Trzeba bardzo dużo zmienić. Tak naprawdę z dwóch powodów: zastana sytuacja jest niedobra, jest wiele problemów, które trzeba rozwiązać, ale po drugie, trzeba odpowiedzieć na wyzwania przyszłości.

Główny problem jest jaki?

– Nieczytelność wewnętrznej polityki.

Nie rozumiem.

– Nieczytelność prowadzonej polityki programowej. Na przykład z tego, co wiem, kolegia programowe w różnych redakcjach i jednostkach właściwie się nie odbywają. To niedopuszczalne, bo na nich trzeba ustalać priorytety. Jest też nieczytelność w polityce personalnej, właściwie każdy człowiek mógł z każdego miejsca zostać przeniesiony w każde inne albo wyfrunąć z firmy – i to bez specjalnego uzasadnienia. Ludzie nie wiedzą, jakimi kryteriami są oceniani, a muszą o tym wiedzieć, żeby dobrze pracować.

Czy będzie się pan starał utrzymać dominującą pozycję telewizji publicznej na rynku reklamy?

– Nie będę chciał toczyć wojen reklamowych. Natomiast będę się starał, żeby telewizja publiczna miała mocną pozycję na rynku. Od wielu miesięcy trwa dyskusja o telewizji publicznej, oczywiście zdominowana niesmakami wokół prezesa Kwiatkowskiego, i narosły oczekiwania dużych zmian. Ja z pańskich słów nie potrafię sobie ułożyć tego programu, z którym pan wygrał.

– To jest program zmian w ramówce, ale jak pan mnie pyta o konkrety, to o nich będę mógł mówić za miesiąc, bo przecież nie uprawiam publicystyki, tylko będę kierował instytucją. I to po mnie zostanie, a nie wywiady.

Niech pan nie lekceważy wywiadów. Ale przecież wystartował pan z jakimś programem?

– To jest program docenienia kultury wysokiej i to jest program otwarcia się na środowiska twórcze.

Nina Terentiew, szefowa Dwójki, jest bardzo otwarta na środowiska twórcze. Jak bardziej można to zrobić?

– Mówimy o słowach. W Dwójce są rzeczy, które mi się podobają, i takie, które mi się nie podobają. Otwarcie na środowiska twórcze Niny Terentiew bardzo mi się podoba. Natomiast już niekoniecznie wszystkie programy – w cudzysłowie – masowe, biesiadne, niekoniecznie widzę dla nich miejsce w telewizji publicznej.

Będzie chciał pan decydować o konkretnych programach?

– Decydowanie o programie powinno się odbywać na kilku szczeblach. Na poziomie zarządu to będzie pewna strategia programowa, ułożenie anten, tak by się dopełniały, a nie – jak jest dzisiaj – także konkurowały ze sobą. I przyrzekam, że przynajmniej ważniejsze scenariusze będę czytał, choć to zajmuje szalenie dużo czasu.

Czy to nie będzie błąd? Może pozostawić to dyrektorom anten, a samemu zająć się strategicznymi kwestiami?

– Będę czytał, bo mnie to interesuje, bo to jest istota pracy, i będę chodził na kolaudacje, będę oglądał to, co robią twórcy, i też nie uważam tego za stratę czasu. Ja naprawdę nie boję się wejść do studia, nie boję się wejść do montażowni.

Czyli tak zwany prezes koszmar, który zna się na wszystkim.

– Nie mówię, że ja się znam na wszystkim. Na pewno nie będę się wtrącał do pracy pańskim montażystkom czy reżyserom, to absurdalne.

Pańska partia, Platforma Obywatelska, ucieczyła się, że został pan prezesem?

– Odbierałem telefony z gratulacjami, ale zgodnie z tym, co mówiłem, i tym, co myślę, wypisuję się z partii, choć mam tam wielu przyjaciół.

Będzie panu trudno się ustrzec przed zarzutem wspierania Platformy, ponieważ wygląda na to, że człowiekiem, który w dużej mierze zdominuje polską scenę polityczną w 2004 roku, będzie Rokita, więc będzie na pewno często pokazywany w telewizji publicznej. A jeśli będą przedterminowe wybory i wygra je PO, i utworzy rząd, to na pewno spotka się pan z zarzutem, że robi „telewizję rządową”.

– Jeśli nie będę miał sobie nic do zarzucenia, to nie będę bał się takich zarzutów.

A co z pańską produkcją, firmą, która produkuje hity dla konkurencji TVP?

– Sprzedaję udziały. I to jest ta najcięższa praca, jaką płacę tak naprawdę.

Ala nie żonie?

– Nie, nie żonie. Ta sytuacja będzie absolutnie czysta i przejrzysta.

I godzi się pan, zostając prezesem TVP, na obniżenie swoich zarobków?

– Będę zarabiał mniej. Godzę się.

Więc może jest w panu trochę męskiej ambicji i to ona irracjonalnie pana popchnęła do tego konkursu.

– Może trochę.

A będzie prezesem z tak zwanym ciągiem na szkło – jak to się mówi na Woronicza – czyli często pokazującym się w swojej telewizji? Ta przypadłość przytrafiła się prezesowi Kwiatkowskiemu.

– Nie, nie będę tego miał.

ROZMAWIAŁ PIOTR NAJSZTUB

Wywiad opublikowany jest również w Wirtualnej Polsce w serwisie www.wiadomosci.wp.pl

MARIUSZ WALTER, prezes TVN:

– Zbudowany z nieagresywnych zachowań człowiek ciężkiej pracy z wiedzą i dużym doświadczeniem, a jednocześnie kreatywnością programową. Myślę, że zdaje sobie sprawę, iż programy misyjne, które były zawsze solą w oku TVP, powinny być jednocześnie na najwyższym poziomie atrakcyjności i oglądalności, a nie robione na odwal. Nasze doświadczenia z Dworakiem jako szefem firmy producenckiej były w każdym razie wspaniałe. Rzetelny, trzymający koszty w ryzach, kreatywny, komunikatywny, elastyczny, ale nie do granic naruszenia opinii własnych. Na jego miejscu nigdy bym się nie zgodził na prowadzenie dużej firmy w kłopotach, jeśli nie miałbym wpływu na skład zarządu. Tutaj wykazał naprawdę dużą odwagę. Jeśli chodzi o koegzystencję telewizji publicznej i prywatnej. Możemy teraz w innej atmosferze dyskutować o nowej ustawie.

LECH WAŁĘSA:

– Znam go z początku lat 80., w tamtym czasie miał moje pełne zaufanie. Człowiek bardzo wartościowy, niepoddający się emocjom, miał perspektywę, dążył do jedności, ale mądrej jedności, nie za wszelką cenę, nieustępliwy, nie rezygnował z własnego zdania. Co może zmienić? Telewizja publiczna musi być szkoleniowa. Nie to, co ładne, demagogiczne, populistyczne, pod publiczność, tylko właśnie szkoleniowe. Po to jest publiczna, a inne newsy niech sobie szaleją po prywatnych kanałach. Myślę, że on to wie.

JACEK ŻAKOWSKI:

– Jan Dworak jest człowiekiem poważnym. Myślę, że to słowo bardzo dobrze go charakteryzuje, jeżeli chodzi o podejście do życia i podejście do świata. Znam go 25 lat i kiedyś ta jego powaga bardzo nas zadziwiała. Jako młody człowiek miał ksywkę Dyrektor – bo był takim dyrektorem, jeśli chodzi o posturę i postawę. Nie ma w sobie tej polskiej niefrasobliwości, bardzo charakterystycznej dla naszej rzeczywistości, w której wszyscy dowcipkują i w piekło nie wierzą. Jego opozycyjność to nie była gra i zabawa, forma życia towarzyskiego. Traktował ją jako obowiązek. Bardzo bym chciał, żeby coś zmienił, i życzę mu jak najlepiej, ale TVP posiada taką masę i bezwładność, że jej rewolucyjna zmiana jest w moim odczuciu niemożliwa. Tego typu byty ze względu na swoją masę krytyczną przejmując kontrolę nad tymi niewielkimi, którzy chcieliby je zmieniać. Najłatwiej to zrobić w ciągu pierwszych kilku tygodni, póki bezwładny kolos jest w szoku, potem stare wraca.

ALEKSANDER HALL:

– Janek umie ludzi z sobą jednoczyć, jest niezwykle lojalny w pracy i w przyjaźni. Nie jest człowiekiem, który arbitralnie narzuca swoją wolę i wykazuje chęć dominacji, ale jestem święcie przekonany, że będzie kierował tą instytucją i będzie jej prawdziwym szefem.

DARIUSZ JABŁOŃSKI, producent, reżyser, prezes Apple Film Production:

– Jan jest wyśmienitym producentem. Chciał być prezesem telewizji – był pierwszym prezesem TVP po przełomie '89 i myślę, że nie skończył tej pracy, a że jest człowiekiem bardzo solidnym, wraca, żeby ją dokończyć.

Z pewnością wie, jak zrobić dobrą telewizję publiczną. Jestem przekonany, że nie będzie papieżem, a jeżeli taką rolę chciałoby mu

wyznaczyć otoczenie, prędzej zrezygnuje, niż tam zostanie.

W zarządzie Krajowej Izby Producentów Audiowizualnych obdarzyliśmy go tytułem Profesora, ponieważ z mistrzostwem profesora Skubiszewskiego prowadzi rozmowy, łagodząc skrajne emocje i dochodząc do konstruktywnej myśli. Te umiejętności dyplomatyczne na pewno mu się przydadzą w telewizji.

WIESŁAW WALENDZIAK, były prezes TVP:

– Jeżeli chodzi o media, to warto stosować kryterium biblijne: po owocach poznać ich.

Telewizja publiczna przetrwa na otwartym rynku audiowizualnym tylko wtedy, kiedy będzie wiarygodną instytucją, bo tylko wtedy większość parlamentarna zgodzi się przyjąć takie regulacje prawne, które będą telewizję publiczną w sposób szczególnie zabezpieczać.

Jan Dworak przez swoją wiarygodność jest w stanie ją odbudować, ale przede wszystkim rozumie, czym jest debata publiczna, i myślę, że jest w stanie zrewaloryzować pojęcie rozumnego patriotyzmu. Dzisiaj potrzebna jest debata obywatelska o kształcie państwa, pokazywanie pewnych wzorców pozytywnych. To może być nawet przez produkcję serialową czy publicystyczną.

MACIEJ STRZEMBOSZ, producent, scenarzysta, właściciel połowy udziałów w firmach produkcyjnych Studio A oraz Prasa i Film, których druga połowa należy do Jana Dworaka:

– Polska się cieszy, a firma płacze. Janek to fajny facet ze świetnym poczuciem humoru, mający niesłychanie silny charakter, niebawem trudno go wyprowadzić z równowagi. Wiele razy byłem świadkiem, kiedy w jego obecności opowiadano bzdury i kłamstwa i on nie podrywał się i nie krzyczał: „Ty kłamco”, tylko słuchał i robił swoje. To jest człowiek absolutnie samodzielny, jeśli jakiś polityk powie kiedyś, że ma wpływ na Janka, to jest to brednia. To nie jest „nasz człowiek”, Janek jest niczyj, jest wolnym człowiekiem. Przez 11 lat prowadziłem firmę od powiąk przez różne okresy. I mimo trudnych sytuacji nie było żadnych układów i układzików, więc teraz Janek nie ma żadnych „zobowiązań” i „długów”.

Janek idzie do telewizji jako człowiek absolutnie pewien swoich umiejętności. Nie musi niczego udowadniać, bo nikt mu nie powie, że się nie zna na telewizji i jest prezesem z rozdania politycznego. Poradzi sobie bez trudu, bo poradził już sobie raz w dużo trudniejszej sytuacji. Dostał telewizję zarządzaną wyłącznie przez komunistów, bez pieniędzy i fachowców w wielu zawodach: nie istniała reklama, niezależne dziennikarstwo, nie było zawodowych producentów ani gatunków telewizyjnych. Dzisiaj to wszystko mamy, tylko trzeba doprowadzić do tego, żeby ci ludzie mogli pracować w normalnych warunkach. Przecież dziennikarze, którzy pracują w „Wiadomościach”, nie marzą o tym, żeby być popychadkami polityków, pracowali w takich warunkach, jakie stworzył im Kwiatkowski.

To nie jest instytucja, którą się zmienia w dwa tygodnie. Pamiętam, jak Wałęsa powiedział kiedyś Amerykanom w 1990 roku, jakie to ciężkie zadanie stoi przed Polską. Wtedy Amerykanie powiedzieli, że komuniści wprowadzili skutecznie swój program gospodarczy w 1,5 roku, a Wałęsa mówi, że pokolenia będą to odpracowywać. Wałęsa odpowiedział, że komuniści robili zupełnie rybą z ryby, a my musimy zrobić rybę z zupy rybnej. Tak jest też z telewizją publiczną – łatwo się psuje obyczaj, a trudno się go odbudować. ■

SZLACHETNY RYCERZ z MICROSOFTU

Bill Gates zamierza rozdać cały majątek

Twórca Microsoftu i najbogatszy człowiek świata William Henry Gates Trzeci – lepiej znany jako Bill Gates – zostanie szlachcicem. Królowa brytyjska postanowiła przyznać mu Wielce Wspaniałe Order Imperium Brytyjskiego (The Most Excellent Order of the British Empire), co jest równoznaczne z nadaniem tytułu szlacheckiego. Gates nie jest brytyjskim poddanym, nie będzie więc mógł nosić przed nazwiskiem eleganckiego słówka sir. Za to na końcu może sobie dodać trzy litery: KBE (Knight Commander of the British Empire, czyli rycerz komandor Imperium Brytyjskiego).

W uzasadnieniu decyzji podano między innymi, że położył zasługi w walce z biedą na świecie. Faktycznie, twórca Microsoftu jest największym dobroczyńcą naszych czasów. Przy najmniej jeżeli wierzyć liczbom. W 2000 roku założył z żoną fundację Billa i Melindy Gatesów i zajął się jej zasilaniem. W tej chwili jest to najbogatsza instytucja charytatywna świata – dysponuje majątkiem 26 miliardów dolarów.

POMOC PRZEMYSŁANA

Głównym celem działalności fundacji jest pomoc krajom Trzeciego Świata, szczególnie w zwalczaniu AIDS, gruźlicy i malarii. Kieruje nią ojciec Billa i trzeba przyznać, że ma ten sam talent do efektownych gestów co jego syn. Gdy w 2000 roku prezydent Botswany Festus Mogae zaapelował o pomoc dla swojego kraju, w którym ponad jedna trzecia ludności to nosiciele wirusa HIV, fundacja Gatesów wraz z firmą farmaceutyczną Merck Co. pierwsze zgłosiły się ze stoma milionami dolarów pomocy. Oczywiście nie odbyło się to w zaciszu gabinetów – informację ogłoszono na 13. Międzynarodowej Konferencji na temat AIDS w RPA. Cały świat dowiedział się o tym geście, a wkrótce kolejne firmy i instytucje, by nie pozostać niezauważonymi, zaczęły oferować dalszą pomoc.

Trzeba przyznać, że decyzja o pomocy własnie temu krajowi była bardzo starannie przemyślana. Botswana jest krajem o najwyższym procencie zakażonych wirusem HIV na świecie. Jednocześnie jest to jeden z najbogatszych i najlepiej rządzonych krajów Afryki – w raportach Transparency International Polska znajduje się na 64. miejscu wśród najmniej skorumpowanych krajów, podczas gdy Botswana – na 30. Wyraźnie widać, że zarząd fundacji Gatesa dobrze skalkulował ryzyko przekazania pomocy i ocenił, iż nie trafi ona do kieszeni rządzących.

Pomoc Botswanie to tylko jeden z przykładów spektakularnych akcji fundacji – granty przez nią rozdawane stanowią około jednej czwartej całej pomocy, jaką bogaty Zachód wydziela Trzeciemu Światu.

Sam Bill Gates ogłosił, że do końca życia ma zamiar rozdać niemal cały swój majątek – każdemu z dzieci zamierza zostawić „zaledwie” 10 milionów dolarów, co wobec dzisiejszego majątku szacowanego na ponad 40 miliardów jest faktycznie niewielką kwotą.

Co skłoniło najbogatszego człowieka świata, twardego gracza i bezwzględne go biznesmena, do tak niezwykłych oświadczeń? Przez długi czas państwo Gatesowie byli krytykowanymi za to, że nie dzielą się swym bogactwem. Zachód przywiązuje ogromną wagę do spektakularnych gestów pomocy biednym. To, co u nas wciąż rozpatruje się w kategoriach odliczeń od podatków, w Stanach jest ważnym elementem tworzenia wizerunku. Ostatecznie Gates zamknął usta krytykom, ustanawiając nowy rekord jednorazowej darowizny – 10 miliardów dolarów (oczywiście na konto swojej fundacji).

MARKETING DOBROCZYNNY

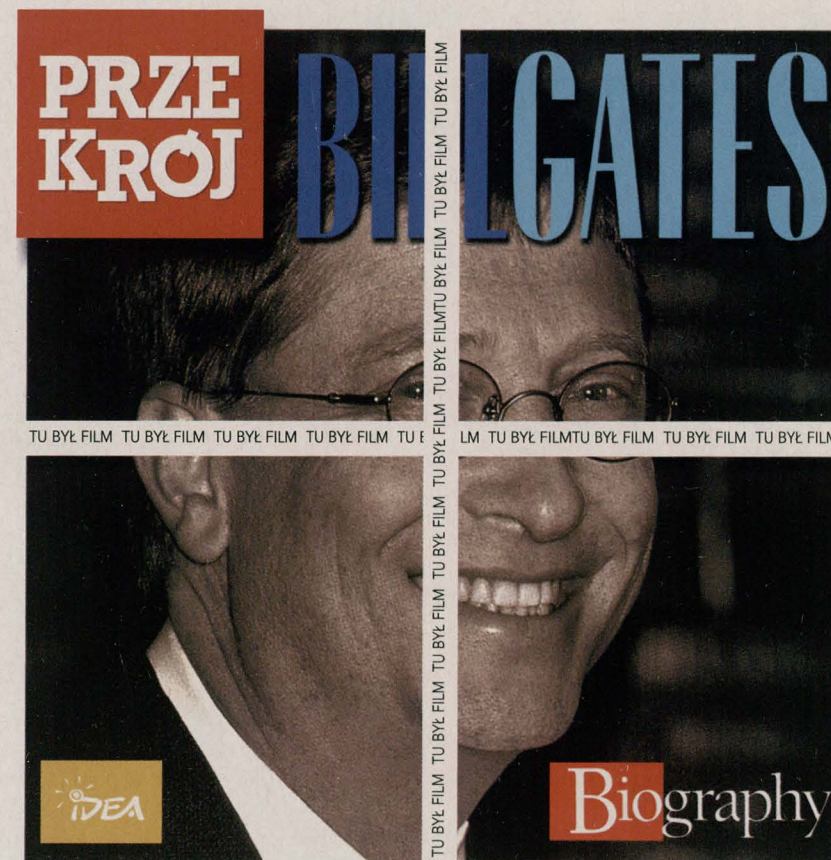
To jednak niejedynie przejawy dobroczynności szefa Microsoftu i jego spółki. Duże kontrowersje wzbudziła propozycja, która miała zakończyć serię procesów antymonopolowych.

Microsoft zaproponował, że przekaze szkołom amerykańskim miliard dolarów. Nie chodziło jednak o gotówkę – większość darowizny miało stanowić oprogramowanie. Plan był dobrze przemyślany – USA to jeden z niewielu krajów, gdzie na rynku edukacyjnym przewagę nad Microsoftem ma konkurent – firma Apple. Gdyby firmie Gatesa udało się uszczęśliwić szkoły taką darowizną, za jednym zamachem opanowałyby ogromną część rynku. Obdarowani byłiby zmuszeni zacząć płacić za aktualizację programów, a młodzi Amerykanie już od najmłodszych lat przyzwyczajaliby się do pakietu Microsoft Office. Zaprotestowała nie tylko konkurencja, lecz także same szkoły, które nie miały ochoty na taki prezent.

O ile marketingowo-dobroczynne pomysły Microsoftu spotkały się z raczej chłodnym przyjęciem, o tyle działalności fundacji Gatesów trudno coś zarzucić. Poza skuteczną pomocą krajom Trzeciego Świata pieniądze przeznaczone są na edukację czy pomoc młodzieży. Co prawda krytycy twierdzą, że przelewanie dużych kwot z jednego konta Gatesów na drugie to nie działalność charytatywna, ale raczej tworzenie wizerunku, jednak przecież lepsze to niż całkowita obojętność. Inna sprawa, że niezależnie od wysokości przekazywanych kwot ani Bill, ani jego rodzina z pewnością nie zauważą żadnej różnicy w poziomie życia.

PIOTR STANISŁAWSKI

„Biografie”: nowa filmowa seria o ludziach, którzy zmieniają świat. Zobacz pierwszy film.



Sponsorem filmu jest IDEA

Geniusze: umierają w zapomnieniu albo świat odkrywa ich po latach. Dlaczego na nim świat poznał się od razu? I dlaczego właśnie on jest najbogatszy na świecie? Zagadka Billa Gatesa w nowej filmowej serii „Biografie”.

OTWÓRZ OCZY, ZOBACZ

PRZE
KROI

RODZILLA OŻYŁA

MICHAŁ WÓJCIK

Gdy w styczniu nad parkietem hali w Long Beach pojawiła się charakterystyczna kolorowa fryzura 42-letniego gwiazdora, wielu przecierało oczy ze zdumienia. Po kolejnej fantastycznej zbiórce pod koszem, podczas której Dennis

Rodman skoczył wyżej, niż pozwalają na to prawa fizyki, jeden z kibiców najpierw wstał, rozdziawił ze zdziwienia buzię, po czym wypuścił z rąk karton z popcornem. Geniusz koszykówki, *enfant terrible* Detroit Pistons i najlepszy zbierający Chicago Bulls powrócił.

Swój ostatni mecz w NBA Rodman rozegrał prawie cztery lata temu. Siedmiokrotny zdobywca tytułu najlepszego zbierającego ligi już wtedy walczył z chorobą alkoholową. Pił na potęgę aż do października ubiegłego roku, kiedy po wyjściu z klubu striptizowego w Las Vegas na pustej ulicy staranował swoim harleyem znak drogowy. Cudem uszedł z życiem. I odkrył, że jest na dnie.

NIKT NIE WIERZY

– Sam się dziwię, że jeszcze żyję – powiedział ostatnio na konferencji prasowej. – Nie piłem od października. Nie żartuję. Zbieram do kupy swoje życie. A poza tym jestem dorosłym, żonatym facetem z trójką dzieci.

Nikt mu nie dowierzał. Ani wtedy, ani kilka tygodni temu, kiedy gruchnęła wiadomość, że chce wrócić do koszykówki. Ale jego comeback jest już faktem. W pierwszym meczu jego drużyna wygrała z Fresno Heatwave 130:111, a sam Rodman w fantastycznym stylu zebrał z tablicy 14 piłek.

DENNIS RODMAN zmęczył się sportową emeryturą. Po czterech latach picia na umór i niekończących się imprez wraca do koszykówki. A przy okazji chciałby zostać normalnym człowiekiem



Denis przyszedł na świat w biednej rodzinie w Dallas w 1961 roku. Oak Cliff, komunalne osiedle dla ubogich, gdzie dorastał, było w samym środku murzyńskiego getta.

Jako młody chłopak Rodman był nieśmiały i nieporadny. Dziewczyny go omijały, a koledzy z podwórka przezywali Robakiem. W wieku 20 lat, gdy inni słynni koszykarze wydawali już biografie i zarabiali miliony, on łąził po ulicach i włamywał się do sklepów. Kiedyś ukradł 50 zegarków i rozdał znajomym.

To właśnie wtedy, w 1982 roku, koleżanka siostr namówiła go do gry w kosza. Dennis był potwornie chudy, ale potrafił wysoko jak na swój wzrost skakać i bardzo szybko biegać. Miał już 203 centymetry wzrostu. W swojej pierwszej drużynie Cooke County Junior College rozegrał zaledwie 16 meczów. Przez przypadek na jednym z treningów obserwował go asystent trenera drużyny uniwersyteckiej Southeastern Oklahoma. Zaproponował chłopakowi kontrakt.

ZĘBY NA PARKIECIE

Cztery lata później Rodmana kupuje drużyna Pistons. W Detroit Rodman uczy się brutalności i zwykłego boiskowego chamstwa. Sam stwierdził po latach, że tak wtedy kazano im grać. Pod koniec lat 80. koszykówka to w USA brytalny sport. Kolega Rodmana z drużyny – Bill Laimbeer – nie tylko podcina zawodników, lecz także kopie leżących, a potem na nich pluje. Dzieciom, które proszą go po meczu o autograf, odpowiadał: „Fuck off!”.

Z Laimbeerm i Rodmanem na czele drużyna Pistons zyskuje przezwisko Drani. Już podczas jednego z pierwszych meczów Rodman pokazuje, na co go stać. Na boisku wszczynają bójkę, a w chwilę później cały parkiet zamienia się w wielkie kłębownisko. Rodmana wyprowadzają ochroniarze.

– Uwielbiam to. Im więcej leje się krwi, tym lepiej – tłumaczy potem w jednym z wywiadów. Zresztą bije nie tylko zawodników. W trzecim roku gry w Pistons w hali Silverdome tak zapamiętałe nurkuje za piłką lecącą na aut, że wpada w szeregi widzów. Zatrzymuje się dopiero na jakiejś staruszcze. Pech chce, że przy okazji wybija jej kilka zębów. Sprawa trafia do sądu i Rodman musi zapłacić 60 tysięcy dolarów odszkodowania.

U szczytu kariery zbiera średnio 18 razy w meczu. To najwyższa średnia od 20 lat. Rodman nigdy nie ukrywał, że nienawidzi zdobywania punktów. Dla koszykównki uczyni jednak więcej niż niejeden świetny atakujący. Do perfekcji doprowadza sztukę przeszkadzania innym zawodnikom i zbierania bezpańskich piłek z tablicy.

W 1990 roku, gdy Pistons drugi raz z rzędu zdobywają Puchar, zostaje uznany za najlepszego obrońcę roku. Na podium staje się rzecz niebywała. Wielki twardziel, facet o oczach, których spojrzenie prawie zbijało



Fot. SCOTT TAKUSHI/AP

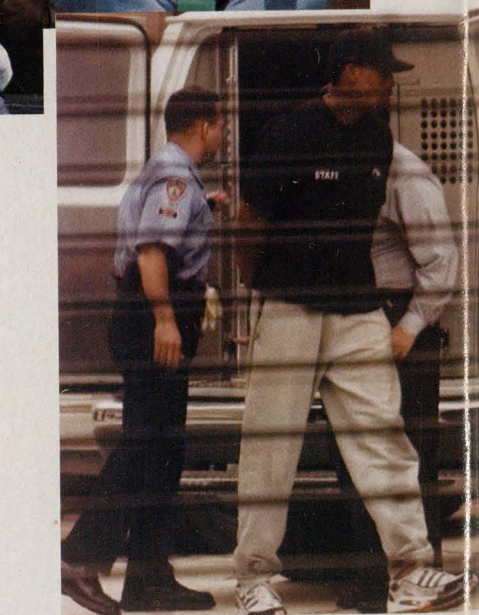
Rodman przygląda się kamerzystom, którego kopie w krocze (styczeń 1991)

z nóg, nie potrafi ukryć łez. 4 marca 1992 r. pada absolutny sportowy rekord. W meczu z Indiana Pacers Rodman zbiera z tablicy piłkę 34 razy. To tak, jakby zdobył 68 punktów!

W tym czasie uzależnia się nie tylko od alkoholu, lecz także i od hazardu. Staje się niewolnikiem sławy za wszelką cenę. W wydanej autobiografii „Zły do szpiku kości” bez oporów ujawnia, że Madonna zakochała się w nim na zabój i bezskutecznie próbowała zająć z nim w ciążę. Ku niezadowoleniu gwiazdy dość szeroko rozpisuje się też na temat jej miernych seksualnych umiejętności, choć sprawiedliwie zaznacza, że „nie była z drewna”. Nie ma też żadnych oporów przed zachwalaniem swojego nasienia. Tłumaczy, że właśnie Madonna uznała je za najlepszy materiał genetyczny.

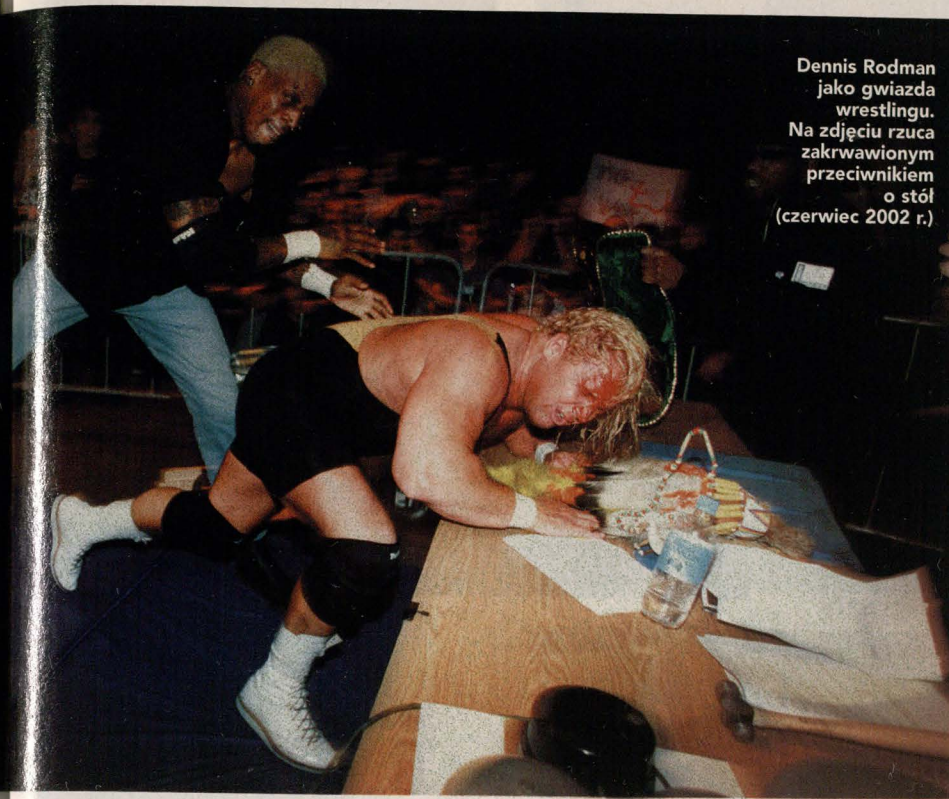
PEDAŁEM NIE JESTEM

Rok później przychodzi kryzys. Jego drużyna Detroit Pistons gra fatalnie, z meczu na mecz spada w dół tabeli. Sezon kończy na szóstym miejscu. Nie kwalifikuje się nawet do play-offu, by walczyć o puchar NBA. Dzia-



łacza, dziennikarze, a nawet niektórzy zawodnicy winią Rodmana i jego błazeństwa.

Kwietniowej nocy 1993 roku koszykarz stawia samochód przed swoją siłownią. Spod fotela wyciąga strzelbę. Opiera kolbę o podłogę, głowę kładzie na lufie. Tak śpiącego nad ranem znajdują go policjanci. Przyjaciele wysyłają go do psychiatry.



Dennis Rodman jako gwiazda wrestlingu. Na zdjęciu rzuca zakrwawionym przeciwnikiem o stół (czerwiec 2002 r.)

Fot. SCOTT BARBOUR/SPORTS/GETTY/EAST NEWS

– Fantazjuję o zbliżeniu z wielkim Murzynem. Ale nie, pedałem nie jestem – mówił przed laty. Podobno teraz liczy się dla niego tylko rodzina

Policjanci odprowadzają Dennisa Rodmana na posterunek. Sąsiedzi wezwali policję, ponieważ koszykarz zaczął bić żonę

Fot. WILFREDO LEE/AP

Po przeniesieniu do drużyny San Antonio Rodman jakby znowu łapie wiatr w żagle. Na mecze z jego udziałem przychodzą prawdziwe tłumy. W zasadzie tylko dla niego klub buduje wielką halę na ponad 20 tysięcy kibiców.

Rodman już sam nie wie, jak zwrócić na siebie uwagę. Kolczyki ma w uszach, w wardze, nosie, na brwiach i sutkach. Prasa brukowa

melduje o kolejnych tatuażach. Gra w kolorowych fryzurach. Romansuje z Toni Braxton i Cindy Crawford. I szokuje coraz bardziej. – Chodzę do knajp dla homoseksualistów, wdziewam lateksowe szorty, fantazjuję na temat zbliżenia z innym wielkim Murzynem, noszę gorsety, maluję paznokcie. Ale nie, pedałem nie jestem – wyznaje.

WZLOT I UPADEK

Przy wyjeździe z Chicago na ścianie wielkiej fabryki ktoś zamalowuje tymczasem gigantyczną postać Scottie Pippena i maluje w jej miejsce wściekłego Rodmana. Wizerunek tak przykuwa uwagę kierowców, że trzeba go zniszczyć, bo w tym miejscu niebezpiecznie wzrasta liczba wypadków.

Ale na to, by Rodman mógł w końcu zagrać w drużynie marzeń Chicago Bulls, zgodzić muszą się Scottie Pippen i Michael Jordan. Pierwszego Rodman kilka lat wcześniej tak silnie pchnął podczas gry, że ten wpadł w trybuny i rozciął sobie policzek. Wszystkie telewizje pokazywały, jak zamroczony Pippen broczy krwią, a potem ogłasza koniec gry. Mimo to teraz wyciąga do Rodmana rękę, podobnie jak Jordan. Przez trzy lata z rzędu, w 1996, 1997 i 1998 roku, Byki z Rodmanem wygrywają ligę i są najlepszą drużyną na świecie.

Po Chicago Bulls trafia do Los Angeles Lakers. Grają tam wielki Shaq i młodziutki Kobe Bryant. Styl życia Rodmana już wtedy daje o sobie znać. Gwiazdor nie jest już tak przebojowy, a na każdą krytykę reaguje agresją. Zaczyna opuszczać treningi i znikać bez wieści na całe tygodnie. W końcu wylatuje z klubu z wielkim hukiem. Gra jeszcze kilka naciętych meczów w Dallas Mavericks, ale kibice pamiętają go już tylko z coraz to nowych tatuaży i głupawych występów w MTV.

MIERZY WYSOKO

Przez ostatnie trzy lata nie pokazywał się wcale. Częstszy kontakt niż z koszykówką miał w tym czasie z dzielnicowym Newport Beach. Policja ponad 70 razy zatrzymywała go za jazdę po pijanemu. Na koszykarskiej emeryturze mnożą się też wybryki Rodmana. Podpisał kontrakt na 10 walk wrestlingu i z przydomkiem Rodzilla okładał się pięściami z innym słynnym koszykarzem Karlem Malone'em. Wystąpił też w filmie „Ryzykant”, który od razu po premierze okrzyknięto największą chałką roku. Sam Rodman dostał Złotą Malinę dla najgorszego aktora drugoplanowego.

Dziś, w niższej lidze American Basketball Association, Rodman będzie zarabiał 850 dolarów tygodniowo. To najmańsze koszykarska gaża, jaką kiedykolwiek mu zaproponowano. U szczytu sławy potrafił w ciągu tygodnia wydać 35 tysięcy w kasynie w Las Vegas. Teraz gra za tyle, ile kiedyś wydawał dziennie na drinki.

Dlaczego zatem wraca do gry? Może robi to dla dzieci, których ma już trójkę. Najstarsza córka ma 16 lat i na razie nie słysząc, aby wdała się w tatusia. Rodman tonie w odszkodowaniach zasądzonych ofiarom jego wybuchowego charakteru. Przez trzy lata, odkąd przestał grać, kara za karą, mandat za mandatem wyciekła mu cała fortuna zbita na parkiecie.

Rodman chce przy okazji zacząć nowe życie. Twierdzi, że jest zmęczony latami pijaństwa i rolą dyżurnego playboya. Inna sprawa, że jego awantury już dawno spowszedniały. Chce wrócić do pierwszej ligi. Jordanowi się przecież udało. Najlepszy koszykarz świata nawet po czterdziestce był skuteczniejszy niż napakowani testosteronem, ambitni dwudziestolatkowie.

A Rodman? Może się rozczarować. W NBA wszyscy mają go dość. Minęły dobre czasy dla złych chłopców. Afery, gwałty i bójki nie mieszczą się już w świecie wszechobecnej poprawności. Nawet w koszykówce.

Z abstynencją Rodman nie zamierza przesadzać. – Może nadejść taki moment, że strzelę sobie piwko. W tej chwili skupiam się na tym, by przygotować się do ponownej gry w koszykówkę – mówi. – Oglądam w telewizji NBA i widzę facetów, którzy nie potrafią tego co ja. Potrafię odbić się od dna jeszcze parę razy.

MICHAŁ WÓJCIC

świecą lub spadają

ŚWIECI ŚWIECI



Jerzy Markuszewski FILOZOFUJE NAS

W telewizyjnej Dwójce możemy oglądać nowy cykl wykładów filozoficznych Leszka Kołakowskiego „O co nas pytają wielcy filozofowie”. To kolejna po zrealizowanym kilka lat temu cyklu „Mini wykłady o maxi sprawach” porcja przystępnie podanych, ciekawie opowiedzianych problemów, nad którymi łamali sobie głowy najwięksi myśliciele wszech czasów.

Reżyserem obu cykli jest Jerzy Markuszewski, który ma wyraźnie dobrą rękę do Kołakowskiego i potrafił dostrzec i wykorzystać niezwykły talent filozofa do mówienia o rzeczach zawiłych językiem zrozumiałym dla wszystkich. Choć formuła programu to typowa „gadająca głowa”, ani przez moment nie nuży, bo Kołakowski mówi w taki sposób, jakby zadawał ciekawą zagadkę logiczną. Markuszewski bardzo sprytnie, dyskretnie i mądrze poprawia stan szarych komórek Polaków. Każdy program kończy się pytaniem postawionym przez bohatera-myśliciela, a widzowie mogą przedstawić swój punkt widzenia na stronie internetowej programu. Odrobina wysiłku i przez chwilę wierzymy, że TVP rzeczywiście realizuje misję społeczną.



Kinga Rusin MIMO WOLI

Konsekwencje wciągnięcia Tomasza Lisa na listę kandydatów do fotela prezydenckiego dotyczą nie tylko samego zainteresowanego. Kinga Rusin, żona prezentera TVN, ostatnio nieco zapomniana i pozostająca w medialnym cieniu, z dnia na dzień – Bogu ducha winna – trafiła na okładki tabloidów. Obok jej zdjęć pojawiają się wykresy badań i spekulacje, czy byłaby dobrą Pierwszą Damą i czy godnie reprezentowałaby nasz kraj u boku głowy państwa; czy jest fajniejsza od Jolanty Kwaśniewskiej, ile zna języków i tym podobne ciekawostki. Kinga Rusin została wciągnięta na listę uczestników konkursu bez pytania jej o zdanie. Specjaliści od tenisa mówią o takich zawodnikach, że są rozstawieni. Ale taki los partnerów gwiazd. Gratulujemy i trzymamy kciuki za panią Kingę, ufając, że jako specjalistka od public relations poradzi sobie z naporem plotkarskich mediów.

Zdajemy sobie sprawę, że pisząc o pani Kindze, udowadniamy, że sami ulegamy zbiorowemu szaleństwu, ale nie mogliśmy się powstrzymać.

SPADA SPADA



Aleksander Kwaśniewski VISA? OH, YES!

Jeśli ktoś wiązał z wizytą naszego prezydenta w USA jakiegokolwiek nadzieje w kwestii zniesienia dla Polaków wiz, srodcie się zawiódł. Nie mogło zresztą być inaczej – przed spotkaniem w Waszyngtonie przedstawiciele amerykańskiej administracji przestrzegali, że Polacy nie mogą liczyć na odczuwalną ulgę w obowiązku wizowym, w każdym razie dopóty, dopóki ambasada będzie odrzucać nie 3, lecz 30 procent podań o wizę.

Kwaśniewski wiedział, że niczego nie może się spodziewać, a Bush sądził, że wysłał wystarczająco czytelny komunikat w sprawie wiz. Niestety, prezydent zaatakował Busha w najmniej wygodnej dla tego drugiego chwili – przed kamerami reporterów. „The future is no visa, the future is no visa” – powtarzał niczym katarzynka. Czy chciał zrobić wrażenie na rodakach, jawiąc się jako obrońca uciśnionych na lotniskowych bramkach? W każdym razie udało mu się wprowadzić w wyrażne zakłopotanie Busha, który nie wiedział, gdzie skierować wzrok. O ileż lepiej od nas wyglądają teraz Czesi, którzy uznali, że nie należy się wygłupiać i rozmowy o zniesieniu wiz odłożyli na lepsze czasy.



Zbigniew Kaniewski ZWIĄZKOWIEC SPRYWATYZUJE

Decyzja premiera o obsadzeniu stanowiska ministra skarbu przez Zbigniewa Kaniewskiego spotkała się z mocno nieufną reakcją. Pytanie, czy nowy minister poradzi sobie ze sprawą prywatyzacji grupy energetycznej G-8 i wprowadzeniem na giełdę kilkunastu spółek, jest niestety całkowicie uzasadnione.

Kaniewski ma tytuł magistra geografii i jest z wykształcenia nauczycielem, ale największe kontrowersje budzi fakt, że istotne doświadczenie zdobył jedynie jako działacz związkowy. Człowiek z praktyką związkową ma być teraz odpowiedzialny za prywatyzację wielkich zakładów. Minister skarbu w rządzie Jerzego Buzka Aldona Kamel-Sowińska na nominację zareagowała wymownie słowami: – Boże, chroń Polskę.

Kaniewski nie ma doświadczenia w zarządzaniu, jest za to posłem SLD z Łodzi, uchodzącym za człowieka absolutnie lojalnego wobec premiera. Te cechy mogą mu tylko zaszkodzić – jakkolwiek decyzję podejmie, w przypadku jakichkolwiek trudności będzie się go oceniać przez pryzmat ślepego posłuszeństwa, wykształcenia geografii i braku doświadczenia.

Filigranany

Nowy format reklam w „Przekroju”
Ogłoszenia modułowe

Jeden moduł formatu 60 x 79 mm

hotel system®

Czy każdy może kupić hotel?

Tak!

Zainwestuj w hotele w Poznaniu i Wrocławiu. Gwarantujemy minimalny zysk 14.400 zł rocznie!*

tel.: (012) 614 44 12, 614 44 11
www.hotelsystem.pl
inwestycje@hotelsystem.pl



Jezioro Łabędzie 07.02

WODKA PARTY
NAJNOWSZE TRENDY W PICIU WÓDKI

patroni medialni: POKAZY BARMAŃSKIE POLYKACZE OGNI

fluid WIK PRZE KROJ

AKTIVIST ZYCIE WARSZAWY pogadzinach

zagrają: DJ Sparky DJ S.T.R.U. feat. Izak [vocal]

08.02 Kac Party start: 21.00 start: 20.00 wstęp: door selekta

wiecej na stronie: WEDNE PL Jezioro Łabędzie ul. Moliera 4/6 tel. (22) 826 65 99 klub@jeziorolabedzie.pl

słowo / obraz terytoria
zimowa premiera
4 lutego 2004



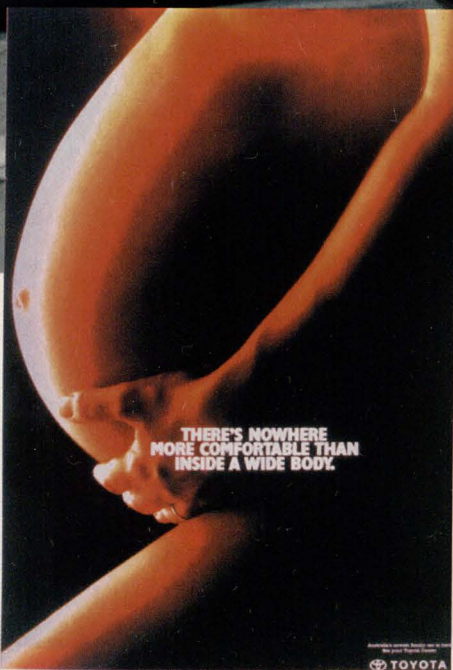
Leena Lehtolainen
Kobieta ze sniegu
Feministyczna powieść kryminalna osadzona w fińskich realiach.



1500 polskich przysłów o miłości, kochaniu, pieczeniu i grzeszeniu
Zamówienia hurtowe: Wyd.HID-HABE
tel/fax 0 32 / 202 55 58

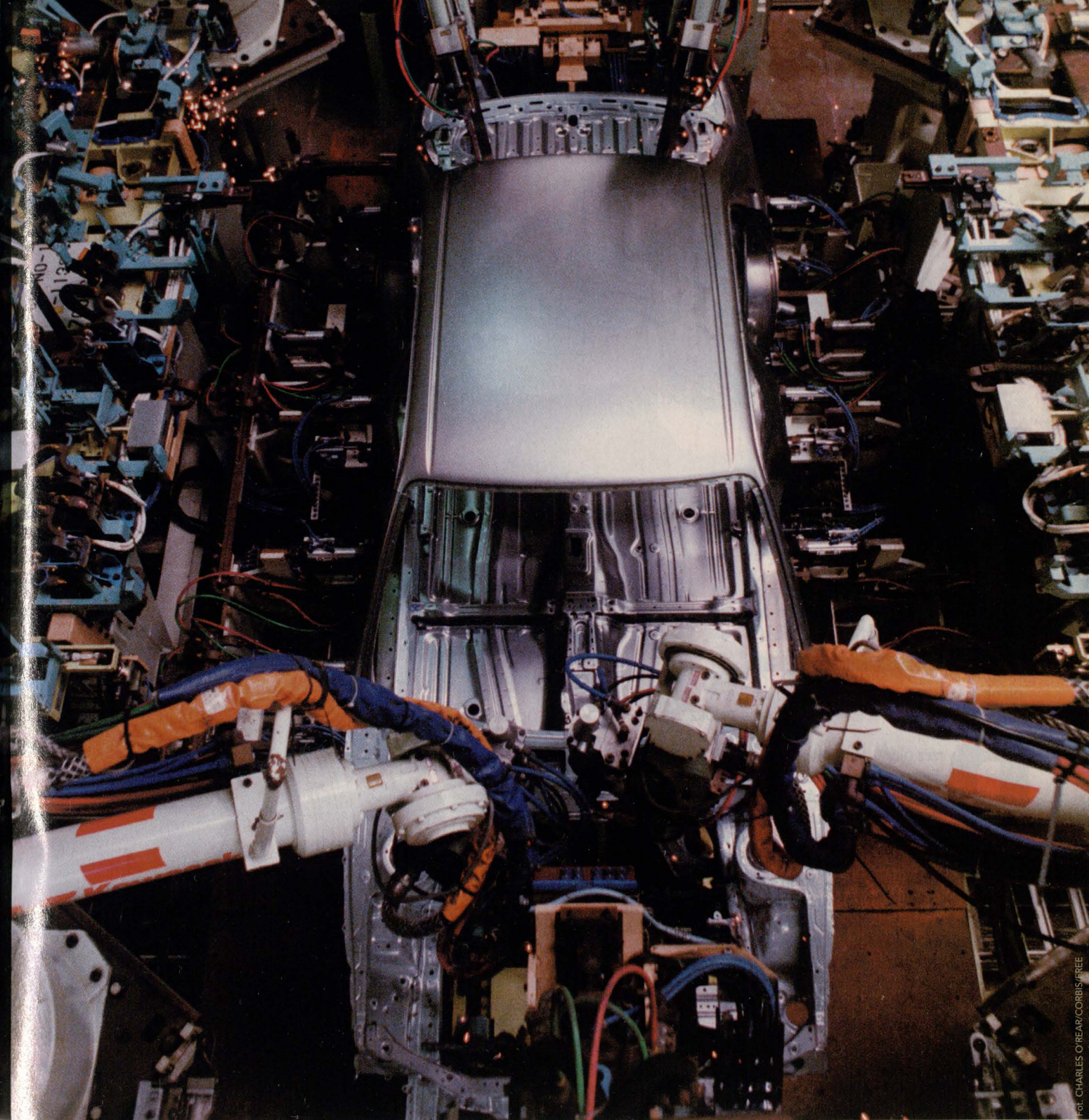


Montaż
Toyoty Toyopet,
połowa lat 50.



Prasowa
reklama
Toyoty,
lata 90.

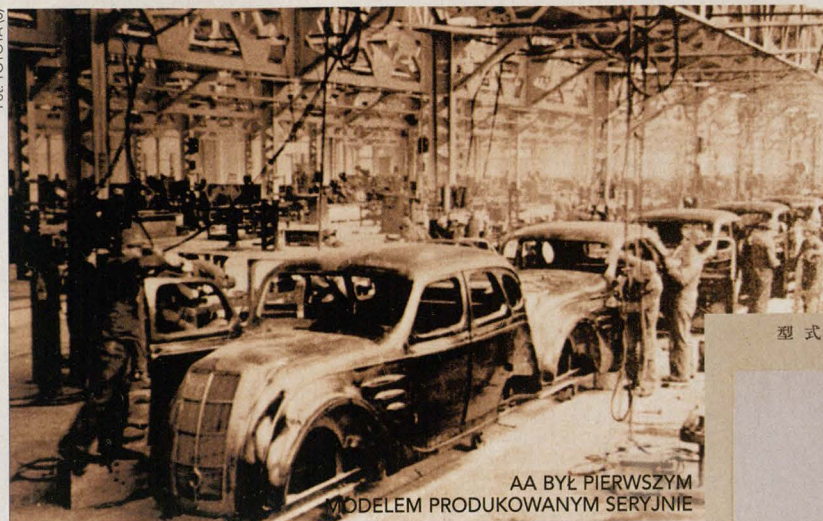
OSIEM SZCZĘŚLIWYCH ZNAKÓW



Montaż
Toyoty Corolli.
Połowa lat 90.

Gdy w zakamarkach fabryki maszyn włókienniczych robotnicy wyklepali prototyp pierwszej Toyoty, Ford tysiącami słał do Japonii swoje samochody. Po niemal 70 latach Toyota wyprzedza Forda w liczbie sprzedawanych na świecie aut

PAWEŁ WIECZOREK



AA BYŁ PIERWSZYM
MODELEM PRODUKOWANYM SERYJNIE

W 1929 roku w Japonii było 80 tysięcy aut, w większości z importu. Produkcja rodzimych fabryk sięgała zaledwie kilkuset sztuk rocznie



KIICHIRO TOYODA – ROZPOCZĄŁ
TWORZENIE MOTORYZACYJNEGO IMPERIUM

Przez pierwsze 20 lat istnienia firmy Toyota przyszli i aktualni jej szefowie jeździli do zakładów Forda, aby podpatrywać tam metody masowej produkcji samochodów. Po powrocie do Japonii przenosili do swoich zakładów dostosowane do własnych potrzeb pomysły amerykańskiego giganta. Jednocześnie traktowali Amerykanów jako swoich konkurentów – nawet w czasach, gdy rynek japoński praktycznie był niedostępny dla importowanych aut. Dzięki poczuciu, że mają gonić rywali, krok po kroku tworzyli własną filozofię firmy, światową sieć produkcji i dystrybucji. Ale były uczeń przegonił byłego mistrza – właśnie ogłoszono, że Toyota przesunęła się z trzeciego na drugie miejsce w liczbie sprzedanych w zeszłym roku samochodów. Wyprzedziła Forda, puka w plecy prowadzącego General Motors. A wszystko to dzięki kryzysowi na rynku jedwabiu w 1930 roku.

ZWIEDZANIE KRYZYSU

– Nie bądźcie ślepi! Otwórzcie oczy na szeroki świat! – mawiał do zbyt zachowawczych współpracowników Sakichi Toyoda, urodzony w 1867 roku Japoński Król Wynalazków, syn stolarza i właściciel 84 patentów. Pierwszym był automatyczny warsztat tkacki, innym – krosno automatyczne. Na bazie swoich wynalazków stworzył Zakłady Auto-

matycznych Krosien Toyody i stał się majętnym człowiekiem.

Gdy w 1929 roku dostrzegł pierwsze objawy zapaści na rynku jedwabiu, sprzedał jeden z patentów brytyjskiej firmie, zarabiając na tym sto tysięcy funtów (cztery miliony dzisiejszych funtów). Pieniądze miały posłużyć na rozwinięcie innej, bardziej obiecującej produkcji.

Także w 1929 roku syn Sakichiego Kiichiro Toyoda wyjechał – po ukończeniu studiów – do USA, gdzie zwiedził fabryki samochodów. Kiichiro na Wall Street był świadkiem początku Wielkiego Kryzysu. W Japonii recesja też wpłynęła do zakładów Toyody. Popyt na włókna naturalne spadał, konkurencja producentów maszyn rosła. Ograniczano zatrudnienie i zarobki, szukano oszczędności i nowych możliwości.

W tamtym czasie w Japonii zarejestrowanych było 80 tysięcy samochodów, w większości fordów i chevroletów. Produkcja rodzimych fabryk sięgała zaledwie kilkuset sztuk aut rocznie.

IMPORT WYCZYSZCZONY

W 1930 roku zmarł Sakichi Toyoda, a 36-letni Kiichiro wrócił z podróży do Stanów Zjednoczonych. Przejął firmę po ojcu, ale bardziej niż krosna interesowały go samochody. Ze współpracownikami rozebrał silnik chevroleta, dokładnie przerysował jego części, wyceniając jednocześnie materiał potrzebny do ich produkcji. Następnie – za pieniądze ze sprzedanego Angli-



POŁOWA LAT 50.

型式 S D (昭和 24 年) 総生産台数 671台



MODEL Z PRZEŁOMU LAT 40. I 50.



Fot. HULTON/EPH

2000GT
(NA DRUGIM PLANIE)

kom patentu – kupił w Niemczech i USA maszynę, aby w 1933 roku w kacie hali produkcyjnej utworzyć dział samochodowy firmy.

Nie mogąc znaleźć w Japonii odpowiedniej jakości stali, Kiichiro sprowadził z USA elektryczny piec do jej wyrobu. Po licznych próbach i błędach pierwszy sprawny silnik gotowy był w 1934 roku.

Następnie Kiichiro przystąpił do budowy prototypu całego samochodu osobowego. Kupił chryslera i chevroleta, rozmontował je i znów przerysował części. Zatrudnił mechaników z warsztatów naprawy samochodów, którzy uczyli robotników Toyody budowy auta. Podwozie i część mechanizmów pochodziła od Forda i innych amerykańskich producentów.



JEDEN Z PIERWSZYCH
LAND CRUISERÓW



COROLLA Z 1966 ROKU



2000GT – PIERWSZA SPORTOWA TOYOTA



LAND CRUISER Z 1960 ROKU

W tym samym 1937 roku wybuchła wojna japońsko-chińska. Toyota otrzymała duży zastrzyk gotówki po sprzedaży armii ciężarówek G-1 opartych na podwoziu produkowanego seryjnie od 1936 roku osobowego modelu AA. Żołnierze twierdzili potem, że daleko im do doskonałości.

WOJNY NISZCZĄ I RATUJĄ

Wojnę Kiichiro spędził z rodziną na fermie pod Nagoją. Dbał o warzywa w ogrodzie i doglądał hodowli kurczaków. Zakłady Toyoty przejęło wojsko, produkując w nich amunicję, silniki lotnicze, żywe torpedy i nieco ciężarówek dla cesarskiej armii. Te ostatnie miały być możliwie najprostsze, dlatego na przykład wyposażano je tylko w jeden reflektor umieszczony na środku maski silnika. Wojskowa produkcja mogła okazać się zgubna dla firmy – na 21 sierpnia 1945 r. Amerykanie zaplanowali zbombardowanie fabryki. Ale tydzień wcześniej wojna skończyła się kapitulacją Japonii.

We wrześniu tego samego roku władze okupacyjne zgodziły się na produkcję ciężarówek w Toyocie. Czekając na uchylene zakazu produkcji samochodów osobowych, inżynierowie Toyoty opracowali nowy model samochodu. Toyopet SA był małym samochodem z silnikiem o pojemności tysiąca centymetrów sześciennych. Gdy w 1947 roku zakaz cofnięto, auto trafiło na taśmę montażową.

Ale wtedy Toyota stała na skraju bankructwa. Szczyt kryzysu nastąpił w 1950 roku. Szalała recesja, Japończycy nie mieli pieniędzy na kupno samochodów, firma zwolniła dwa tysiące pracowników, w jej magazynach zalegały części i gotowe toyopety. Rosły długi.

Po wybuchu w lipcu 1950 roku wojny w Korei dzięki zamówieniu przez armię USA pięciu

W maju 1935 roku gotowy był pierwszy model spod marki Toyody – pięciodrzwiowy A1 silnikiem o pojemności 3400 centymetrów sześciennych i mocy 65 koni mechanicznych. Nazwa „Toyota”, która pojawiła się w 1936 roku, była efektem konkursu ogłoszonego przez Kiichiro Toyodę. Wygrał pomysł, aby „Toyoda” pisać nie – jak dotąd – w pochodzącym z Chin piśmie kanji, ale pismem katakana, w którym w Japonii pisane są nazwy obce, a także wyrazy dzwiekonaśladowcze. Przy tej zmianie i po zastąpieniu „d” przez „t” słowo „toyota” zapisywane jest ośmioma pociągnięciami pędzla. A ósemka to w Japonii szczęśliwa liczba.

W tym samym 1936 roku okazało się, że Toyota rzeczywiście ma szczęście. Gdy Ford pla-

nował już budowę swoich zakładów w Japonii, rząd przeforsował ustawę wspierającą rodzimy przemysł motoryzacyjny. Nowe prawo skutecznie wyeliminowało zagraniczną konkurencję, wspomagając dotacjami trzy firmy, które uzyskały licencję na produkcję samochodów: Toyotę, Nissana i Isuzu. (Rząd Japonii także po wojnie chronił rynek samochodowy, ograniczając bezpośrednie inwestycje i import aż do 1973 roku).

W 1937 roku z firmy produkującej krosna wydzieliło się przedsiębiorstwo samochodowe Toyota Motor Manufacturing Corporation. Zakłady usytuowane dotąd w Kariya stały się za małe, więc Kiichiro zlecił budowę nowych w Koromo. W 1938 roku stały się centralą firmy.

REKLAMA MODELU CROWN
SPRZEDAWANEGO W USA POD NAZWĄ TIARA

tysiący ciężarówek firma przełamała kryzys. Kierownictwo firmy przejął Eiji Toyoda. Podobnie jak w przypadku jego kuzyna Kiichiro Toyody nowy szef właśnie wrócił z podróży po Ameryce, gdzie zwiedził zakłady Forda.

– Dziennie produkowaliśmy wtedy 40 aut, a Ford – osiem tysięcy. Różnica była kolosalna – wspominał, będąc pod wrażeniem amerykańskiego systemu produkcji masowej i zdecydowany na przejście elementów tej standaryzacji do produkcji aut Toyoty. Mając w pamięci to, co zobaczył, a do dyspozycji znanego z II wojny jeepa, w 1951 roku Toyoda uruchomił produkcję samochodu terenowego znanego dzisiaj pod marką Land Cruiser.

Do rozwoju firmy przyczyniła się popularność następnego pięciosobowego modelu Toyoty – produkowanego od 1951 roku SF chętnie używanego jako taksówka. Powstała wówczas Toyota Sales Company rozwijała sprzedaż w systemie ratalnym, uznanym potem za początek nowoczesnego systemu sprzedaży samochodów.

Rynek japoński domagał się coraz większej liczby samochodów. Na taśmach produkcyjnych maszyny pamiętające lata 30. zastąpiono nowymi, wyprodukowanymi już w zakładach należących do koncernu Toyoty. W połowie lat 50. pojawiły się popularne później na wyspach japońskich modele Crown i Corona.

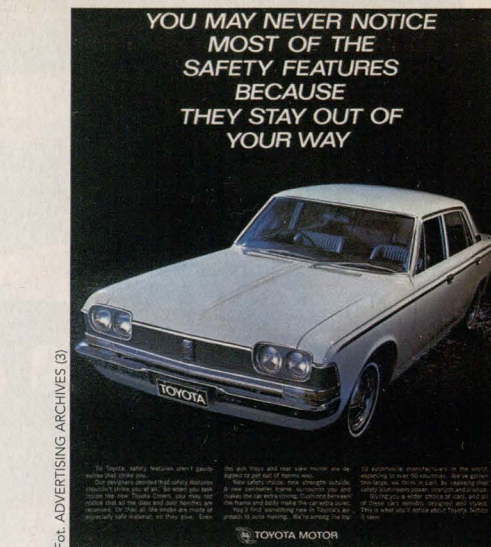
W 1959 roku będące siedzibą firmy miasto Koromo (w tej chwili 350 tysięcy mieszkańców) zmieniło nazwę na Toyota. W następnym roku partnerskim miastem Toyota City została siedziba Forda, General Motors i Chryslera, która (może ze względu na trudność pogodzenia w jednej nazwie trzech firm) do dziś pozostaje przy tradycyjnej nazwie – Detroit.

POCIĄG NIE CZEKA

Gwałtowny wzrost produkcji z połowy lat 50. wiąże się też z ostatecznym dopracowaniem zasad firmy, które stały się dziś standardem także w innych przedsiębiorstwach: „Just in time” (w samą porę), jidoka i kaizen.

Formuła „just in time” jako naczelna dla filozofii produkcji Toyoty pojawiła się w ustach Kiichiro już latem 1938 roku, gdy udzielał wywiadu jednemu z tokijskich dzienników. Zgodnie z nią części do montażu aut są produkowane w dokładnie określonych ilościach i dostarczane w ściśle wyznaczonym czasie – nawet co kilka godzin. Obniża to znacznie koszty produkcji, eliminując przetrzymywanie zapasów w magazynach. Gdy Kiichiro wyjaśniał formułę pracownikom, używał metafory pociągu. – Nawet gdy spóźnimy się tylko minutę, pociąg ucieknie i plan podróży jest zaburzony. Tak samo jest z produkcją samochodów – tłumaczył. Starsi robotnicy Toyoty wspominali, że w wielu miejscach fabryki wisiały tablice z tą sentencją.

W 1997 roku nastąpiła jedyna poważna awaria w systemie „just in time”. Pożar u dostawcy 90 procent jednego z elementów układu hamulcowego sprawił, że dziesiątki tysięcy pra-



TOYOPET CROWN, 1967.
REKLAMA W PRASIE AMERYKAŃSKIEJ

cowników Toyoty na trzy dni przerwały pracę. Przystój nastąpił w czasie, gdy firma zwiększała produkcję, aby dostarczyć do klientów więcej samochodów przed wprowadzeniem wyższego podatku VAT. Kosztowało to Toyotę ponad 300 milionów dolarów strat. – System skąpych zapasów można ulepszyć, bo nie jest doskonały, ale nie ma mowy o rezygnacji z niego – zapewniał wtedy prezes firmy Shoichiro Toyoda.

Zasady Toyoty rozwiniął i dopracował Taiichi Ohno pracujący w firmie od 1943 roku. Próbował wprowadzić je już w trudnych latach 40., ale prawdziwe efekty pojawiły się w latach 50. Ohno też był w USA, gdzie zafascynował go system dostaw do supermarketów – zamawianie partii towaru w ilościach zgodnych z potrzebami klientów. Fascynacja wpłynęła na utwierdzenie się w słuszności kolejnej zasady: kanban. Zgodnie z nią wielkość produkcji ma być regulowana w zależności od koniunktury na rynku. Z kolei jidoka zakłada też, że pracownik – w przeciwieństwie do rozwiązań panujących wtedy na świecie – powinien umieć obsłużyć różne miejsca linii produkcyjnej, a nawet zatrzymać produkcję, gdy widzi usterkę.

System kaizen zaś to sposób rozwiązywania prostych zadań poprzez pracę w zespole. Ma on motywować pracowników do polepszania warunków ich pracy. – Okradasz firmę, jeśli nie poprawiasz co miesiąc standardów swojej pracy – mawiał Taiichi Ohno. Gdy w 1956 roku odwiedził fabryki General Motors i Forda, stwierdził ze zdziwieniem, ale i oczywistym zadowoleniem, że produktywność pracowników Toyoty jest już wyższa niż amerykańskich firm – tam zatrzymała się na poziomie z lat 30.

WIELKI KOP

Choć milionowy egzemplarz Toyoty zszedł z taśmy w 1962 roku, firma sprzedawała samochody głównie na rynku japońskim. Szczególną popularność zyskała tam Publica jako małe auto z silnikiem chłodzonym powietrzem. Wciąż jednak nie udało się podbić Stanów Zjednoczo-



Fot. TOM WAGNER/CORBIS SABA/FREE



REKLAMY TOYOTY W AMERYKAŃSKIEJ. PRZEŁOM LAT 60. I 70.

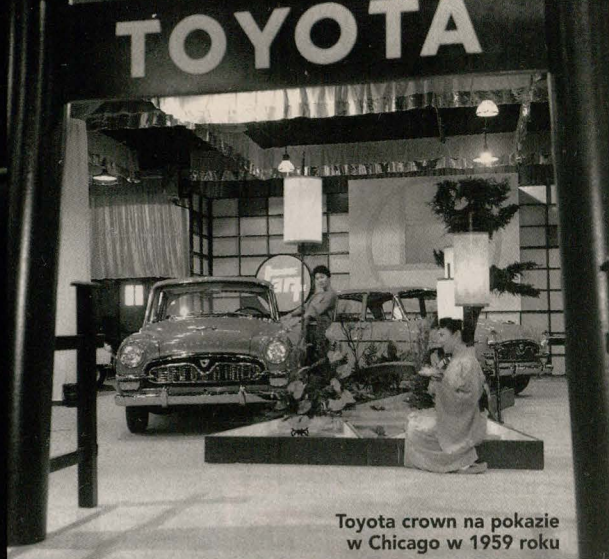
nym. Promowany tam od 1957 roku Crown był zdaniem Amerykanów zbyt mały w stosunku do swej masy i miał zbyt zawodny silnik. Zainteresowanie klientów z USA budziły jedynie niewielkie ilości land cruiserów.

Także w 1962 roku, w grudniu, Toyotę zainteresowali się Duńczycy. Wymogli na niespodziewających się w Europie kokosów przedstawicielach Toyoty w Tokio dostawę pierwszych 400 aut marki Crown na rynek skandynawski. Był to pierwszy eksport większej partii toyot na Stary Kontynent. Wcześniej tylko w Grecji w 1960 roku sprzedano kilkanaście sztuk aut tej firmy.

Kumulację istotnych dla firmy zdarzeń i przełom w jej wyjściu na światowe rynki przyniosła połowa lat 60.



Hiroshi Okuda
jest prezesem firmy
od 1999 roku
– pierwszym spoza
rodziny Toyodów



Toyota crown na pokazie
w Chicago w 1959 roku

Fot. BETTMANN/CORBIS/FREE

– Okradasz firmę, jeśli nie poprawiasz co miesiąc standardów swojej pracy
– mawiał Taiichi Ohno, twórca Systemu Produkcyjnego Toyoty

W 1966 roku Toyota uruchomiła pod Nagoją kolejną olbrzymią fabrykę. Na jej liniach produkcyjnych pojawił się nowy model – Corolla. Bardzo szybko stał się najpopularniejszym samochodem w Japonii, popularnym także w Stanach Zjednoczonych. To sztandarowy model Toyoty – do tej pory sprzedano ich ponad 30 milionów.

W tym samym 1966 roku Toyota wyprodukowała swój dwumilionowy samochód, w 1975 roku produkowano już dwa miliony aut rocznie. Kryzys paliwowy lat 70. sprawił bowiem, że klienci odwrócili się od paliwożer-nych, ciężkich aut, zwracając się ku samochodom mniejszym i lżejszym, i rozmiarami. A takie były samochody Toyoty.

LUKSUS W LEXUSIE

W sierpniu 1983 roku szefowie Toyoty spotkali się na naradzie, której wyniki utrzymywano w największej tajemnicy. Prezes Eiji Toyoda oznajmił, że przyszedł czas wkroczenia w segment aut luksusowych i zdobycia nimi kolejnego przyczółka w USA. Tajny projekt otrzymał kryptonim „F1”. Litera pochodziła od słowa „Flagship” (okręt flagowy, w tym przypadku – flagowy wyrób), zaś cyfra – od zamierzeń stworzenia luksusowego sedana najwyższej klasy.

W 1985 roku w Kalifornii powstał zespół, który zajął się rozwijaniem tego pomysłu. Po kilku miesiącach gotowy był prototyp – LS400. Rok później na autostradzie w Niemczech samochód przeszedł pierwsze testy. W 1986 roku sprawdzano go na drogach amerykańskich.

W styczniu 1989 roku na pokazach w Detroit i Los Angeles zaprezentowano Lexusa LS400 i ES250. 10 lat później w USA przekroczono próg miliona sprzedanych leksusów.

PIĘĆ SEKUND NA ZAKUP

Rodzina Toyoda, która ma już tylko mniej niż dwa procent akcji koncernu, dysponuje w nim ograniczonymi wpływami. Szefem firmy od 1999 roku jest Hiroshi Okuda – pierwszy prezes koncernu spoza rodziny Toyodów. Prezesem Toyota Motor Corporation jest Fujio Cho, wcześniej szef zakładów koncernu w Kentucky. Do głosu doszli akcjonariusze domagający się większej elastyczności w reagowaniu na zmiany rynku.

Dzięki temu w Ameryce Toyota w 2003 roku zwiększyła sprzedaż, zajmując 11,6 procent rynku. Dochód z tamtego obszaru to blisko 70 procent dochodów całej firmy. W latach 1997–2000 najchętniej kupowanym autem w USA była Toyota Camry. Zdetronizowana w 2001 roku przez Hondę Accord powróciła na pierwsze miejsce w 2002 roku, gdy jej sylwetka została odnowiona. W Europie w 2005 roku Toyota chce sprzedać 800 tysięcy sztuk samochodów, co dałoby jej pięć procent rynku nowych aut na Starym Kontynencie. W sumie na całym świecie Toyota sprzedała w 2003 roku 6,78 miliona samochodów. To jeden sprzedany samochód na mniej więcej pięć sekund. Kiedy czytaliście ten tekst, Toyota sprzedała więc niemal 200 nowych aut.

PAWEŁ WIECZOREK, PB

Błogosławiony uczony, który nie ma do powiedzenia, nie obleka tego faktu w słowa.

KAREL CZAPEK (1890–1938), PISARZ CZESKI

Hiperczytanie

Hiperleksja to odwrotność dysleksji. Dotknięte nią osoby potrafią czytać, zanim jeszcze nauczą się mówić – informuje pismo „Neuron”. W niektórych przypadkach zdolność czytania zdarza się nawet 18-miesięcznym niemowlętom. Hiperleksja to bardzo rzadka odmiana autyzmu. Przypadłość tę badają naukowcy z Georgetown University Medical Center. Wykorzystali do tego technikę funkcjonalnego rezonansu jądrowego umożliwiającą podejrzenie pracującego mózgu. Jedno z badanych dzieci – Ethan – mając dwa lata, czytało słowniki, ale dopiero w wieku trzech i pół roku wypowiedziało pierwsze słowo. Dzieci z hiperleksją – wbrew przyjętym opiniom – nie potrzebują rozwiniętych umiejętności językowych, by móc czytać. Dziś Ethan ma 11 lat, chodzi do szkoły, ale najbar-



Fot. CORBIS/IFR

dzie interesują go książki, czasopisma i telewizja. Ethana poddano wielu badaniom, podczas których czytał wewnątrz urządzenia do rezonansu jądrowego. Stwierdzono u niego większą aktywność obszaru po lewej stronie mózgu – związanego z rozumieniem mowy – oraz po prawej stronie – części układu wzrokowego. Gdy aktywność kory mózgowej w okolicy skroniowej po stronie lewej jest podwyższona, mamy do czynienia z hiperleksją, gdy obniżona – z dysleksją.

Syfilis lepszy od kondomu

Większość mężczyzn woli ponosić ryzyko zachorowania na choroby weneryczne,

niż stosować prezerwatywy – wynika z badań zespołu kierowanego przez doktor Diane Grimley z University of Alabama w Birmingham. W grupie badanych mężczyzn znalazło się 224 pacjentów jednej z klinik w Birmingham, którzy zgłosili się



Fot. STONE/IFR

na leczenie z powodu chorób przeniesionych drogą płciową. Zapytano ich, jak często używają prezerwatyw. Aż dwie trzecie mężczyzn

mających stałą partnerkę seksualną i jedna trzecia mężczyzn bez stałej partnerki mimo zagrożenia chorobami wenerycznymi nie stosowało prezerwatyw regularnie. Najczęściej sięgali po prezerwatywy mężczyźni żyjący w zażyłych związkach z jedną partnerką. Rezygnując z zabezpieczenia, chcieli udowodnić, jak bardzo zaangażowani są w związek.

Polski gen

Naukowcy z Pomorskiej Akademii Medycznej w Szczecinie odkryli jeden z genów odpowiedzialnych za powstawanie raka jelita grubego. Opracowany przez nich test genetyczny pozwoli zidentyfikować osoby, które

mają go w postaci zmutowanej, i pomoże zapobiegać rozwojowi choroby. Ten gen jest przyczyną około 15 pro-



Fot. SPIEGEL NEWS

cent zachorowań na raka jelita grubego, jedną z najczęściej występujących w Polsce chorób nowotworowych. Znane do tej pory geny powoływały zdiagnozować około 15 procent zachorowań na raka jelita grubego. Polskie odkrycie podwoiło ten wskaźnik.

Farba robi rak

Kobiety farbujące włosy na ciemny kolor przez co najmniej 24 lata mają podwyższone ryzyko rozwoju jednego z nowotworów, chłoniaka nieziarniczego – pisze „American Journal of Epidemiology”. Odkrycie to wyjaśnia, dlaczego liczba przypadków chłoniaka nieziarniczego podwoiła się od połowy lat 70. Eksperti podejrzewają, że rolę może tu odgrywać kontakt z jakimiś związkami chemicznymi. Badacze z Yale University nie zauważyli większego ryzyka rozwoju raka u kobiet, które zaczęły farbować włosy w latach 80. lub później. – Może to od-

zwierciedlać zmiany składu chemicznego barwników do włosów w ciągu ostatnich 20 lat. Może też świadczyć o tym, że osoby ostatnio ich używające są w fazie utajonej – uważa jeden z prowadzących badanie.

Prześpij się z tym

Sen sprzyja kreatywnemu myśleniu i pomaga w rozwiązywaniu problemów – wskazują wyniki badaczy z Niemiec opublikowane w „Nature”. Zespół Jana Borny z Uniwersytetu w Lubce zaplanował eksperyment, który miał zweryfikować rozpowszechniony pogląd na temat „kreatywności” roli snu. W badaniu wzięło udział 60 osób. W czasie treningu uczestnicy musieli przestać ośmiem cyfr w szeregu zgodnie z dwiema prostymi regułami, które ujawniono im na wstępie. Nie przedstawiono jednak trzeciej reguły,



Fot. CORBIS/IFR

która mogła znacznie przyspieszyć uzyskanie wyniku. Trening przeprowadzono o tej samej porze dnia w trzech grupach. Pierwsza zaraz po treningu poszła spać na osiem godzin, druga musiała utrzymać ośmiogodzinną aktywność w nocy, a trzecia była aktywna przez kolejne osiem godzin w ciągu dnia. Uczestnicy, którym pozwolono na ośmiogodzinny sen tuż po treningu, mieli ponaddwukrotnie większą szansę odkrycia trzeciej reguły niż osoby, które po treningu musiały zachować aktywność w nocy czy w dzień.

Wyniki udowadniają, że sen ułatwia proces kreatywnego myślenia i pobudza wnikliwość umysłu. Zgodnie z wcześniejszymi doniesieniami w trakcie snu dochodzi również do utrwalaenia świeżych wspomnień i przyswajania nowo nabytych umiejętności.

POLACY O BIOTECHNOLOGII

90% Polaków chce, by prace biotechnologiczne były kontrolowane i nadzorowane przez odpowiednie władze, przy czym władze religijne nie powinny mieć wpływu na tworzenie w tej dziedzinie norm prawnych

50% społeczeństwa popiera dyskusję na temat biotechnologii

30% uważa je za stratę czasu

55% Polaków deklaruje chęć zakupu żywności modyfikowanej genetycznie ze względu na lepsze walory odżywcze

47% skłoniłoby do zakupu przedłużona trwałość tej żywności

40% przekonałoby niższa cena

31% nie kupiłoby takiej żywności

Badania zostały przeprowadzone w 2000 r. przez Ośrodek Badania Opinii Publicznej w ramach projektu „Life Sciences European Society”, który finansuje Unia Europejska i Komitet Badań Naukowych



Fot. NASA

Bilet w jedną stronę

Mars to od kilku tygodni ulubiony kierunek Ziemi. Lądują na nim sondy, jest obfotografowywany z przestrzeni kosmicznej, a prezydent USA zapowiada rychłe wizyty ludzi na Czerwonej Planecie.

Ogłoszony przez George'a W. Busha nowy program podboju kosmosu budzi największą kontrowersję. Jedni uważają go za kontynuację chlubnej tradycji księżycowych misji Apollo, inni za szaleńczą megalomanię.

Najciekawszą opinię wyraził Paul Davies, fizyk i popularyzator nauki. Podał on plan Busha solidnej krytyce i zaproponował własne, dość szokujące, rozwiązanie.

Biały Dom planuje trwającą kilka lat wyprawę na Marsa i z powrotem. Tymczasem Davies sugeruje, by kosmonauci nie wracali już na Ziemię. Jego zdaniem mogliby tego po prostu nie przeżyć – wystawieni podczas podróży na długotrwały brak grawitacji i trzykrotnie słabsze niż ziemskie ciśnienie na Marsie nie przetrwaliby przeciążeń związanych z lądowaniem w drodze powrotnej. Dość spojrzeć na astronautów wracających ze stacji orbitalnych po dwumiesięcznym pobycie – zdarzało się, że wynoszono ich z ławki na noszach.

Troska o ludzkie zdrowie to niejeden powód. Chodzi też o pieniądze. Aby pojazd powrócił z Marsa na Ziemię, musiałby mieć ogromne zapasy paliwa. Ich dostarczenie na Czerwoną Planetę byłoby niewyobrażalnie drogie, a wytworzenie na miejscu wymagałoby bardzo długiego czasu.

Podróż w jedną stronę nie oznacza rychłej śmierci kosmonautów. Mogliby oni zbudować na Marsie kolonię, która byłaby zaopatrywana w zapasy co dwa lata – podczas zbliżenia obu planet. Czterech kosmonautów mających mały reaktor atomowy i kilka pojazdów byłoby w stanie wytwarzać tlen, hodować rośliny, a nawet budować, korzystając z miejscowych surowców.

Co prawda bardzo by ryzykowali i z pewnością żyli krócej – człowiek nie jest przystosowany do długiego życia w niskiej grawitacji. Pewnie jednak znalazłby się tysiące chętnych do uczestniczenia w takiej pionierskiej misji.

Szokujące? Być może. Ale czym innym byłyby morskie wyprawy odkrywców opływających świat? Davies twierdzi, że przed rozpoczęciem programu Apollo USA planowały misje na Księżyc bez powrotu i szkoliły do tego astronautów. Może więc ma to sens? (PS)

[Zagadka]

Wyrostek robaczkowy to część układu pokarmowego o długości około 8 centymetrów, grubości około 6–8 milimetrów, odchodząca od jelita ślepego w dół do miednicy. Występuje u człowieka i niektórych ssaków. Leży w prawej dolnej części jamy brzusz-

nej. Swą nazwę zawdzięcza temu, że: a) ma kształt przypominający robaczkę, b) jego stan zapalny wywołują gnieźdzące się w nim pasożyty, c) pierwszy raz odnaleziono go i opisano u robaka *Caenorhabditis elegans*?

ROZWIĄZANIE ZAGADKI Z NUMERU 5:

PONIŻEJ PROSTSZĄ WERSJĄ PRZEPISU Z ZESZŁEGO TYGODNIA: 2 CEBULE, 2 OGÓRKI Z OCTU (CZYLI KONSERWOWE), PĘCZEK SZCZYPIORU, ŁYZKA MUSZTARDY (Z DODATKIEM CHRZANU), 2 LIŚCIE SĄŁATY, 2 ŁYZKI WEGETY. OGÓRKI, CEBULĘ I SZCZYPIOREK POSIEKAĆ W DROBNĄ KOSTKĘ. DODAC WEGETĘ I MUSZTARDĘ. WSTAWIĆ DO LODÓWKI NA PÓŁ GODZINY. NAJLEPIJ PODAWAĆ NA LIŚCI SĄŁATY.

zdrowie

Zanim dotrze do nas nowy rewelacyjny lek dla alergików, spróbuj przynajmniej się odczulić

Społeczność alergików mogłaby dziś stworzyć znaczące lobby. Co więcej, wszelkie dostępne dane mówią, że za kilkanaście lat to nieuczuleni będą stanowić margines społeczeństwa. A jeszcze kilkadziesiąt lat temu męczące dolegliwości mógł alergikowi osładzać fakt ich wyjątkowości.

Z badań przeprowadzonych w 1926 roku w Szwajcarii wynikało, że liczba alergików nie przekraczała promila. Pacjent z katarzem siennym był obiektem ożywionej dyskusji akademików. W 1970 roku alergikami było siedem procent ludzi. Dziś uczulenia to przypadłość jednej trzeciej ludności w krajach wysoko rozwiniętych. To grono stale się powiększa.

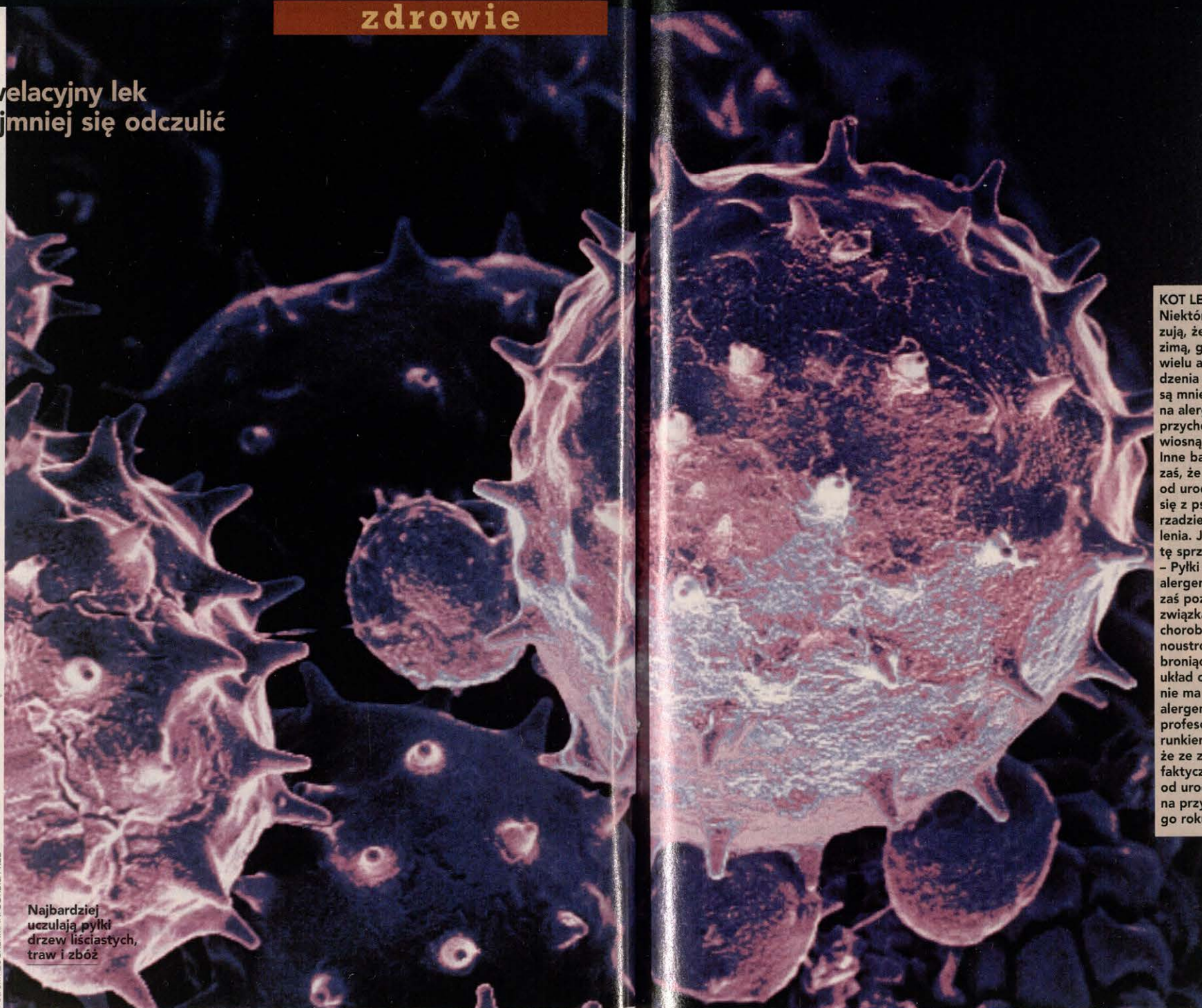
Dlaczego? Po pierwsze dlatego, że w dużym stopniu alergię zapisana jest w naszych genach, a tych leczyć nie umiemy, za to rozprzestrzenia się, jeżdżąc po świecie. – Możemy w zasadzie tylko łagodzić skutki uczuleń – mówi profesor Edward Zawisza z Zakładu Alergologii Akademii Medycznej w Warszawie. – Mamy dziś jednak szereg bardzo dobrych leków pozwalających zwalczać objawy alergii. Można też podjąć próby odczulania, czyli immunoterapii.

Co więcej, alergicy stanowią tak dużą siłę nabywczą, że firmy farmaceutyczne wciąż podejmują badania zmierzające do opracowania nowych leków. I właśnie dzięki temu zapowiada się prawdziwa rewolucja. Za blisko rok w Polsce będzie dostępny lek stanowiący prawdziwe panaceum na alergię. Dziś jest dopuszczony do stosowania w USA, Australii i Ameryce Południowej. Trwają już jednak procedury mające na celu jego rejestrację w Unii Europejskiej.

**Za dużo higieny,
za mało chorób**

Alergia to ewolucyjnie dość nowa przypadłość człowieka. Wygląda na to, że nasza skłonność do uczuleń wyewoluowała wraz z przybyciem człowieka z Afryki do Europy. Jak to się stało?

– Być może wpłynęła na to zmiana środowiska – wyjaśnia profesor Zawisza. – W ciepłej Afryce są doskonałe warunki do rozprzestrzeniania się różnego rodzaju czynników chorobotwórczych: bakterii i wirusów. Nasz układ odpornościowy był przyzwyczajony do walki z nimi. W dawnej Europie jednak było o wiele chłodniej. Było też mniej zakaźnych drobnoustrojów, za to więcej „nowości”, z którymi nasz organizm stykał się po raz pierwszy: pył-



Najbardziej uczulają pyłki drzew liściastych, traw i zbóż

Fot. JIM ZUCKERMAN/CORBIS/FREE

KOT LEPSZY OD TRAWY
Niektóre badania pokazują, że dzieci urodzone zimą, gdy nie ma zbyt wielu alergenów pochodzenia roślinnego, są mniej narażone na alergię niż te, które przychodzą na świat wiosną lub latem. Inne badania pokazują zaś, że dzieci, które od urodzenia stykają się z psem lub kotem, rzadziej cierpią na uczulenia. Jak rozumieć tę sprzeczność?
– Pyłki roślin to czysty alergen, zwierzęta zaś poza uczulającymi związkami roznoszą też chorobotwórcze drobnoustroje. Być może, broniąc się przed nimi, układ odpornościowy nie ma czasu zająć się alergenami – wyjaśnia profesor Kulus. – Warunkiem jest jednak to, że ze zwierzęciem faktycznie obcuje się od urodzenia, a nie na przykład od drugiego roku życia.

ków nieznanych roślin, owadów, owoców. „Rozpędzony” do działania układ odpornościowy, nie mając starego wroga, zaczął szukać nowego. I znalazł. Zaczął przekładać mechanizmy walki z chorobą na walkę z czynnikami środowiska.

Jak do tego doszło?

Wyobraźmy sobie, że układ odpornościowy to armia. W okopach siedzą żołnierze, czekają. Po organizmie zaś krążą zwiadowcy – pomocnicy wyszkoleni w tropieniu wroga. Gdy go znajdą, wysyłają wiadomość do okopów – do ataku! Akcja nosi kryptonim „Infekcja”. Żołnierze przeładowują broń i strzelają – ich pociski podobne są jednak bardziej do kulek używanych w paintballu niż do ostrej amunicji. Nie zabijają, a tylko znakują – jak kulki z farbą. Takich oznakowanych wrogów łatwo już dopaść i zniszczyć, czym zajmują się inne jednostki układu odpornościowego.

Tak działa to normalnie. Tak działało to setki tysięcy lat. Co jednak zrobić, gdy tej sprawnej armii zaczyna brakować wroga?

Żołnierze siedzą w okopach, nudzą się, dyscyplina w armii spada. Co zrobić, by utrzymać morale? Trzeba ćwiczyć, toczyć walki. Należy znaleźć innego wroga. I tu do akcji wkraczają zwiadowcy wyszkoleni na takie okazje. Nie znają się na bakteriach czy wirusach. Oni szukają alergenów: pyłków, roztoczy, zarodników pleśni. Częsteczek, które w normalnych warunkach niczym nam nie zagrażają. Jednak na bezrybiu i rak ryba. Układ odpornościowy nie wie, co to bierność. I znów żołnierze w okopach dostają sygnał – jest wróg. Kryptonim akcji: „Alergia”. Aaaaaa, no to jednak trochę co innego. Broń zostaje przeładowana. Wróg to nie bakteria czy wirus. To „wróg czasów pokoju” – alergen. Żołnierze mają na niego inną amunicję. Wyciągają pudełka z symbolem „IgE”. I strzelają. Wróg zostaje oznakowany i zajmują się nim wyznaczone do eksterminacji oddziały układu odpornościowego.

Ta nowa amunicja zwana przeciwciałem IgE została „wynaleziona” przez nasz układ odpornościowy blisko 200 tysięcy lat temu.

Od tego czasu historia się powtarza. Są choroby – nie ma alergii. Brakuje chorób – zaczynają się uczulenia.

– Paradoksalnie wygląda na to, że alergiami opłacamy podnoszący się wciąż poziom higieny. Myjemy ręce, bierzemy prysznic, przyjmujemy szczepienia ochronne. Słowem – odbieramy układowi immunologicznemu

CHOROBA ZBYT CZYSTYCH RAK

OLGA WOŹNIAK

zdrowie

Roztocza to pajęczaki żywiące się resztkami naszego naskórka. Mieszkają w pościeli, materacach, kurzu. Ich odchody silnie uczulają



Fot. ANDREW SYRED/SPL/STOCK NEWS

naturalnego wroga, jakim są czynniki chorobotwórcze – mówi profesor Marek Kulus z Kliniki Pneumologii i Alergologii Wieku Dziecięcego AM w Warszawie.

To wyjaśnia dość zaskakujące wyniki badań. Pokazują one, że na alergię są na przykład mniej narażone osoby, które chorowały na żółtaczkę pokarmową. – To choroba brudnych rąk – tłumaczy profesor Kulus. – Kontakt z brudem i zarazkami zmniejsza ryzyko uczuleń. Dlatego więcej alergików jest w Szwajcarii niż w Indiach.

Typowy alergik to mieszkaniec wielkiego miasta. Pochodzi raczej z bogatszej rodziny, często jest najstarszym dzieckiem lub nie ma rodzeństwa. Jego szanse na uczulenie zwiększa słabość rodziców do nikotyny i dbałość o czystość. Na jego półce w łazience stoi bateria kosmetyków. Był szczepiony na wszystkie możliwe choroby, najmniejsze przeziębienie leczy antybiotykiem. Ptaka widzi przez okno, drzewo w parku. Narażony jest za to na wdychanie powietrza zanieczyszczonego spalinami. Nie tylko zresztą spalinami.

Przeciętnie w każdym domu można znaleźć od 30 do 50 tysięcy środków chemicznych! Ich źródłem są preparaty czyszczące, kleje i farby, lakiery, materiały izolacyjne, wykładziny i tapety, materiały budowlane. Do tego dołożymy efekt cieplarniany, który sprawia, że rośliny wytwarzają więcej pyłków.

Alergia murowana.

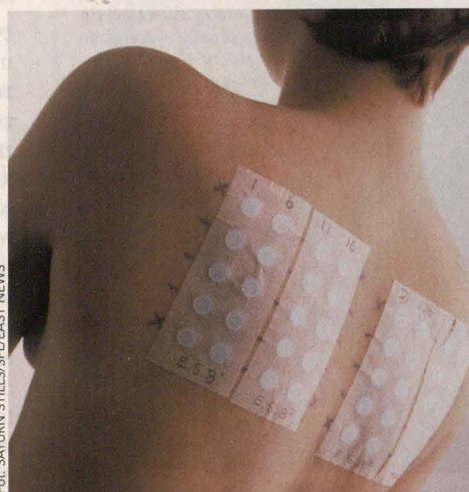
Alert histaminowy

Kimkolwiek jest wróg wywołujący reakcję układu odpornościowego, powoduje zalenie organizmu przez związek zwany histaminą. To alarmowa substancja wytwarzana w obliczu zagrożenia przez wyspecjalizowane komórki układu odpornościowego.

Po co? Histamina rozszerza małe naczynia krwionośne. Ma to na celu zwiększenie przepływu krwi, a wraz z nią tlenu i „pośilków” – żołnierzy z innych czę-

Czy można się uczulić na człowieka?

– Jak najbardziej – mówi profesor Zawisza. – Można być uczulonym na czyjś łupież, włosy, ślinę. Można też – w mojej długoletniej praktyce spotkałem się z ośmioma takimi przypadkami – być uczulonym na czyjś nasienie. Takie sprawy często kończą się rozwodem.



Fot. SATURN STILLS/SPL/STOCK NEWS

Lekarz, by sprawdzić, na co jesteśmy uczuleni, na przedramieniu (lub plecach, gdy podejrzanych jest wiele alergenów) nakrapla roztwór uczulających substancji. Zaczerwienienie i obrzęk świadczą o wyższej wrażliwości



Fot. SHEILA TERRY/SPL/STOCK NEWS

ści organizmu. Niesie też ze sobą skutki uboczne: zwiększa się przepuszczalność naczyń krwionośnych, co powoduje lokalne wysięki osocza krwi i obrzęki. U wielu osób grozi to obrzękiem krtani, tchawicy, a nawet płuc, odcinającym dopływ powietrza. Jest to głównym objawem dychawicy (astmy alergicznej). Z kolei drażnienie zakończeń nerwów czuciowych przez histaminę jest przyczyną świądu i bólu.

Alert histaminowy w przewodzie pokarmowym prowadzi do skurczu mięśni gładkich i wzmożonego wydzielania soków trawiennych. Podrażniona błona śluzowa jelita cienkiego reaguje stanem zapalnym wywołującym biegunkę. To tak zwana alergia pokarmowa.

Po przekroczeniu pewnego progu histamina przedostaje się z tkanek do krążenia i może wywołać niebezpieczne reakcje ogólnoustrojowe, tj. spadek ciśnienia krwi, przyspieszenie czynności serca, co prowadzi do stanu będącego bezpośrednim zagrożeniem życia – wstrząsu anafilaktycznego. Długotrwały stan zapalny wywołany bezcelowym alertem histaminowym jest ciężką chorobą alergiczną. Jak sobie z nią radzić?

Banany i lateks

Po pierwsze, można zablokować wydzielanie histaminy. Alergicy nie lubią tych leków. Na złą sławę zapracowała sobie ich pierwsza generacja. Do niedawna po zażyciu leków antyhistaminowych nie wolno było na przykład prowadzić samochodu. Leczone nimi dzieci przysypiały na lekcjach i miały trudności z koncentracją. Te skutki uboczne udało się zlikwidować. Leki antyhistaminowe drugiej generacji są już bezpieczniejsze, o czym świadczy fakt, że dopuszczono je do stosowania u kontrolerów lotu na lotniskach, a więc u osób, dla których sprawność umysłu ma ogromne znaczenie.

Po drugie, warto sprawdzić, co dokładnie nas uczula. Robi-

to lekarz alergolog. Na skórę przedramienia lub pleców nanosi roztwór różnych alergenów i sprawdza reakcję. Zaczerwienienia i bąble oznaczają uczulenie. Można też pobrać krew i oznaczyć poziom przeciwciał IgE. U alergików jest zawsze bardzo podwyższony.

Gdy już wytropimy to, co nas uczula, można próbować immunoterapii. Mechanizm tego leczenia podobny jest do szczepionek. Przez kilka tygodni podaje się choremu niewielkie dawki alergenu, ucząc jego układ odpornościowy, że to nie jest wróg. Cykle odczulania trzeba powtarzać przez dwa do pięciu lat. Najlepiej zdają egzamin przy alergiach na jad owadów, uczuleniach na pyłki. Kiepsko radzą sobie z sierścią kota czy psa. Całkiem źle w alergiach pokarmowych. Co do tych ostatnich alergologów pocieszają: w 90 procentach przechodzą z wiekiem. Wyjątkiem są uczulenia na ryby i orzechy. Trzeba po prostu unikać jedzenia tych produktów.

Kiepskie rokowania w immunoterapii mają osoby uczulone na bardzo wiele rzeczy naraz. Alergie lubią bowiem chadzać grupami. Wygląda na to, że reakcja na niektóre alergeny jest sprzężona. Uczulony na banany będzie musiał wystrzegać się dodatkowo lateksu i selera. Źle znoszący pyłki brzozy z dużym prawdopodobieństwem powinien też unikać jabłek i owoców drożdżkowych.

Czy więc nigdy nie uda się wynaleźć panaceum na wszystkie rodzaje uczuleń? Już się udało. To substancja zwana omalizumabem wynaleziona przez naukowców z uniwersytetu w Stuttgarcie. Jej działanie polega na wylapywaniu przeciwciał IgE, zanim oznaczą one, kto jest wrogiem. Lek podaje się w zastrzykach raz na miesiąc. Do tej pory zarejestrowano go w USA, Australii i niektórych krajach Ameryki Południowej. Badania nad nim wciąż trwają. Dziś zaleca się stosowanie go w drugim rzucie, u osób, którym nie pomagają inne terapie, z czasem jednak być może trafi do wszystkich alergików. W Polsce ma się pojawić w przyszłym roku.

– To może być prawdziwy przełom – mówi profesor Zawisza – choć trzeba jeszcze dokładnie badać jego działania niepożądane.

Niektóre badania pokazują, że alergicy są mniej niż zdrowi ludzie narażeni na choroby nowotworowe oraz pasożyty – ich układ odpornościowy podobnie jak alergeny zwalczą bowiem związki kanцерогенne i niechcianych gości. Być może więc, gdy zaczniemy leczyć alergię, zwiększymy prawdopodobieństwo nowotworów i zakażeń glistą czy tasiecem. Choć na razie to tylko hipotezy.

Faktem jest, że wraz z omalizumabem pojawiło się dla wiecznie zakichanych i kaszlących światło w tunelu.

OLGA WOŹNIAK

FILM

KONRADA NIEWOLSKIEGO

SYMMETRIA
SYMBIV

W KINACH OD 6 LUTEGO



muzyka z filmu na płytach CD



www.SYMMETRIA.pl

www.SPI.pl

SPI
INTERNATIONAL
POLSKA

PRZE
KROJ

FILM

FILM POLSKI
AGENCJA PROMOCJA

KOMITET KINEMATOGRAFII

CKM

W 80 GODZIN DOOKOŁA ŚWIATA

SILNIK ODRZUTOWY
Williams FJ44-3 używany w małych odrzutowcach został zmodyfikowany tak, by mógł wykorzystywać wojskowe paliwo, które ma niższą temperaturę zamarzania

PARA SPADOCHRONÓW
Dodatkowa powierzchnia hamująca może się przydać przy lądowaniu lub pomóc w ustabilizowaniu samolotu w sytuacji awaryjnej

KABINA PILOTA
Hermeticznie zamknięta przestrzeń mająca niewiele ponad dwa metry długości. Wewnątrz tylko tablica z przyrządami i rozkładany fotel z włókna węglowego – żadnych wygód

ZBIORNIKI PALIWA
Skrzydła, boczne kadłuby oraz środkowy kadłub pod silnikami to 17 ogromnych, połączonych ze sobą zbiorników mieszczących ponad osiem ton paliwa

TRASA PRZELOTU
GlobalFlyer będzie leciał tak, by jak najdłużej znajdować się nad lądem, a jednocześnie nie wypaść z *jet streamu*

Steve Fossett zamierza samotnie oblecieć kulę ziemską w ciągu trzech dni. Powinno mu się udać, jeśli tylko przeżyje start

Plan jest ambitny: żadnych międzylądowań, jeden pilot kontrolujący przez 80 godzin samolot będący latającą bombą. To jedyna metoda, by sprostać wymaganiom stawianym przez Międzynarodową Federację Lotniczą. Aby przelot został uznany za okążenie świata, trzeba pokonać nie mniej niż 36 787,559 kilometra – tyle, ile wynosi długość zwrotnika Raka. Ponadto trzeba wylądować w tym samym miejscu, z którego się star-

towało, należy minąć wszystkie południki globu i nie wolno zbyt blisko zbliżyć się do biegunów. Wszystko to ma zapobiegać przedsięwzięciom spryciarzy latających na skos lub dokoła własnego domu. Takie obostrzenia czynią też samotny lot wokół świata niezwykle trudnym.

Odrzutowa bomba

Pierwszy raz Ziemię bez lądowania udało się oblecieć w 1986 roku. Dokonała tego para pilotów: Jean Yeager i Dick Rutan. Lecieli dzie-

więć dni bez przerwy. Nie musieli się śpieszyć – podczas gdy jedno kierowało samolotem, drugie spokojnie spało. Ich samolot, Voyager, był napędzany dwoma silnikami śmigłowymi.

Tym razem wszystko wygląda inaczej. Samolotem ma kierować zdobywca wielu, nie tylko lotniczych, rekordów – Steve Fossett. Będzie jednak sam, a pojedynczy pilot nie wytrzymałby dziewięciu dni lotu, tym bardziej że konstrukcja samolotu wymaga, by w jego kabinie był tylko rozkładany fotel. Trzeba się więc pośpieszyć – aby pokonać ten sam dystans niemal trzy razy szybciej, nie wystarczy śmigło. Nowy samolot, nazwany GlobalFlyer, jest napędzany silnikiem odrzutowym, który nada mu szybkość niemal 500 kilometrów na godzinę. Aby zabrać niezbędną na cały lot ilość paliwa, GlobalFlyer jest latającym bakiem: 82 procent jego masy to wojskowe paliwo lotnicze. W chwili startu samolot będzie ważył 10 ton, podczas lądowania – już tylko niecałe dwie tony.

Następca Voyagera

Właśnie paliwo zadecydowało o niezwyklej konstrukcji samolotu. Na pierwszy rzut oka GlobalFlyer wygląda jak dwa szybowce połączone skrzydłami, na których styku umieszczono kadłub trzeciego. Taka budowa przypominająca trimaran zapewnia najlepsze właściwości aerodynamiczne, jednocześnie dając mnóstwo miejsca na paliwo. Oba boczne „kadłuby” to zbiorniki – są też nimi całe skrzydła i znaczna część środkowego, właściwego kadłuba. Pilot siedzi w małej, hermeticznej kabinie tuż przed silnikiem – takim jak stosowane w niewielkich prywatnych samolotach odrzutowych.

GlobalFlyer bardzo się różni od Voyagera z 1986 roku, jednak korzysta z jego

LATAJĄCY BAK

Paliwo ze skrzydeł i bocznych kadłubów będzie pompowane do środkowego zbiornika zasilającego silnik. Wymaga to stałej kontroli, by nie zakłócić równowagi samolotu podczas lotu

no w pierwszej konstrukcji, była rezygnacja ze stateczników poziomych w ogonie. Przez to podczas lotu samolot skręcał się i wyginał tak, że trudno go było kontrolować.

Przez 18 lat bardzo wiele się zmieniło – wówczas jedyną pomocą Burt Rutana był komputer Apple II z 48 kilobajtami pamięci i samodzielnie napisanym w Basicu programem. Dziś jego biuro konstrukcyjne korzysta z zaawansowanych programów CFD (*computational fluid dynamic*, czyli wyliczanie przepływu cieczy) – takich samych, jakich używa się przy konstrukcji ogromnych samolotów pasażerskich. Współczesny software pozwala na stworzenie wirtualnego tunelu aerodynamicznego i testowanie w nim modelu nieistniejącego jeszcze samolotu.

Tak właśnie robiono w przypadku GlobalFlyera. Okazało się bowiem, że mimo ogromnej ilości paliwa samolot nie ma szans przelecieć całego dystansu. Zwiększanie masy nie było możliwe ze względów konstrukcyjnych, Burt Rutan zdecydował się więc na dalsze udoskonalanie aerodynamiki i konstrukcji.

Po kolejnych poprawkach i wyliczeniach wciąż brakowało kilku tysięcy kilometrów. Całe przedsięwzięcie stanęło pod wielkim znakiem zapytania. Wtedy Rutan wpadł na genialny pomysł – trzeba wykorzystać siły natury. Wokół całego świata na wysokości około 13 kilometrów wieją stałe silne wiatry zwane *jet stream*. GlobalFlyer ma wykorzystać ich siłę – dodatkowy wiatr w ogon wiejący z szybkością 100–180 kilometrów na sekundę. Jeżeli uda się utrzymać samolot cały czas w strumieniu, misja powinna się powieść.

Kanapka z kompozytu

Prace nad samolotem trwają w firmie Rutana Scaled Composites, która znajduje się na pustyni Mojave w Kalifornii. Dla GlobalFlyera przeznaczono ogromny hangar, jednak i tak konieczne było wyburzenie fragmentu jednej ze ścian – teraz koniec skrzydła znajduje się w jednym z biur. Sąsiednie hangary kryją nie mniej niezwykle projekty – w jednym z nich powstaje pojazd, który ma się stać przyszłością komercyjnych lotów w kosmos. Inne budynki są szczelnie zamknięte – wiadomo, że wśród klientów Scaled Composites jest też amerykańska armia.

Burt Rutan zdecydował się na odejście od tradycyjnych rozwiązań stosowanych w lotnictwie. Nowy samolot ma bardzo mało części metalowych – poza silnikami, elementami układu sterowniczego i podwoziem wszystko wykonane jest z węglowych kompozytów. Aby przy minimalnej wadze zachować dużą wytrzymałość, robi się kompozytowe kanapki-przekładanie: warstwa włókien węglowych, materiał o strukturze plastra miodu i znowu włókna. Dzięki takiemu materiałowi samolot nie ma praktycznie

wewnętrznego ożebrowania – sztywność konstrukcji zapewnia zewnętrzna powłoka.

Zabawa milionerów

Oczywiście taki projekt kosztuje majątek. W finansowanie przedsięwzięcia włączył się stary towarzysz Steve'a Fossetta Richard Branson, twórca i szef grupy Virgin obejmującej między innymi linie lotnicze i firmę nagraniową. Sam w 2002 roku jako pierwszy człowiek obleciał balonem świat. Gdy dołączył do zespołu GlobalFlyera, oficjalna nazwa samolotu zmieniona została na Virgin Atlantic GlobalFlyer, a Branson stał się rezerwowym pilotem.

Wyprawa, choć niezwykle starannie przygotowana, budzi wiele obaw. Najniebezpieczniejszy jest sam start – wypełniony paliwem samolot będzie bardzo trudny do pilotowania, a wzniesienie się na wysokość przelotu, 13 kilometrów, zajmie mu aż 14 godzin. Poza tym wciąż nie wiadomo, czy wystarczy paliwa. Choć nie wybrano jeszcze miejsca startu, wiadomo, że będzie to gdzieś na środkowym zachodzie USA, tak by ostatnia część lotu nie odbywała się nad morzem i aby dało się przeprowadzić awaryjne lądowanie.



Od lewej: Richard Branson, Burt Rutan, Steve Fossett

Największym wrogiem samego pilota będzie zmęczenie. Co prawda samolot wyposażony jest w autopilota, ale ludzka kontrola może okazać się niezbędna – wciąż nie wiadomo, jak poradzi sobie elektronika z gwałtownie zmniejszającą się masą samolotu. Pilot będzie sobie mógł pozwolić tylko na krótkie drzemki – gdyby się nie obudził na czas i samolot wypadłby z ciągu *jet streamu*, misja zakończyłaby się porażką, jeśli nie katastrofą.

Na razie nie ustalono jeszcze daty startu, wiadomo jedynie, że musi to być wiosna lub jesień, bo tylko wtedy wiatry są wystarczająco silne i przewidywalne.

Jeżeli się uda, zostanie przełamana kolejna bariera możliwości człowieka i maszyn. Jeżeli nie – porażka może być bardzo spektakularna.

PIOTR STANISŁAWSKI

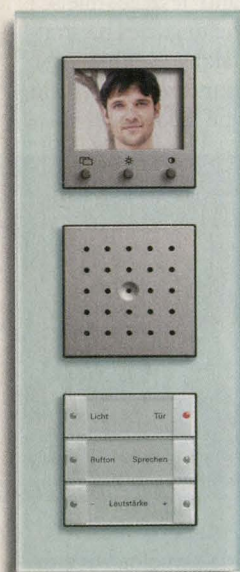
KORzystałem z Opublikowanego w „POPULAR SCIENCE” TEKSTU „1 JET ENGINE & 18000 POUNDS OF FUEL” AUTORSTWA ERICA ADAMSA



Otworzy i rozluźni
Choć sprawia wrażenie strasznego sztywniaka (stoi na baczność), rozluźni niejedno towarzystwo. Korkociąg SANDRO M. firmy ALESSI poradzi sobie z każdą butelką wina. Pasiasty ludek jest ręcznie malowany, zaprojektował go Alessandro Mendini. 300 złotych www.alessi.it



Telefon kameleon
NOKIA 3200 może zmieniać „skórę” nawet kilka razy dziennie. To właściciel komórki decyduje, co umieścić w obudowie – ulubionego piłkarza wyrwanego z gazety czy zdjęcie przyjaciół. Wystarczy wbudowanym aparatem fotograficznym na zwykłym papierze i przycięć specjalną, dołączoną do komórki wycinarką. www.nokia.pl



Elektroniczny ochroniarz

Jeśli boisz się wpuszczać obcych do domu, zanim ich dokładnie obejrzysz, oswój ich przez wideofon. Urządzenie GIRA ESPRIT ma kolorowy ekran i trzy przyciski: do otwierania drzwi, włączania oświetlenia i wyłączania dzwonka. Jeśli gość ci się nie spodoba, wybierz przycisk ostatni. Zestaw: 11 tysięcy złotych www.tema.pl

Wizytówka z jabłkiem
Nowy odtwarzacz IPOD MINI firmy APPLE jest wielkości wizytówki, a zapamiętuje około tysiąca utworów muzycznych. Jest bardzo prosty w obsłudze – wszystkie przyciski znajdują się na okrągłym panelu sterowania. Dostępny w pięciu metalizowanych kolorach. Około 970 złotych www.apple.com

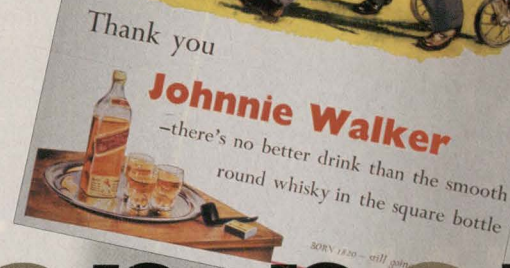


Ekstremalny ratownik

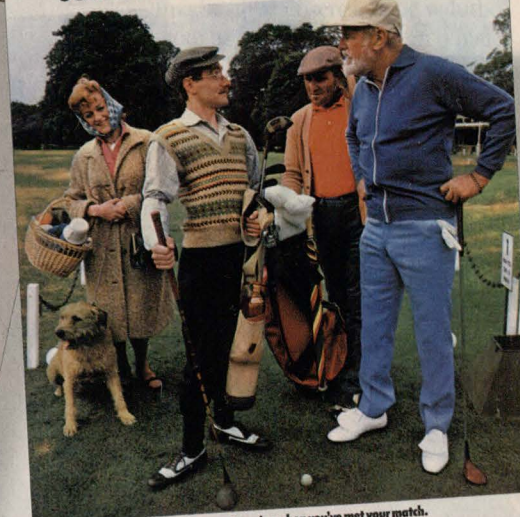
Jeep RESCUE to wymarzony pojazd do prowadzenia akcji ratunkowych. Wyposażony w połowy generator prądu, system nawigacji topograficznej, kamery termiczne pracujące na podczerwień, telefon satelitarny i zdalnie sterowane wyciągarki z przodu i z tyłu poradzi sobie w najbardziej ekstremalnych warunkach. Na razie to tylko projekt. www.jeep.com.pl

[popmodal]

pop popija



Johnnie Walker's guide to success.



No. 10 in a series: Knowing when you've met your match.

If you're intent on winning, never get involved in a contest you where your class will undoubtedly tell. A point that even the most hardened opponent will be more than happy to concede. Take it from us, we're the world's most successful Scotch whisky.

Wśród muzyków różne używki przychodziły i odchodziły, ale alkohol nigdy nie wyszedł z mody” – napisał Harry Shapiro w książce „History of Drugs and Popular Music”. Taka tuba reklamowa jak gwiazdy pop to nie byle co – alkohole więc pozostały, a zmienili się tylko muzycy i gatunki.

Najwięcej sławy (dobrej i złej, ale rozgłos przynosi jedna i druga) mocnym trunkom przynosiły rockowe wybryki – od nagłych zejść śmiertelnych (jak to Johna Bonhama z Led Zepelina, który swojego ostatniego wieczoru miał rzekomo zaliczyć 40 kolejek wódki) po długotrwałe terapie takich tuzów rocka, jak Eric Clapton, Axl Rose, Eddie Van Halen czy Ozzy Osbourne. Całe pokolenie wydaje się zmęczone pić. Tymczasem gdy ostatnio Osbourne wyładował w szpitalu po wypadku, książkę Karol podarował mu butelkę whisky. Z image'em gwiazdy rocka trudno rozstać się z alkoholem nawet po odwyku – w tym przypadku butelkę zapobiegliwie przejęła żona artysty.

Fundacja z procentami

Whisky kojarzy się z rockiem od początku lat 60., gdy pierwsza współczesna „dyskoteka” świata (w której grano rock and rolla) przyjęła nazwę Whisky-A-Go-Go. W tym jednym przybytku w Los Angeles grywało wówczas więcej słynnych zespołów niż w jakimkolwiek miejscu na ziemi. Muzycy rockowi upodobali sobie szczególnie Johnnie Walkera. „Gdy pytasz mnie, czy

Black Label to dobra whisky, to tak, jakbyś zastanawiał się, czy Jimi Hendrix umiał grać na gitarze” – napisał w swojej recenzji jeden z największych znawców wśród specjalistycznych dziennikarzy zajmujących się whisky, który – nomen omen – nosi nazwisko Michael Jackson.

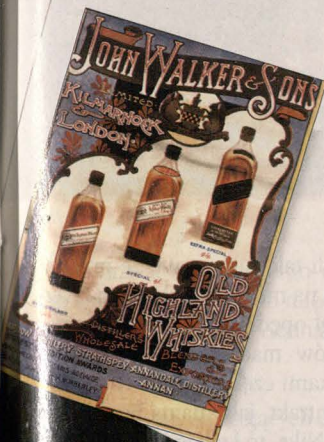
Największe marki whisky wydają na reklamę 160 milionów dolarów rocznie. Ale oprócz zwyczajnych reklam każda licząca się marka (Johnnie Walker, Ballantine's) ma swoje nagrody i fundacje, które często honorują artystów, w tym muzyków. Wódka Absolut prowadzi długoletnią kampanię artystyczną, w której butelkę napoju pokazują artyści, fotograficy, projektanci mody, choć i gwiazdy pop – bohaterem reklamówki Absoluta został choćby David Bowie. Konkurencyjna Finlandia z kolei została jednym z oficjalnych filmowych trunków Jamesa Bonda (obok szampa Bollinger i piwa Heineken).

Hop do kieliszka

Ale najnowszy krzyk mody to wymienianie nazw alkoholu w tekstach piosenek. Tu prym wiodą hiphopowcy. Niedawno Jay-Z przyczynił się do wielkiej sławy polskiej Belvedere Vodka w Ameryce – wystarczyło, że wspomniał o niej w swym przeboju. To dało do myślenia jego firmie Rock-A-Fella (dotychczasowa specjalność: płyty i ubrania) do tego stopnia, że postanowiła wprowadzić na rynek i wypromować własny trunk: Armadale. Artystów skupionych w Rock-A-Fella nie zmuszano do jego promocji, ale jak twierdzą szefowie firmy, „zachęcano”.

Francuscy producenci też są wniebowzięci – uważają, że hip-hop uratował rynek koniaku. W pierwszej dziesiątce marek najczęściej wymienianych w tekstach hiphopowych przebojów (pierwszy jest Mercedes, dalej – Lexus i Gucci) znalazł się drogi koniak Hennessy. Dalej – ekskluzywny Courvoisier, któremu nagranie „Pass the Courvoisier” poświęcił Busta Rhymes. Trend podchwyciły polskie gwiazdy hip-hopu. „Pili gin / pili go / Pili gin / A razem z nim pili sok” – rapował TeDe, a w teledysku razem z grupką przyjaciół popijał gin Lubuski. W sumie trudno wymagać od raperów, by reklamowali kojarzoną z tą muzyką marihuanę, bo za promocję nielegalnych używek prędzej można wylądować w więzieniu, niż zarobić.

ADAM ROZBICKI



Lou Reed

Mick Jagger

David Bowie



24-letni Miklos Feher (obok) zmarł podczas meczu na zawał. Fani składali kwiaty na lisbońskim stadionie klubu Benfica



KARIERA JAK SAMOBOJ

Największa nadzieja światowego futbolu ma 14 lat. Przyjechał do USA, bo jego matka wygrała na loterii wizowej zieloną kartę. Dziś wokół boiska, na którym trenuje Freddy Adu, stoją uzbrojeni ochroniarze, o jego podpis na kontrakcie zabijają się kluby Chelsea, Milan i Manchester United, a za prawo do ubierania dzieciaka firma Nike zapłaciła jego matce milion dolarów. Pani Adu jest dziś zapewne najbogatszą Ghanką na świecie, choć jej syn dopiero zaczyna karierę zawodowego futbolisty. To kolejne dziecko, na które komercyjny futbol zastawił swoje sidła.

Płatne telewizje narzucają klubom mordercze tempo, bo wykupiły prawa do transmisji rozgrywek niemal wszystkich lig w Europie. W Anglii, Włoszech czy Hiszpanii wysoko zakontraktowane mecze gra się nawet trzy razy w tygodniu. Żaden zawodowiec nie jest w stanie wychodzić na boisko co 48 godzin. Wyeksloatowani piłkarze są narażeni na coraz częstsze kontuzje, a drużynom coraz bardziej brakuje „świeżej krwi”. Ale menedżerowie klubów znaleźli wyjście z sytuacji. Wysyłają na boisko zawodników, którzy są jeszcze dziećmi.

Wysokobudżetowe szkółki przy zawodowych klubach, które przez dziesięciolecia dostarczały dorosłej piłce nowych zawodników, przestają już dziś wystarczać. Szybcy i młodzi zawodnicy są dziś zwierzyną, na którą poluje coraz więcej przebiegłych myśliwych. Dla łowcy głów najważniejsze to dotrzeć do zdolnego trampkarza przed konkurencją. To, co w cywilizowanym świecie nazywa się handlem dziećmi, w profesjonalnej piłce nosi miano „dalekowzrocznej polityki transferowej”.

Przez cały rok dziesiątki wysłanników z Europy przemierzają bezdroża Afryki i Ameryki Południowej, przebierając niczym na końskim targu w 10-, 12-latkach grających w piłkę. Cyrograf z podpisem biednych rodziców może w przyszłości okazać się cenniejszy od najlepszych akcji.

CORAZ MŁODSI DO BOJU

Freddy Adu wcale nie jest najmłodszy. Dziś bardzo dobrze sprzedają się już 11-latkowie. W roczniku 1993 najlepszy jest Adam Pepper, jeden z trampkarzy FC Liverpool. Szybkość, boiskowy refleks i nietuzinkowy drybling 11-letniego Peppera ściągnęły do jego ojca menedżerów i szkoleniowców takich klubów jak Manchester United, Arsenal czy

Real Madryt. Byli tak natarczywi, że przestali chodzić z synem na mecze ukochanego Liverpoolu – nie mógł opędzić się od wyperfumowanych 50-latków machających mu przed nosem książeczkami czekowymi.

Milionowy kontrakt, jaki mama Freddy'ego Adu podpisała z Nike, to i tak jedna z niższych kwot w tym segmencie rynku. Za utalentowanego 16-latka z dobrymi referencjami, którego wkrótce będzie można wpuścić między 20-walczących seniorów, menedżerowie renomowanych klubów płacą po 20 milionów dolarów. Sami zawodnicy w wieku 19 lat dostają już pensje wysokości miliona dolarów rocznie. Dla porównania 40 lat temu zarobki młodego piłkarza wynosiły w Anglii 10 funtów tygodniowo zimą, 9 latem oraz dodatkowo 2 funty za występ w pierwszym składzie.

Apetyty młodych piłkarzy rosną w miarę jedzenia. Kuszeni coraz większymi sumami przenoszą się z klubu do klubu, wywołując tym wściekłość fanów. Rekordy chciwości pobił kilka lat temu zaledwie 20-letni chuligan spod Paryża Nicolas Anelka. Cwani nie tylko na boisku, napastnik zatrudnił dwóch swoich braci jako agentów handlowych i odbył piłkarską pielgrzymkę po Europie, zmieniając kluby jak rękawiczki w zależności od tego, kto aktualnie był

Biznes futbolowy sięga po coraz młodszych zawodników, a ci coraz szybciej osiągają kres kariery. Ich przeciążone wysiłkiem i używkami organizmy nie wytrzymują tempa

Koleżdy Fehera wzywają pomoc



Piłkarze Benfiki płaczą nad trumną Miklosa Fehera

Rooney – bo o nim mowa – wybiegając na boisko w przegranym zresztą meczu z Australią, został najmłodszym debiutantem reprezentacji Albionu. Niewiele wcześniej dzięki atomowemu uderzeniu z 25 metrów stał się też najmłodszym strzelcem w dziejach angielskiej ligi. Na swoje 17. urodziny Rooney wynajął ekskluzywny teren torów wyścigowych w Aintree. Dziś zbliża się już do dwudziestki i coraz rzadziej słychać o jego genialnych zagraniach.

ALKOHOL, ORGIE, DOPING

Wiele młodych talentów nie jest w stanie oprzeć się pokusie dużej zabawy za duże pieniądze, jakimi są opłacani. Szefowie angielskiej federacji piłkarskiej przyznają, że nadużywanie alkoholu przez niektórych zawodników jest poważnym problemem. Wielu z nich nie kryje się zresztą ze swoimi słabościami. Robbie Fowler niedługo po swoich 20. urodzinach, kiedy był jeszcze wielką nadzieją brytyjskiego futbolu, okazywał radość z gola, kłękając przed linią boczną i wykonując na oczach kamer charakterystyczny gest wciągania nosem kokainy. Niedawno brytyjskie bulwarówki rozpisywały się o orgii seksualnej w luksusowym londyńskim hotelu Grosvenor House, która odbyła się po jednej z ligowych kolejek. Na skutek pijackiego zamieszania i ogólnego rozchocenia kilku młodziutkich piłkarzy Leeds United miało zgwałcić 19-letnią uczennicę katolickiej szkoły.

Alkohol i narkotyki są problemem nie tylko angielskiego futbolu. Kiedy testy antydopingowe pozwalały sprawdzać organizmy piłkarzy na obecność narkotyków, okazało się, że wśród młodych graczy trawka – a nawet coś mocniejszego – jest bardzo trendy. Narkotyki wykryto między innymi u 19-letniego Euzebiusza Smolarka, reprezentanta polskiej młodzieżówki, na co dzień wciąż obiecującego, choć coraz starszego zawodnika holenderskiego Feyenoordu Rotterdam.

Zepsucie przez kolosalne pieniądze to drobny problem w porównaniu ze zdrowotnymi następstwami uprawiania wyczynowego sportu w młodym wieku. Zawodnicy, którzy w wieku 17 lat osiągają szczyt formy, mają olbrzymie problemy z utrzymaniem jej choćby przez kilka lat, nie mówiąc już o dobrej grze w okolicach trzydziestki. Skomplikowane operacje przeciążonych ścięgna i stawów przykuwają chłopców do łóżek. Młodzi futbolisci doznają urazów, wobec których bezradne okazują się nawet najdroższe kliniki na Florydzie. Zdarza się, że kariery kończą w wieku 20 lat.

ŚMIERĆ NA BOISKU

Niektórzy nie dożywają nawet przedwczesnej sportowej emerytury. W ciągu ostatniego półroczia w niewyjaśnionych okolicznościach zmarło podczas meczów dwóch zawodowców – najpierw Marc-Vivien Foe z Manchesteru City, a 10 dni temu Miklos Feher z Benfiki Lizbona. Oficjalną przyczyną śmierci był

w obu przypadkach atak serca, choć w futbolowym światku aż huczy od podejrzeń o nielegalne eksperymenty dopingowe na młodych gwiazdach. Coraz głośniej mówi się o niedozwolonych, choć trudnych do wykrycia specyfikach, jakimi faszkuje się piłkarski narybek.

Profesjonalny debiut w wieku 17 lat powinien być dla młodego zawodnika przede wszystkim wielką szansą, czego najlepszym przykładem jest sam Pele. Król futbolu zadebiutował w tym wieku na mistrzostwach świata i zdobył dla reprezentacji Brazylii dwa gole w finałowym meczu. David Beckham nie skończył 17 lat, kiedy zdobył gola strzałem zza połowy boiska, a wielu jego rówieśników z cudownych dzieci europejskiego futbolu wyrosło na wybitnych i dojrzałych zawodników. Pokładanych w nich nadziei nie zawiedli między innymi Michael Owen (Liverpool), Ryan Giggs (Manchester United), Roberto Carlos czy Raul (obydwa z Realu Madryt).

Na europejskich stadionach panuje teraz moda na młodych Czechów, Norwegów, Estończyków. Jeżeli nie uderzą im do głowy pieniądze i nie wykończą ich trenerzy do spółki z klubowymi medykami, być może już wkrótce zrobią światową karierę.

Problem nastoletnich geniuszy piłkarskich nie grozi natomiast Polsce. – Nasz futbol nie dorósł jeszcze do jakiegokolwiek selekcji talentów – mówi Grzegorz Kalinowski, specjalista od piłki nożnej w TVN24. – Nad Wisłą najzdolniejsi zawodnicy marnują się w prowincjonalnych klubach. Nie ma systemu szkolenia i nic nie wskazuje, żeby sytuacja miała się zmienić.

Kolejną wielką nadzieją światowej piłki jest 17-letni Daniel Sztetela. Kuszą go Manchester United, Arsenal i Real Madryt. Nie ludźmy się jednak, że urodzony w New Jersey syn rodowitych Polaków założy kiedykolwiek koszulkę z białym orłem. Wychwycony w porę przez amerykańskich trenerów soccera Daniel jest dziś w czołówce piłkarskiej młodzieźówki USA. Na zgrupowaniach dzieli pokój ze swoim najlepszym kolegą – Freddyem Adu z Ghany.

TOMASZ LIPKO



Daniel Sztetela



Freddy Adu



Wayne Rooney

patrząc i czytając

Gwiazda lat 80.
Daryl Hannah,
zdjęcie dla
magazynu
„Vanity Fair”
(kwiecień
1984 roku)

KONIEC TEGO DOBREGO

Pan Bóg postanowił skierować starego zbereźnika **HELMUTA NEWTONA** do nowych zadań. Teraz ten 83-letni satyr zamiast uciech ziemskich będzie fotografował rajskie. Tylko czy one go nie znudzą?

TEKST MARCEL ANDINO VELEZ
ZDJĘCIA HELMUT NEWTON/H&K/FREE

Zdjęcie z cyklu
zatytułowanego
niepokojąco:
„Sie kommen”
– „One
nadhodzą”.
Francuski „Vogue”
(1981 rok)



– Helmut, jakie jest twoje ulubione czasopismo?
– „Związane Gospodynie Domowe”

Pierwsze wspomnienie Helmuta Newtona z dzieciństwa: leży w łóżeczku, jest wieczór. Mrok rozjaśnia żarówka nad lustrem w rogu pokoju. Przed lustrem siedzi młoda kobieta. Ma na sobie tylko cieniuseńką halkę w cielistym kolorze. To *Kinderfraulein*, niania Helmutka. Jest piękna. Malując się, uważnie studiuje swoje odbicie. Nie wie, że błądząc na nią patrzy. Jest więc naturalna.

Ta minuta – może dwie – zapatrzenia w zmysłową, roznegliżowaną *Kinderfraulein* zaważyła na całym życiu Helmuta Newtona. Życiu, które od 23 stycznia jest już zamkniętą historią. Helmut Newton, słynny fotograf, zginął we własnym cadillacu. Zjeżdżał po stromej alejce z hotelu Château Marmont na Bulwar Zachodzącego Słońca w Hollywood. Stracił panowanie nad samochodem, rozpę-

dzona limuzyna stoczyła się po pochyłości i rozbiła na okalającym posesję murze. Helmut zmarł zaraz po przewiezieniu do szpitala. Jego żona June Newton, która siedziała obok, przeżyła. Skandalista, wcielenie demoralizacji i zgnilizny moralnej, nie opuścił June przez 55 lat. Przez ponad pół wieku nie zrobił żonie niczego, co mogłoby ją skłonić do porzucenia go. Uważali się za wzorowe małżeństwo. Żadne moce piekielne – golizna, pejcze i skóry – nie mogły ich rozdzielić. Ulegli dopiero woli boskiej.

BARDZO DOBRA ZAWARTOŚĆ

– Helmut, jakie jest twoje ulubione czasopismo?

– Nazywa się „Związane Gospodynie Domowe”. To pismo porno, które sprzedawa-

no w Los Angeles. Nie jestem pewien, czy nadal istnieje, ale mieli bardzo dobrą zawartość.

– Fotografowałeś dla nich?

– Niestety, nie.

To fragment jednego z nielicznych wywiadów, których w latach 90. udzielił fotograf. Trudno dociec, co miał na myśli Newton, mówiąc: „dobra zawartość”. Jakoś tytuł wspomnianego pisemka niczego rewelacyjnego nie sugeruje. Wprost przeciwnie.

Pisemko „Związane Gospodynie Domowe”, gdyby kiedykolwiek przedostało się do szerokiego kręgu odbiorców, wywołałoby co najmniej zniechęcenie. Ale Helmut Newton uznany za jednego z największych współczesnych fotografów właśnie z odruchu zniechęcenia czerpał siłę. – Jedyna rzecz, której

naprawdę nienawidzę, to dobry gust. Dla mnie to brzydkie słowo – powiedział kiedyś. Innym razem, podczas debaty telewizyjnej, wyrzucił z siebie: – Uwielbiam wulgarność. Pociąga mnie zły gust. Jest o wiele bardziej podniecający niż ten rzekomo dobry gust. Dobry gust jest niczym więcej jak bezmyślnym sposobem patrzenia na rzeczy.

Helmut Newton w latach 60. jako pierwszy wymieszał dwa gatunki fotografii wcześniej odległe od siebie jak dzień od nocy. Fotografii burżuazyjnego blichtru – gwiazd, mody, reklamy – na zawsze zakaził wirusem seksu. To za sprawą Helmuta Newtona do oficjalnego obiegu kultury przeniknęło wyuzdanie i pożądanie wyparte z mieszczańskiego ABC dobrego wychowania. Z takiego pomieszania dnia i nocy powstała królująca dziś estetyka półmroku. Przed Newtonem był albo szyk, albo porno. On stworzył porno-szyk, lepkie połączenie przeciwieństw.

Jednak nie można dać się nabrać, kiedy Newton, nadworny fotograf wielojęzycznych wydań „Vogue’a”, mówi, że z czasopism najbardziej lubi „Związane Gospodynie Domowe”. On, naśladując obłe pisemka, skubał kajdankami najpiękniejsze modelki świata. Perfekcyjnie komponował plany. Ponieważ fotografował głównie w plenerach, bez użycia reflektorów, zawsze wyczekiwał najlepszego światła. Te niby-świętwa są w rzeczywistości dziełami wrażliwego artysty. Pamiętającego moment instynktownej kokieterii swojej niani.

ŻYCIE KABARETEM JEST

Helmucik, podglądając swą *Kinderfraulein*, miał – wedle autobiografii – trzy albo cztery lata. Czyli był rok 1923 albo 1924. Chłopiec nazywał się jeszcze Neustadter i był dzieckiem fabrykanckiej rodziny berlińskich Żydów. Neustadterowie produkowali artykuł pierwszej potrzeby – guziki – i ich dostatniemu bytowi nie zagrażał nawet szalejący kryzys. Rodzice Helmuta mogli korzystać, ile się dało, z dekadentkich uroków weimarskiego Berlina. Chłopiec zapamiętał zapach ciała matki i perfum Chanel No. 5, który otulał go, kiedy co wieczór pochylała się nad nim w wytwornej sukni z odsłoniętymi ramionami i całowała przed wyjściem w miasto.

Przyszły Helmut Newton, choć jeszcze bardzo niepełnoletni, też ulega rozpustnej atmosferze miasta. Jako sześciolatek zostaje



Modelka
i manekin
(Paryż 1976)

Uwielbiam wulgarność. Dobry gust jest bezmyślnym sposobem patrzenia na rzeczy

przylapany na studiowaniu pornograficznych pisemek. Gdy ma lat dziewięć, starszy brat oprowadza go po dzielnicy burdeli. Gdy ma lat 13, matka wzywa lekarza, żeby poradził coś na codzienne polucje rozbudzonego Helmucika. Lekarz, też bardzo zestrojony z atmosferą ówczesnego Berlina, zaleca inicjację seksualną. Co też następuje. O nowym doświadczeniu chłopiec rzeczowo rozmawia z matką. Ta radzi, by na razie ograniczył się do jednego stosunku na tydzień, bo więcej mogłoby go odciągnąć od nauki.

Ale Helmuta od nauki odciąga w tym czasie co innego – fotografia. Od chwili, gdy jako 12-latek kupił sobie aparat, bezustannie robi zdjęcia. Liberalna matka popiera pasję, ojciec załamuje ręce: – Skończysz z dziewczynami w rynsztoku! – przestrzega. Bo synalek fotografuje głównie dziewczęta. Autobiografia, którą przeźorny Helmut Newton zdążył wydać kilka miesięcy przed śmiercią, pełna jest młodzieńczej, niefrasobliwej jurności. Nawet wtedy, kiedy dekadentki Berlin powoli zamienia się w Berlin hitlerowski. U Newtona wszystko kręci się wokół panien. Rodzina, całkowicie indyferentna w sprawach politycznych, ucieka w ostatniej chwili – w 1938 roku.

Rodzice płyną do Ameryki Południowej. 18-letni Helmut – w przeciwną stronę, do Singapuru. Nigdy więcej nie spotka ani ojca, ani matki pachnącej Chanel No. 5.

PEREGRYNACJE ŻIGOLAKA

Późniejsze losy Helmuta, który z Neustadtera stanie się Newtonem, przypominają przygody Szwejka. Być może to sam fotograf stara się ubrać je w taki komediowy kostium. Ale nawet jeśli to manipulacja, to ujmująca. W Singapurze 18-letni fotograf najmuje się jako fotoreporter do gazety codziennej. Zaraz go wywalają. Zostaje portrecistą utrzymankiem pewnej bogatej wdowy. W autobiografii z rozrzwinięciem wspomina bycie żigolakiem. Ale wybucha wojna, jako obywatel niemiecki zostaje deportowany do Australii. Trafia do obozu internowania, potem do australijskiej armii. Ale przede wszystkim wciąż trafia do łóżek spragnionych seksu kobiet.

A fotografowanie? Po demobilizacji zakłada w Melbourne zakład fotograficzny – chrzty, śluby, takie tam. Aż spotyka swą przyszłą żonę June. – Ona nigdy nie była specjalnie ponętna. Nie w moim typie. Ale z takimi najlepiej układa się życie – przyznał. June nie pozostawała dłużna. Kpiła z jego wizerunku demona wyuzdanych żądz. Nietrudno uwierzyć jej słowom,



Tancerka słynnego
baletu Piny Bausch
w paszczy
gumowego
aligatora,
Wuppertal
(1983 rok)

Na sąsiedniej stronie: Zdjęcie reklamowe dla firmy Wolford (lata 80.)

W życiu prywatnym
Newton skandalista był
potulnym pantoflarzem

że w domu Helmut jest potulnym panto-
flarzem. Z żadnego z autoportretów New-
tona nie patrzy na nas samiec rębajło. Ra-
czej erotoman gawędziarz.

Może to i lepiej. Gdyby własnej wyobraźni folgował w sypialni, miałby z tego chwilowe zaspokojenie i niewiele więcej. Uprawiając fotograficzne gawędziarstwo erotyczne, sięgnął wyżyn sztuki.

Ale nim to się stało, Newtonowie tułali się po świecie. Australia nie była najlepszym miejscem do eksperymentowania. Helmut Newton szybko osiągnął tu wszystko, co było do zdobycia. W 1957 roku dotarł do Londynu, cztery lata później stanął na paryskim bruku. Od razu przygarnął go „Vogue”.

WIELKIE AKTY

Obecność mężczyzn na zdjęciach Newtona można całkowicie pominąć. Owszem, portretował wpływowych facetów, na przykład Gerharda Schrödera. To świetne zdjęcia, ale dla oceny dorobku fotografa zupełnie nieistotne. Newton to kobiety. Przede wszystkim nagie. W mniejszym lub większym stopniu. I choć nagość zwykle kojarzy się z uległością i bezbronnością, nagle modelki Newtona są władczce. Zinne i wyniosłe.

Na pierwszych stronach autobiografii fotograf pisze o zgrabnych i długich nogach swej matki. Jego modelki zgodnie z popularnym określeniem mają nogi do samej szyi. Także dlatego, że często fotografuje je z żabiej perspektywy. Dzięki temu nogi są dłuższe, a ich właścicielki jeszcze bardziej dominujące.

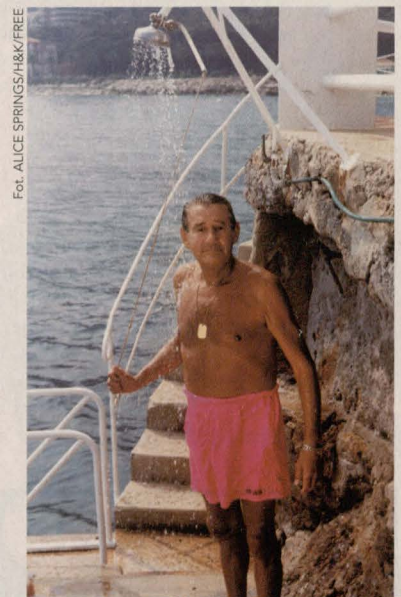
Idąc dalej tropem autobiograficznym, można podejrzewać, że Helmucik musiał mieć wyjątkowo niskie łóżeczko i poza kobiecymi nogami niewiele w pierwszych latach swego życia oglądał. Kobieca stopa wsparta na wysokim obcasie to największy fetysz Newtona. Nikt przed nim nie wpadł na pomysł, że można stopę sfotografować tak samo jak całą modelkę, a pantofel jak z zdobiącą ją suknię. Newton dosłownie leżał z aparatem u kobiecych stóp.

Ale Newton na tym nie kończy. Jego zdjęcia pozwalają na namysł głębszy, niż tego wymaga kontemplowanie kobiecej pięty. Postacie nagich, wyprężonych kobiet budzą uzasadnione podejrzenia, że ktoś – mężczyzna – mógłby się nimi posłużyć do własnych mrocznych sprawek. To nie kobiety, tylko seksualne demony zrodzone w męskiej głowie. Feministki nie przepadają za taką fotografią.

Ale kiedy mamy tylko stopę, sztuczność całego modowo-fotograficznego blichtru wylazi na wierzch i ośmiesza tych, którzy to wszystko brali na poważnie. Tymczasem to jest zabawa. Nie chodzi o prawdziwe kobiety, o prawdziwe pięty, o prawdziwy seks. A tym bardziej o jakieś ubrania czy buty.

Zdjęcia Helmuta Newtona są jak pocztówki z krainy czarów. Choć wszystko na nich jest prawdziwe, to przecież jest to wyłącznie fantazja fotografa. Gawęda erotomana. I o czym on teraz będzie gawędził tam, na łonie Abrahama?!

MARCEL ANDINO VELEZ



**Obok: Helmut
Newton
przed
własnym
domem
w Monte
Carlo
(lata 90.)**



Niżej:
Rozbity
cadillac
Newtona
na podjeździe
ulubionego
hotelu gwiazd
- Château
Marmont
w Hollywood



Kochany „P”!

W domu smutek i żaloba, bo w Twoim numerze 04/3057 brak naszej ukochanej krzyżówki z cudownie przewrotnymi hasłami. Tak się nie postępuje bez uprzedzenia. Nad niektórymi hasłami myśleliśmy z mężem całe noce. I co teraz zrobimy z naszymi nocami, bo jesteśmy małżeństwem z 30-letnim stażem?

ZAWIEDZENI BORYSŁAWSKY
Z WROCŁAWIA

Jestem niezwykle zdegustowana brakiem mojej ulubionej krzyżówki w ostatnim wydaniu „P”. W każdy czwartek cała moja rodzina od wielu lat pasjonuje się rozwiązywaniem krzyżówki, jedynej w swoim rodzaju. Czuję się oszukana. „P” bez krzyżówki jest jak Renata Beger bez kurwików. Pozdrawiam

B. KRZYWANIA
M. KRZYWANIA
A. BADZIONG
E. ŁOBACZ

Witam serdecznie. Kupiłam dziś „P” i ze zdziwieniem stwierdziłam, że nie ma tam mojej ukochanej krzyżówki! To tragedia! Nie wynagrodzą mi jej nawet rewelacyjne rysunki pana Raczkowskiego ani świetny tekst o Pilchu...

Mam pytanie – czy to tylko jednorazowe

zapomnienie, czy też już więcej jej nie zobaczę? Bardzo proszę o odpowiedź.

CZYTELNICZKA

Świat się kończy! Już nie ma na nim nic stałego. Gdzie jest krzyżówka? Jeśli się nie mieści, to może zrezygnować ze zdjęcia pana Najsztuba na stronie 26.?

MAGDA

Protestuję przeciwko pozbawieniu mnie należnej mi od pół wieku krzyżówki. Jolka mi jej nie zastąpi. Czy zabrakło pomysłów, czy też ten kawałek strony trzeba sprzedać na reklamę? Z bólem muszę zacząć traktować „P” jak dwutygodnik. Po 59 latach nie zmienia się nawet żony.

CZYTELE

Bardzo, ale to bardzo się rozczarowałam, biorąc do ręki „P” nr 03/3056. Zabrakło w nim jolki, mojej ukochanej

krzyżówki. Od czytania hasel jolki rozpoczynałam czytanie „P”. Następnie rozwiązywałam jolkę na przemian z krzyżówką zwykłą. W ostatniej kolejności czytałam wywiady i pozostałe artykuły. Kupowałam „P” w pierwszej kolejności dla bardzo inteligentnych krzyżówek (tylko te krzyżówki rozwiązuję, bo są godne uwagi). Czekałam na czwartek z niecierpliwością. Będę musiała wytrzymać dwa tygodnie. Co dwa tygodnie będę kupowała „P”. Zaraziłam rozwiązywaniem krzyżówek kilkanaście osób (jestem nauczycielką i poleciłam moim uczniom inteligentne czasopismo). Bardzo, bardzo proszę o przywrócenie OBU krzyżówek co tydzień. Bardzo byłam nieszcześliwa, gdy pojawiały się podwójne numery. Teraz odstęp dwutygodniowe psychicznie mnie zrujnują. Z poważaniem darmowy promotor „P”

MARIA PIETRASIĆ

SZANOWNI PAŃSTWO, bijemy się w piersi – liczba telefonów oraz e-maili z protestami przeciwko ograniczeniu „przekrojowych” rozgrywek przekonała nas, że popełnił błąd. Szybko go jednak naprawiamy i od numeru szóstego powracamy do drukowania co tydzień i jolki, i krzyżówki. Przyjemnego łamania głów!

MARCIN PIESZCZYK

Czekamy na Państwa listy.

Nasz e-mail: redakcja@przekroj.pl Nasz adres: ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa.



© MAREK RACZKOWSKI

PRZE
KROJ

Założył
w roku 1945
w Krakowie
Redaktor
MARIAN
EILE

ADRES REDAKCJI:
UL. WIEJSKA 12A, V P., 00-490 WARSZAWA.
TEL. (0-PREFIKS-22) 584 25 25,
FAXS (0-PREFIKS-22) 584 25 21
WWW.PRZEKROJ.PL

E-MAIL:
redakcja@przekroj.pl
REDAKTOR NACZELNY – WYDAWCA:
Piotr Najsztub

PIERWSZY ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
Agnieszka Dajbor

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
Jacek Kowalczyk

DYREKTORZY ARTYSTYCZNI:
Elżbieta i Bogdan Zochowscy

SEKRETARZE REDAKCJI:
Magda Gędziorowska
Maria Świątek (zastępca)

ASYSTENTKA:
Anna Romotowska

KULTURA:
Bartek Chaciński (szef), Marcel Andino Velez,
Paweł Dunin-Wąsowicz, Tadeusz Nyczek,
Małgorzata Sadowska, Andrzej Saramonowicz,
Marcin Sendek, Justyna Sobolewska

KRAJ:
Magda Papuzińska (szef), Joanna Gorzeńska,
Dorota Sajnóg, Max Suski, Paweł Wieczorek,
Michał Wójcik

ŚWIAT:
Wawrzyniec Smoczyński (szef), Filip Łobodziński,
Andrzej Łomanowski, Jakub Mielnik, Marek Rybaczynski

NAUKA:
Olga Woźniak (szef), Piotr Stanisławski

ROZRYWKA:
Marcin Pieszczyk

PRACOWNIA GRAFICZNA:
Piotr Gidlewski (szef), Maria Klich, Patrycja Kühn,
Małgorzata Łaska, Agata Loth,
Maciej Morus, Krzysztof Zakrzewski

PAN OD RYSUNKÓW:
Jacek Ziemiński

FOTODYDZIAŁ:
Tomasz Kniolik (szef), Marcin Kapica, Marcin Kędryś,
Bogdan Kręzel (fotograf), Olga Piłśniak, Marek Szczepaniak

KOREKTA:
Lucyna Dyczkowska (szef), Tatiana Hardej,
Dariusz Janiszewski

ARCHIWUM:
Wanda Lacrampe (szef), Dominika Bok

PRODUKCJA:
Agencja Poligraf – Maciej Kowalski

PRZYGOTOWALNIA:
Edipresse Polska – Zbigniew Szymański (dyrektor)

REDAKTOR TECHNICZNY:
Alan Jawor

SEKRETARIAT: Iwona Chmielewska

EDIPRESSE
POLSKA

WYDAWCA:
EDIPRESSE POLSKA S.A.,
UL. WIEJSKA 12A, 00-480 WARSZAWA,
TEL. (0-PREFIKS-22) 584 22 00,
FAXS (0-PREFIKS-22) 584 22 01

PREZES WYDAWNICTWA:
Zbigniew Napierała

WICEPREZES-DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY:
Ewa Redel

DYREKTOR FINANSÓW:
Paweł Satkowski

DYREKTOR MARKETINGU:
Izabela Bochenek

DYREKTOR DS. ROZWOJU
I KONTAKTÓW MIĘDZYNARODOWYCH:
Agnieszka Smit

PUBLIC RELATIONS:
Marcin Fedisz

DYREKTOR TYGODNIKA „PRZEKROJ”:
Iwona Zabielska-Stadnik

DZIAŁ DYSTRYBUCJI:
Grzegorz Barej – dyrektor

DZIAŁ PROMOCJI:
Adriana Olczak, Magda Oleńska
KONKURSY@PRZEKROJ.PL

BIURO REKLAMY:
Aleksandra Trojan – dyrektor,
Anna Orłowska – zastępca dyrektora,
Artur Dudek, Jagna Federowicz,
Maciej Grelak, Anna Masłowska
ul. Wiejska 12a, II p., 00-490 Warszawa,
tel. (0-prefiks-22) 5842-2952, 297-311-584, -534,
faks (0-prefiks-22) 584 22 98

DRUK:
WINKOWSKI SP. Z O.O. – RADZYMIN
PAPIER: OKŁADKA – NOVAPRESS 90 G,
PRODUKENT – STORA ENSO
ŚRODEK – GALERIE ONE 65 G,
PRODUKENT – M-REAL

PRENUMERATA: U WYDAWCY
Izabela Dębska, Agnieszka Bogdańska
TEL. (0-PREFIKS-22) 584 22 29 LUB 584 22 30
FAXS (0-PREFIKS-22) 584 22 32

PRENUMERATA: PRZEKROJ
PRENUMERATA.KONKURSY@EDIPRESSE.PL

PRZEZ POCZTĘ
PRZEDPŁATY PRZYJMUJĄ URZĘDY POCZTOWE
NA TERENIE CAŁEGO KRAJU

PRZEZ RUCH S.A.
INFORMACJA TEL. (0-PREFIKS-22) 532 87 31,
FAXS (0-PREFIKS-22) 532 87 32

NA CAŁYM ŚWIECIE W INTERNECIE
WWW.EXPORTIM.COM
FAXS/TEL. +46-8-6639963

ARTYKUŁÓW NIEZAMÓWIONYCH NIE ZWRACAMY.
REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO ZMIAN
I SKRÓTÓW W NADESŁANYCH ARTYKUŁACH I LISTACH.



„Przekrój” wydaje
polecenia
kulturalne

WYGRAJĄ
CZARNI

W ubiegłym roku
nagrody Grammy
przyniosły triumf
Nory Jones

– osiem statuetek dla debiutantki! Dwa lata temu, gdy Grammy dostała niepozorna płyta z muzyką do filmu „Bracie, gdzie jesteś?”, wybuchła moda na zapomniane nagrania bluegrass i mountain music z lat 30. Cztery lata temu potwierdził się tryumfalny powrót Santany, który za „Supernatural” dostał aż dziewięć statuetek Grammy.

W tym tygodniu 46. edycja nagród amerykańskiego przemysłu muzycznego, najbardziej prestiżowych trofeów w dziedzinie muzycznej rozrywki na całym świecie. Wszystko wskazuje na to, że udowodnią one prymat czarnej muzyki na rynku pop. Soulowa wokalistka Beyoncé Knowles, raper Jay-Z i hip-hopowy duet Outkast mają największą szansę – nominacji. Outkast przoduje w plebiscytach krytyków na najlepszy album ubiegłego roku, a zarazem ich płyta „Speakerboxxx/The Love Below” sprzedaje się świetnie siedem milionów w samej Ameryce). Dlatego oni mają daniem ekspertów „Billboardu” największe szanse na kilka statuetek. Za to Beyoncé przebojem „Crazy In Love” jest faworytką w kategorii piosenki roku. Ceremonia wręczenia Grammy 8 lutego w Los Angeles. (BACH)

Odrzucony
Milo Kurtis

GRUPA TRZYMAJĄCA JAZZ

Komisja
jazzowej
sekcji
Fryderyków
psuje
opinię całej
nagrodzie.
Działalność
tych
samych
ludzi może
być
szkodliwa
dla całej
polskiej
sceny
jazzowej

To nie jest jazz! – dowiedział się Waldemar Matkowski, wydawca płyty Krzysztofa Dudy „Gregorian Chant – Ite”, zgłaszając ją do tegorocznych Fryderyków.

– To nie jest jazz – brzmiał też wyrok w sprawie albumu „Smyrne” zespołu DrumFreaks prowadzonego przez mieszkającego od lat w Polsce Greka Dimitrios „Milo” Kurtisa.

Wyroki wydała komisja Fryderyków: Jan Borkowski, Paweł Brodowski, Andrzej Jagodziński, Jacek Kochan, Włodzimierz Nahorny, Olo Wąlicki i Jan „Ptaszyn” Wróblewski. Ton nadają jej seniorzy jazzowego ruchu w Polsce utożsamiani ze środowiskiem Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego. Od lat antagonistycznie nastawieni do nowych trendów w jazzie i niezwiązanych z nimi kręgów. Forsują swoją definicję jazzu, a jednocześnie wzbudzają rosnącą niechęć środowiska.

Ratować, nie ratować

Fryderyki przyznaje Akademia Fonograficzna obejmująca trzy sekcje: roz-

rytkową, klasyczną i jazzową. Z każdej wyłaniane są wąskie grupy odpowiedzialne za ustalanie listy nominowanych. Czy na wstępnym etapie odbywa się jakaś selekcja?

– Co zostanie zgłoszone, jest przyjęte – mówi Maciej Chmiel z komisji muzyki rozrywkowej. – Nasza komisja musi co najwyżej podjąć decyzję, gdy zgłaszający sugeruje podkategorię dla nas nieoczywistą. Na przykład zespół Raz, Dwa, Trzy miał ochotę wystartować w konkurencji muzyki alternatywnej, a część komisji skłaniała się ku przeniesieniu ich do poezji śpiewanej.

Identycznie postępuje komisja muzyki poważnej: – Sprawdzamy warunek polskości danego fonogramu, a także to, czy zasugerowana przez zgłaszającego kategoria jest merytorycznie uzasadniona – tłumaczy Kacper Mikłaszewski, redaktor miesięcznika „Ruch Muzyczny”. – Wszelkie wątpliwości przedstawiamy zgłaszającemu i wspólnie dyskutujemy, gdzie przesunąć fonogram, by nie przepadł w cieniu kandydatów bardziej oczywistych.

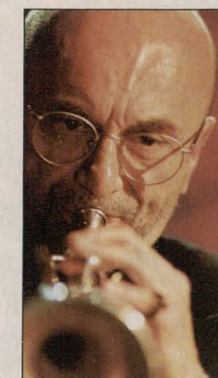
– Ktoś opowiada o zgłoszonych płytach, w momentach dyskusyjnych ewentualnie się ją odtwarza – mówi o mechanizmie weryfikacji Włodzimierz Nahorny z sekcji jazzowej. – Już po kilku minutach rzuca się w ucho, czy to jazz. Jeśli nie ma tam jazzmanów lub ani grama improwizacji, odrzucamy i proponujemy Akademii, żeby dać to gdzieś indziej.

Ani Duda, ani DrumFreaks takiej propozycji nie dostali. Dwie płyty zgłoszone w terminie i spełniające biurokratyczne wymogi regulaminowe odpadły bezpowrotnie. Członkowie pozostałych komisji mówią, że w ich selekcjach do czegoś takiego by nie doszło.

Jarrett zagrożony?

Komisja jazzowa zachowała się jak w latach minionych, gdy urzędnicy decydowali, kto jest muzykiem. Strażnicy sztuki w czasach PRL zapewniali czystość kryteriów. Przez ich wąskie siła nie przeszli ani Jimi Hendrix (nie czytał nut), ani Ahmed Abdul-Malik (prekursor etnicznego jazzu, czyli

Jan „Ptaszyn”
Wróblewski (z lewej)
u boku Krzysztofa
Dudy (drugi z prawej)
wtedy cały jazz był
jeszcze jedną paczką

Jan „Ptaszyn”
Wróblewski
wie, co to jazzTOMASZ
STAŃKO,
kilkukrotny
laureat
Fryderyków:

– Młody muzyk, zwłaszcza niszowy, powinien być przygotowany na to, że wszędzie są kliki, że niesprawiedliwy układ kopnie go i wykluczy. Nie promocja go zbuduje, ale wartość jego twórczości, tylko wartość go utwardza i nobilituje. Ale gdy słyszę, kto zasiada w komisji sekcji jazzowej... Niech pan napisze, że serdecznie się roześmiałem. Ta konkretna sytuacja napawa mnie oburzeniem! Takie gremium to ludzie wyjątkowo tradycyjni, wszelkie nowe trendy nie mają u nich szans. Nagrody, o których oni decydują, nie mogą mieć rangi.

czytamy o DrumFreaks: „Motywy rytmiczne, stanowiące trzon tej muzyki, zdecydowanie wpasowują ją w nurt etno-jazzu”. Ale jest i wzmianka o płycie – jako nowości jazzowej – w „Jazz Forum”. A redaktorem tego pisma jest Paweł Brodowski (członek komisji).

– Nasze pismo spogląda na muzykę szerzej, komisja natomiast musi podjąć konkretne decyzje – wyjaśnia Brodowski. – Nie dopatrzyliśmy się tam jazzu, co nie jest opinią wartościującą, tylko kwalifikacyjną.

Włodzimierz Nahorny przypuszcza: – Odrzuceni artyści postąpili koniunkturalnie. Bali się, że przepadną w tłumie płyt rozrywkowych, więc skierowali się do jazzu, bo tu mniejsza konkurencja. My mamy zapewne trochę staroświeckie poglądy na temat tego, co jest jazzem, ale dotychczas te kryteria się sprawdzają.

Jaka ranga?

– W moim środowisku, jeśli ktoś zgłosi tam swoje nagrania, to się

z nim po prostu nie gada – mówi Miłkołaj Trzaska, jeden z jazzowych „niezależnych”. Część wykonawców swoich płyt do Fryderyków nie zgłasza programowo. Jazzowa sekcja Fryderyków to problem – nie tylko ze względu na fakt tych dwóch odrzuceń. Wydaje się psuć opinię całej nagrodzie, na którą po 10 latach istnienia zaczęto patrzeć jako na prestiżowy miernik wartości muzycznej.

Zdaniem szefa warszawsko-kra-kowskiego Jazz Radia, jedynej takiej rozgłośni w Polsce, część środowiska PSJ próbowała storpedować istnienie ich rozgłośni, otwartej i wychodzącej często poza muzykę jazzową. – Ci ludzie wyciągali rękę po nasze radio – mówi Grzegorz Sorbian, redaktor naczelny radia. – Sprzymierzał się z firmą Ad.Point, właścicielem Radia 94, żeby zawłaszczyć naszą częstotliwość. To skostniały układ „o charakterze partyjnym”, a nie środowisko artystyczne. Nie chcą widzieć w jazzie muzyki rozwojowej, bo to przeczy ich jedynie słusznej koncepcji.

O staroświeckim lobby w polskim jazzie niechętnie wyraża się też Mariusz Adamiak, szef festiwalu „Warsaw Summer Jazz Days”. – To „Jazz Forum” obecne w wielu krajach Europy – mówi. – Tyle że u nas przybrało rozmiary karykaturalne. Ci panowie opanowali warsztaty jazzowe, festiwale dla młodych i sami rozdzielają fanty. Gdy ponad dekadę temu przejąłem klub Akwarium, to wzywali mnie na dywanik i krzyczeli, jakim prawem „Teleexpress” zapowiada jakiegoś nasz koncert, skoro tylko oni sami mogą decydować, co się pokazuje. Tylko ci, którzy z nimi naprawdę wygrali, jak Tomek Stańko czy Krzysztof Zawadzki, mogą być ponad to bagienko. Największą tragedią dla ludzi kochających muzykę jest dowiedzieć się, że nasi wielcy artyści są też mali, podli, a często wręcz obrzydliwi.

Wewnątrz Akademii Fonograficznej pokutuje pogląd, że komisja sekcji jazzowej psuje opinię nagrodzie. – Ci panowie żyją cały czas w PRL – stwierdza z gorącoza prominentny członek AF. – To jest nie do przyjęcia. Dlatego uważam, że tę instytucję należy albo gruntownie przebudować, albo rozprziżyć – tyle że nie ma po temu prawnych środków.

FILIP ŁOBODZIŃSKI

DRUGA TURA GŁOSOWANIA NA FRYDERYKI
ROZPOCZĘŁA SIĘ 4 LUTEGO. WRĘCZENIE
NAGRÓD 9 MARCA W PALACU KULTURY I NAUKI

30 LAT REWOLUCJI



Kronos Quartet

Fot. RETNA/FFM

CHLEBA i NORY

Fot. POMATON/EMI

W Polsce zagra wyjątkowy kwartet smyczkowy, w którego repertuarze muzyka współczesna sąsiaduje z klezmerską, a nawet z rockiem i jazzem

Zdziwiłby się Joseph Haydn – uważany za „ojca kwartetu smyczkowego” (sam napisał 83 utwory na kwartet) – gdyby usłyszał, co dziś może wyczyniać dwójce skrzypiec, altówka i wiolonczela. Amerykański Kronos Quartet to grupa, która słynie z eklektycznych połączeń brzmienia smyczków z elektroniką, muzyką świata, jazzem, nawet rockiem. Kwartet z Seattle zrewolucjonizował postrzeganie muzyki nowej, łącząc w swoich programach Crumbę z Piazzollą, Hendriksa z Reichem, tradycyjną muzykę meksykańską z Góreckim. Trudno sobie wyobrazić bez nich świat muzyki współczesnej – w ciągu 30-letniej kariery Kwartetu na jego zamówienie powstało aż 450 utworów.

8 lutego w Filharmonii Narodowej wykonają typowy dla siebie program, złożony między innymi z utworów Schnittkego, Reicha, Gordona i Riley’a („One Earth, One People, One Love” – fragment kompozycji zamówionej przez NASA – kiedyś zamówienia składał Kościół bądź dwór, dziś centrum badań kosmicznych!). Zagrają też „Flugufrelsarinn” zespołu Sigur Rós. Na ostatnim koncercie w Polsce – w ramach Festiwalu Dialogu Czterech Kultur w Łodzi w 2002 roku – Amerykanie wykonali największy ich hit „Svefn-G-Englar”. Jeszcze nie tak dawno sztandarowym utworem Kronosów był „Purple Haze” Hendriksa, dzisiaj stają się nimi kompozycje Islandczyków, którzy piszą również dla nich specjalny utwór.

JACEK HAWRYLUK



NORAH JONES
„FEELS LIKE HOME”,
Blue Note

.....
Wielka sensacja 2002 roku nie obniża poprzeczki. Czy to fenomen Norah Jones, czy nasz?

Stajemy wobec fenomenu, do którego należy przykładać fenomenalne miary. Za niezwyklej debiutem przychodzi drugie uderzenie. Płyta „Come Away with Me” była jak śnieżna kula – w 2003 roku sprzedała się niemal dwukrotnie lepiej niż w 2002 (w samych Stanach sprzedano już dziewięć milionów egzemplarzy!). Świat pokochał dziewczynę z Teksasu nie za jej urodę, ale za talent. To jeden z najwspanialszych debiutów ostatnich lat. Jak żyć z takim brzmieniem? Jak sprostać szybko zrodzonej sławie?

Oczekiwanie zaostreza apetyt. Jak się wydaje, Norah spełniła je z nadatkiem. Płyta nagrała ponownie pod okiem doświadczonego producenta Arifa Mardina (pracował z Arethą Franklin i Robertą Flack) nie przynosi rewolucji, za to subtelnie przyspiesza puls, co zwiastuje już lekko skoczne tempo otwierającego przeboju „Sunrise”. 13 kompozycji układa się w intymnie sporządzony łańcuszek opowieści jak poprzednio przesyconych całym leksykonem amerykańskich stylów muzycznych. „The Prettiest Thing” mogłoby ozdobić album Leonarda Cohena, „In the Morning” nosi piętno Joni Mitchell, „Creepin’ in” (z występem Dolly Parton) to czysty bluegrass, „Don’t Miss

You At All” przywołuje temat Duke’a Ellingtona, „Be Here to Love Me” przenosi słuchacza w świat country. „What Am I to You?” nie powstydziliby się Springsteen, „The Long Way Home” pochodzi z katalogu Toma Waitsa, a nad wszystkim unosi się duch ojca całej amerykańskiej muzyki, czyli bluesa.

I choć wyobrażanie sobie subtelnej, wykształconej Norah Jones w jednym rzędzie ze śpiewakami z pół bawelnianych czy nawet z Mahalią Jackson to zadanie karkołomne, trzeba przyznać, że dziewczyna bluesa czuje. Jak podkreśla producent, kiedy Norah śpiewa, nie trzeba wprowadzać żadnej korekcji, bo ton bierze czysto. Ciepły, bliski głos i aksamitna interpretacja są tak urzekające, że Norah stała się pieszczoszką krytyki i prostych zjadaczy muzyki.

Norah jest nieskazitelna, a zarazem przyjazna, wyrafinowana, a przy tym jak z sąsiedztwa. Zawdzięcza to także świadomie konstruowanemu repertuarowi, który ma pasować do każdego domowego zacisza. Jej sukces to oczywistość. Norah jest jak świeży chleb, jak płonący kominek. A któż nie czuje się dobrze, gdy chleb pachnie, a ogień syczy sykiem smolnych szczap?

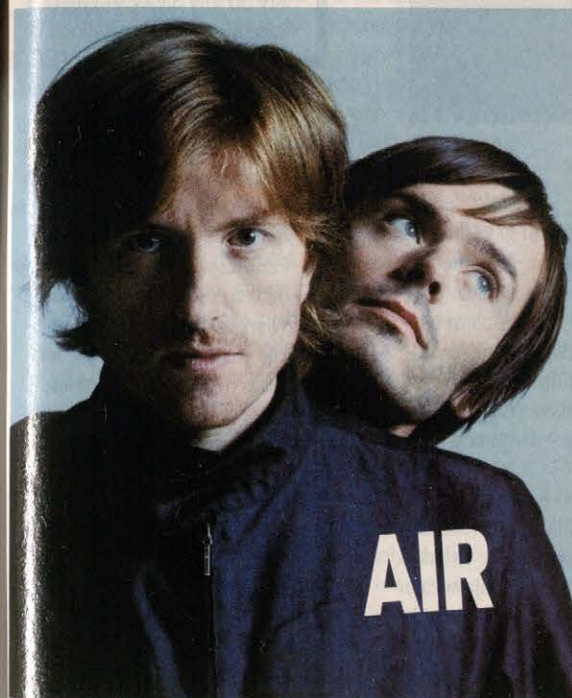
FILIP ŁOBODZIŃSKI

.....

HURAGAN? ZEFIREK!

„Ten album jest jak ukojenie po burzy” – deklarują muzycy Air, gwiazdy nowej muzyki francuskiej. Czy uda im się powtórzyć sukces sprzed kilku lat?

Air wyniosło francuską muzykę na wyższy. Gdy jednak fala zainteresowania zjawiskiem nazwanym „French touch” opadła, duet próbuje odnaleźć swoje miejsce w prostych, po bożemu skrojonych piosenkach, bez specjalnych produkcyjnych sztuczek: miłe zwrotki, wpadające w ucho refreny. Nie mam nic przeciwko temu, by tak właśnie brzmiała mainstreamowa muzyka pop, ale po Air oczekiwałem huraganu. A musnął mnie zefirek. Tylko momentami album ociera się o wielkość – w singlowym „Cherry Blossom Girl” (na flecie Magic Malik), w „Alpha Beta Gaga” napisanym dla Madonny (odrzuconym jednak przez piosenkarkę), w finałowym „Alone in Kyoto” (skomponowanym do ostatniego filmu



Fot. POMATON/EMI

Sofii Coppoli „Między słowami”) czy w „Run” podrzuconym grupie przez producenta Nigela Godricha znanego z nagrań Radiohead. Rękę Godricha świetnie zresztą słychać na tym albumie.

Air tym razem nie posilkuje się śpiewającymi gwiazdami, sami nagrali partie wokalne. Smyczki zaaranżował Michel Colombier (ten od Serge’a Gainsbourga i Madonny). Wszystko prosto, oszczędnie, bez patosu. Płyta ma być spojrzeniem w przeszłość, w stronę „Moon Safari” i ścieżki dźwiękowej do filmu „Virgin Suicides”. „Moon Safari” sprzedało się w trzech milionach egzemplarzy. Dziś Air chciałby pewnie powtórzyć ten sukces, będzie jednak trudno.

JACEK HAWRYLUK

ŻONGLERKA SZYKIEM

.....

Już dziś możemy przypomnieć sobie wideoklipy faworytów tegorocznych nagród Grammy

Nie kult pieniądza i broni, nie pocztówki z ekskluzywnych burdeli, jak to bywa w rapowych teledyskach. Raczej cyrkowa żonglerka nieograniczoną wyobraźnią i poczuciem humoru. Ta kolekcja wybranych wideoklipów grupy Outkast jest najlepszym dowodem na to, że mamy do czynienia z muzykami patrzącymi na otaczający ich świat okiem komiksowych rysowników. Zawsze z jajem i klasą godną największych gwiazd amerykańskiego hip-hopu. Zawsze najlepiej ubrani, z rozmachem i ferią pomysłów, od których nietrudno o zawrót głowy. O tym, że nie ma dziś w hip-hopowym światku grupy bardziej fantazyjnej i oryginalnej niż oni, nie trzeba nikogo przekonywać – sukces komercyjny i artystyczny, jaki odniósł ich ostatni album „Speakerboxxx/The Love Below”, i sześć nominacji do Grammy mówią same za siebie.

BARTEK WINCZEWSKI



OUTKAST
„THE VIDEOS”
(DVD),
Arista/BMG



Fot. MICHAŁ RUTKOWSKI/ARCHIWUM ZESPÓŁU

KULT-BIS DLA POLSKI B

.....

Postpunkowy underground w Polsce nie wymarł, jednak w ostatnim roku było regułą, że jeśli jakaś kapela miała dobre piosenki, to płyta brzmiała koszmarnie (Leniwiec), albo odwrotnie (Akurat). Alians, działający od 12 lat zespół z Piły, okazał się szlachetnym wyjątkiem. Udało mu się pogodzić mówienie o rzeczach ważnych z tanecznymi rytmami ska i reggae. Od dawna myślę o nim jako swoistym Kulcie dla ubogich – wspólne jest zamilowanie do rozbudowanych partii sekcji dętej, wspólne też są kaznodziejskie zapędy wokalistów. O ile jednak Kazik Staszewski prezentuje dziś światopogląd sytego liberała ze stolicy, to w tekstach prowincjusza Rafała Kasprzaka więcej jest frustracji wywołanych biedą, obłudą polityków i żenującą ofertą rozrywki w mediach.

PAWEŁ DUNIN-WĄSOWICZ



ALIANS „PEŁNIA”,
Pasażer

DJ David Rodigan,
6.02 Warszawa, CDQ, 7.02 kół, Cube



BIAŁY KRÓL REGGAE

Jeśli w Londynie wiezie was taksówką Brytyjczyk rodem z Jamajki, a rozmowa zejdzie na muzykę reggae, to wspominając nazwisko Davida Rodigana, zawsze możecie liczyć na uśmiech kierowcy. „To nasz człowiek” – odpowie. Zadziwiające, że w zdominowanym przez czarnych muzyków świecie reggae biały Rodigan jest autorytetem jak nikt inny. To postać słynna nie tylko w Londynie, gdzie od ponad 25 lat stale prowadzi radiowe programy z muzyką reggae. Także na Jamajce i w Nowym Jorku – największych na świecie skupiskach Jamajczyków i miejscach, gdzie powstaje najwięcej muzyki inspirowanej kulturą tej karaibskiej wyspy. Teraz po raz pierwszy przyjeżdża do Polski. „Ludzie spotykają się, bo łączy ich fascynacja muzyką, a to, czy jesteś starszy, czy młodszy, nie ma żadnego znaczenia” – mówi 53-letni dziś Rodigan.

(PK, BBC)

KRONOS
QUARTET,
8.02 WARSZAWA,
FILHARMONIA
NARODOWA



Warszawa u Piątka staje się areną zbrodni

Fot. MIKOŁAJ DŁUGOŚĆ

ABNEGATKA I BAŁAGANIARA

•••••

Z korespondencji z kochanką wyłania się zupełnie nowa twarz Virginii



Virginia Woolf

Vita Sackville-West

Listy do Vity Sackville-West pokazują zupełnie inną Woolf niż postać znana choćby z „Godzin” Cunninghama. Widzimy Virginie wesołą, złośliwą, rozplotkowaną, kompletnie niepraktyczną i egzaltowaną. Bałaganiarę i abnegatkę, co wśród artystów skupionych w grupie Bloomsbury było uważane za normę. Panowała swoboda obyczajowa, przede wszystkim jawna tolerancja dla związków homoseksualnych, o ile nie wchodziły one w parę z związkiem małżeńskim. Virginie i młodszą o 10 lat Vitę, także pisarkę, łączyło coś więcej niż przyjaźń. Ale nie afiszowały się ze swoim uczuciem, nawet w listach zaznacza się ono tylko poprzez aluzje do wspólnych nocy i czule przezwiska. Przy- mus konspiracji, inne kochanki swawolnej Vity i jej częste wyjazdy z mężem dyplomata zwiększały temperaturę tego związku. Pewnie dlatego przetrwał ponad 20 lat, aż do samobójczej śmierci Virginii. Sackville-West była jedyną osobą, którą tolerowała bezwzględnie. Woolf dala nawet literacki dowód miłości – unieśmiertelniła Vitę jako główną bohaterkę powieści „Orlando”.

MARTA MIŁOŻ



„MORWIN W RÓŻOWYM OKNIE. LISTY VIRGINII WOOLF DO VITY SACKVILLE-WEST. WYBÓR, PRZEKŁAD, OPRACOWANIE DANUTA PIETRZYŃSKA. Twój Styl, Warszawa 2003

PAWEŁ DUNIN-WĄSOWICZ



Fot. PIOTR GRZYBOWSKI/SUPER EXPRESS

OBYCZAJNY KUTZ

•••••
w powieściach o ludziach Kutz jest jak psychiatra, kumpel i brat – i w dodatku nie przeklina

W pierwszej chwili pomyślałem, że to wreszcie ta słynna powieść Kutza, której fragment drukował kiedyś krakowski „Na-Głos”. Ale nie – to portretowe eseje. Kutz ze swadą kręci na swojej papierowej taśmie pół fabularne, pół dokumentalne konterfekty przede wszystkim nieżyjących przyjaciół. Znakomite, odkrywcze opisanie Zbyszka Cybulskiego. Pokorny i natchniony portret Tadeusza Łomnickiego, którego uwielbiał i z którym darł koty, bo to był człowiek nielawty, a i w Kutzu śmigała krew śląskiego harnasia. Obok państwo Dygato-wie, Kalina (de domo Jędrusik) i Stanisław, z ich dziwnym, szalonym domem i równie dziwnym życiem.

W tych osobistych obrazkach ludzkich Kutz jest psychologiem, psychiatrą, kumplem, reżyserem, uczniem, bratem i świadkiem. Outsiderskie wałęsanie się po terenach zawodowo obcych plus temperament gawędziarza dały mu luz właściwy nadzwyczaj utalentowanym ochotnikom. Co charakterystyczne, w pisaniu Kutz nie używa swojego ulubionego języka powszechnie uchodzącego za nieobyczajny. Szacunek dla słowa pisanego każe mu się powstrzymywać, ale jak wiadomo z fizyki, żywioł zablokowany gwałtownie szuka ujścia w innych

formach. Czy ktoś pomyślał, ile trzeba się nagłówekować, żeby godnie zastąpić kilka prostych słów na „k”, „ch”, „p” i „d”? I Kutz wymyśla śliczne zdania, na przykład takie: „W puencie orzekam [mówił to do aktorów], że Łomnicki zachowuje się jak stary, pokurczony kartofel zapomniany w piwnicy na przednówku i nie należy przed nim trząść portkami, skoro nie jest w stanie wysłuchać krytyki reżysera i zrywa próbę”. Co Kutz powiedział wtedy naprawdę?

No i wszystko byłoby pięknie, gdyby nie obecność kilku innych tekstów. Portrety Wojciecha Korfańtego, Jerzego Ziętka czy... tak, tak, Edwarda Gierka to już nie to samo. Kutz oddaje swoim bohaterom sprawiedliwość, wychwala ich poświęcenie dla sprawy Śląska i nie ukrywa parszywej strony wpłątania się w polityczne dwuznaczności. Błyskotliwa gawęda zmienia się jednak w dziejowy wywód i sprawia wrażenie, że z kanapy w zaprzyjaźnionym domu przenieśliśmy się na zimne korytarze załudnione szlachetnymi intencjami i szemrnymi układami. Ja bym tam tych rzeczy ze sobą nie mieszał. Może jednak i autor, i wydawca doszli do wniosku, że wszystko to na tyle pomieszane jest w samym reżyserze-senatorze Kutzu, że jakaś racja w tej zlepcie jest.

TADEUSZ NYCZEK

NOBLISTA, KTÓRY CZMYCHNAŁ

•••••

Hesse wyrzucony ze szkoły, Hesse krytykujący społeczeństwo – takiego go jeszcze nie znaleźliśmy



Kto w młodości nie czytał Hessego?

Fot. INTERFOT/FORMA

Znane powiedzenie głosi, że kto w młodości nie był komunistą, ten na starość zostanie lajdakiem. Parafrazując je, powiedziałbym, że kto w młodości nie czytał Hessego, ten na starość zostanie robotem. Hesse nie był klasycznym intelektualistą pokroju Tomasa Manna ani awangardowym burzycielem tradycji. Mimo to akademicy przyznali mu Nagrodę Nobla, a kontrkultura uczyniła go swoim duchowym patronem. Timothy Leary nazwał jego „Wilka stepowego” wademekum psychodelicznych podróży, a wędrujący po Indiach backpackerzy do dziś taszczą ze sobą napisany przez Hessego poemat indyjski „Siddhartha”.

„Dzieciństwo Czarodzieja”, zbiór niepublikowanych dotychczas osobistych zapisków pisarza, jest autobiografią szczególną. Czytelnik znajdzie tam wszystko, co składa się na legendę Hessego: fascynację Orientem i mistyką, pochwałę wolności wewnętrznej. Ale Hesse pokazuje również mniej znane oblicze: krytyka społeczeństwa, prawie anarchista. Najciekawszy fragment jego autobiografii dotyczy konsekwencji samodzielności. Jak się okazuje, jego samego, zbyt niezależnego, wyrzucano z kolejnych szkół. Hesse pisze o manipulacji jednostką, o biurokracji i konsumenckim stylu życia. Jako autor powieści zazwyczaj unikał podobnych tematów. Dopiero tutaj odpowiada więc na pytanie, które mi, od-danemu czytelnikowi, długo chodziło po głowie: Jak autor „Siddhartha” radził sobie w świecie, którego nie znosił? Ano tak, że wydał bestseller i czmychnął na wieś.

WOJCIECH ZEMBATY



HERMANN HESSE „DZIECIŃSTWO CZARODZIEJA”, PRZEŁOŻYLI ŁADA JURASZ-DUDZIK I WOJCIECH DUDZIK, Siel, Warszawa 2003

Czy Tomasz Piątek jest uzależniony od zła? Tak wynika z jego najnowszej powieści

ZŁO TO NARKOTYK

Skaąd wzięło się w bagnach na styku warszawskich dzielnic Śłużewa, Wilanowa i Ursynowa dwadzieścia parę trupów? Gdyby Tomasz Piątek w swojej nowej powieści „Bagno” wyjaśnił to jednoznacznie, byłaby płaska niczym Ziemia przed Kopernikiem. Odpowiadając zagadkami na zagadki i zaskakując fantastycznymi rozwiązaniami, Piątek zajmując odwraca naszą uwagę od logiki zbrodni i kieruje ją ku istocie zła.

Najnowsza książka Tomasza Piątka nie przypomina ani debiutanckiej „Heroiny”, ani wydanej na jesieni powieści fantasy „Żmije i krety”. „Bagno” – zbudowane z jednej minipowieści i dwóch krótszych opowiadań – nawiązuje do „Kilku nocy poza domem”, jego drugiej książki. Tak samo jak tam jedyna polska metropolia staje się areną, na której medialne i reklamowe przedsięwzięcia zaczynają generować zbrodnie – najpierw w imię maksymalizacji zysku, potem samoistnie. Wydaje się jednak, że bardziej niż krytyka społeczno-ekonomiczna Piątka fascynuje zło jako takie. Podejrzewam, że to uzależnienie silniejsze od narkotykowego, z którym autor „Heroiny” miał przecież do czynienia: kocha je i nie jest to miłość egoisty. Uwielbia zło tak bardzo, że na każdym kroku pragnie podzielić się nim z potencjalnymi czytelnikami.

Bohaterowie Piątka są skądinąd dość pretensjonalni – na przykład narrator pierwszej części „Bagna”, architekt, który

zraża do siebie powtarzanymi w kółko dygresjami o Bogu i jedzeniu. Kompletnie niewiarygodny wydaje się wachlarz jego znajomości. Kiedy dręczy go problem teologiczny, natychmiast znajduje się znajomy ksiądz, problem kryminalny – pojawia się znajomy policjant, historyczny – proszę bardzo, od razu wyjaśnia go znajomy archeolog.

„Bagno” nie spełnia podstawowych wymogów powieści kryminalnej. Zwłaszcza gdy wnioski końcowe każdego ze składających się na nią utworów nie dają wcale tych samych wyjaśnień zagadek. Powstaje więc kilka zaskakujących, równoległych zakończeń. Czym zatem jest „Bagno”? Bliżej mu będzie do postmodernistycznego „Miasteczka Twin Peaks” Lyncha niż do milicyjnych kryminałów. A zatem jest po prostu literacką fantazją, opowieścią snutą dla samej przyjemności tworzenia fikcji. Piątek daje czytelnikowi do zrozumienia, że choć realia są prawdziwe do bólu (jedyna to chyba współczesna powieść, z której można się dowiedzieć, że kajzerka kosztuje 20 groszy), to pisarz po prostu zaprasza nas do swojej gry. Choć skażonej jego fascynacją złem, to w gruncie rzeczy całkiem niewinnej w porównaniu z grami jego bohaterów. Ci dopiero się bawią – niczym pionki strącają z planszy ludzkie byty. I takie „Bagno” wciąga!

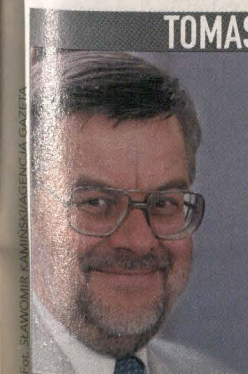


TOMASZ PIĄTEK „BAGNO”, Czarne, Wołowiec 2004

TOMASZ NAŁĘCZ PRZECZYTAŁ...

„Narrenturm” Andrzeja Sapkowskiego

Książkę „Wieża głupców” Sapkowskiego przechwyciłem od syna. Jestem pod wielkim wrażeniem tej powieści i z niecierpliwością czekam na ciąg dalszy. Bo przecież opowiedziana historia nie ma zakończenia. Najbardziej podobał mi się opis XV-wiecznego Śląska. Widać, że autor ma gruntowną wiedzę na temat tej epoki, ciekawie pokazuje mentalność ówczesnych ludzi. Świat średniowiecza wypełniają potwory, czarownice, dużo w nim magii. Jednocześnie znalazłem sporo odwołań do współczesności. Czasami miałem wręcz wrażenie, jakbym czytał o obecnej sytuacji w Polsce.



Fot. SŁAWOMIR KAMIŃSKI/AGENCJA GAZETA



ZYDOKOT

Polscy licealiści nagrodzili komiks o tym, jak domowy kot chce zostać świadomym wyznawcą religii mojżeszowej

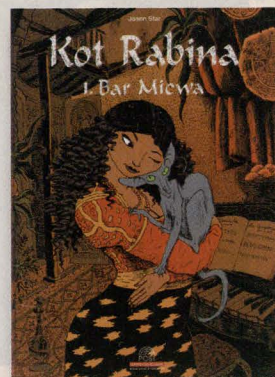
SCENARIUSZ I RYSUNKI
JOANN SFAR
„KOT RABINA 1. BAR MICWA”,
POST, KRAKÓW 2004

Licealiści uczęszczający w Polsce do szkół z rozszerzonym francuskim co roku przyznają wyróżnienie jednemu francuskojęzycznemu komiksowi – jest to nieoficjalny odpowiednik znanej w Europie nagrody Alph'Art. W zeszłym roku dostała się ona „Kotu Rabina”.

W opowiadaniu amerykańskiego pisarza Bernarda Malamuda (1914–1986) nowojorskiego sprze-

dawcę mrozonek Harry'ego Cohena odwiedza czarny ptasior mówiący ludzkim językiem. Oświadcza, że jest żydoptakiem (o nazwisku Schwarz), który ucieka przed antysemitami, i jako prawdziwy wyznawca judaizmu zaraz zaczyna gorliwie się modlić. Nie podejrzewałbym francuskiego komiksiarza Joannę Sfarę o zapatrzenie się w utwór Malamuda (pod tytułem „Żydo-

KOLUMNIA OPRACOWAŁ
PAWEŁ DUNIN-WĄSOWICZ



ptak” ukazał się zresztą u nas kilkanaście lat temu wybór jego opowiadań – zbieg okoliczności jest jednak intrygujący. Akcja komiksu rozgrywa się jakieś sto lat temu wśród sfałdowanych Żydów w nienazwanym mieście nad Morzem Śródziemnym, zamieszkałym także przez Arabów – a więc może w Maroku, a może w Algierii. Tytułowy „Kot Rabina”, od kiedy posiadał umiejętność mówienia (skądinąd w nieczytelny sposób – pożarł papugę), uważa się za wyznawcę religii mojżeszowej i domaga się od swego pana wprowadzenia w żydowską społeczność na równi z innymi młodzieńcami, którzy po uroczystości bar micwy mają zostać uznani za dojrzałych mężczyzn. Więcej – kot chce nawet studiować kabałę!

Aby do tego doszło, kot poznaje arkana judaizmu w niekończących się talmudycznych sporach o interpretację zapisów Pisma. Czy dotyczą one tylko Żydów? Sprawy, o których dyskutują kot i jego rabin, są chyba ogólnoludzkimi problemami. Jakże inaczej wytłumaczyć bowiem fakt nagrodzenia tej opowieści w kraju, w którym antysemityzm wysysa się ponoć z mlekiem matki?

Miejmy nadzieję, że w następnych odcinkach kot z komiksu Sfary nie podzieli losu Schwarza wyrzuconego w końcu po uciążliwych kłótniach przez Cohena i zamęczonego na śmierć na ulicy – ponoć przez antysemitów. Zdumiewające, że nie brakowało ich w demokratycznym Nowym Jorku, podczas gdy w mieście z komiksu Sfara panuje etniczna harmonia i problem ten nie pojawia się w ogóle. Jest jak w dobrej baśni, czemu służą piękne rysunki wprowadzające błogi nastrój nieczym z książki dla dzieci.



SZARO-CZERWONY KRYMINAŁ



SCENARIUSZ
JERZY SZYŁAK,
RYSUNKI
ROBERT SZUŁCZYŃSKI
„BENEK DAMPC
I TRUP SASIADA”,
MANDRAGORA,
WROCŁAW 2003

Najaktywniejszy polski badacz komiksu przeżywa ostatnio eksplozję twórczą jako scenarzysta. Dopiero pisaliśmy o jego rewelacyjnej „Szmince” (rys. Joanna Karpowicz), gdzie straszy jego erotyczny „Obywatel w pałacej potrzebie” (rys. Jacek Michalski), a tu nagle z kolejnym rysownikiem Szyłak pojawia się jako autor pierwszego odcinka nowego cyklu kryminalnego. Trudno jednak powiedzieć, żeby Benek Dampc był godnym następcą kapitana Żbika. Ten uzależniony od alkoholu prywatny detektyw jest raczej wyjątkowym pechowcem, któremu jedynie dzięki nieprawdopodobnemu szczęściu udaje się wyjść z łańcucha opresji. Krew leje się przy tym obficie, a czerwony to jedyny – oprócz odcieni szarości – uznawany przez Szułczyńskiego kolor. Oczywiście policjanci nie trzymają się litery prawa, zaś mordercy są okrutni. Groteska, jasne, ale czy naprawdę zabawna? Śmiejmy się. Miłośnikom jatek i juchy powinno się spodobać.

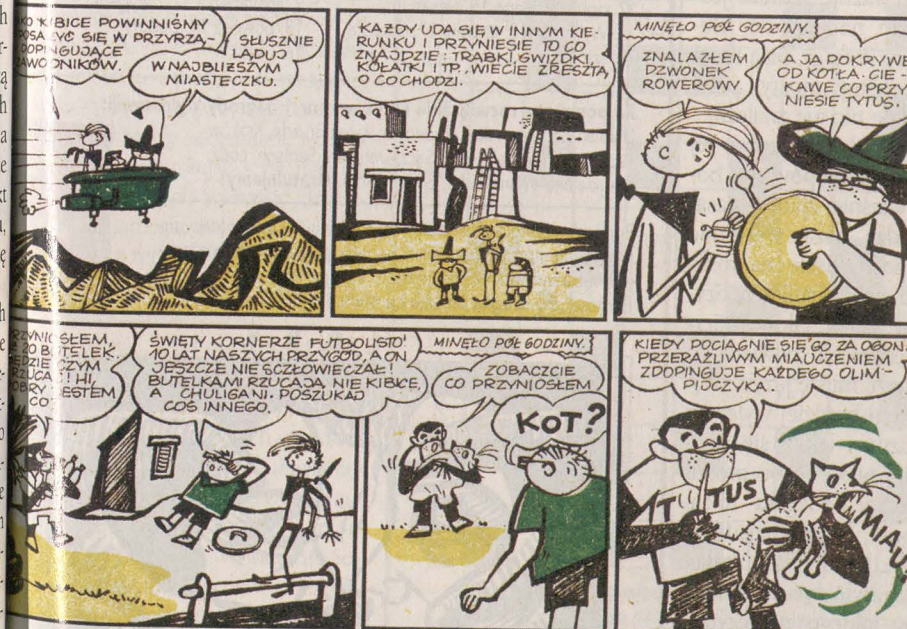


SCENARIUSZ I RYSUNKI
RYSZARD DĄBROWSKI
„REDAKTOR SZWĘDAK,
CZYLI SZTUKA
WYWIADU”,
KULTURA GNIEWU,
WARSZAWA 2003

BUC Z MIKROFONEM

Ryszard Dąbrowski zasłynął jako twórca anarchistycznego „Likwidatora”. Oprócz niego drukuje od pewnego czasu w magazynie „Produkt” drugi czarno-biały cykl komiksowy – właśnie „Redaktora Szwedaka”, który doczekał się także edycji w postaci książeczki. Nie ma co owijać w bawełnę – tytułowy redaktor Szwedak to kompletny buc. Stanowi on modelowy przykład niekompetentnego reportera pchającego się na chłama ze swoim mikrofonem, słusznie zbierającego bęcki (tu najczęściej Dąbrowski rysuje czarny kadr z napisem „Sceny drastyczne – autocenzura autora”) za głupotę, lecz tak głupiego, że niewyciągającego wniosków ze swoich idiotycznych pytań. Wśród jego rozmówców odnaleźć można gangsterów, terrorystów, prezydenta G.W. Busha i rockowy zespół Cool Kids Of Death (a w jego składzie rysowników komiksów: Ostrowskiego i Frąsja), skądinąd wykpiomy ich własnymi słowami. Wyrafinowane to może nie jest, ale co najmniej akuratne.

TYTUSOWE REMANENTY



SCENARIUSZ I RYSUNKI PAPCIO CHMIEL
(HENRYK JERZY CHMIELEWSKI)
„TYTUS ROMEK I A'TOMEK. KSIĘGA 80-LECIA”,
EGMONT POLSKA, WARSZAWA 2003

Dla zaprzysięgłych fanów „Tytusa...” nie łąda gratka, choć dla tych, którzy go nie znają – rzecz mało pożyteczna. W zeszłym roku Henryk Jerzy Chmielewski zwany Papciem Chmiel ukończył 80 lat. Obecny wydawca najdłużej ukazującego się polskiego cyklu komiksowego uczcił ten jubileusz albumem zbierającym rarytasy „Tytusa Romka i A'Tomka” nigdy wcześniej niedrukowane w wydaniu książkowym. Najważniejsze komiksy z lat 50. i 60. ze „Świata Młodych” zebrano już co prawda dwa lata temu w „Księdze zero”, nazbierało się jednak sporo materiału wówczas pominiętego.

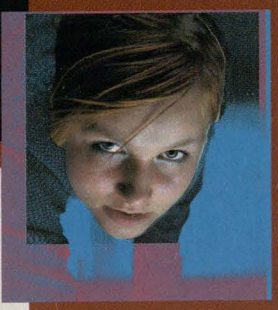
„Księga 80-lecia” nie tylko dokumentuje ewolucję rysunkową bohaterów, lecz przede wszystkim pokazuje korzenie wątków adaptowanych potem do wydań książkowych. Tak więc kopalnia zegarków pierwotnie była nie przedsiębiorstwem kapitalistycznym (jak w pamiętnej kowbojskiej „Księdze IX”), lecz spółdzielnią. Wyprawa wannolotem na olimpiadę w Meksyku w 1968 roku została zaś rozbita w książeczkach na dwie osobne historie („Księga V” – wannolotem dookoła świata – oraz olimpijska „Księga VI”).

Dla starszych fanów to skarb, odradzałbym jednak „Księgę 80-lecia” jako pierwszy kontakt z „Tytusem Romkiem i A'Tomkiem” najmłodszemu pokoleniu – dołączone na końcu komiksy reklamowe z lat 90. (oraz frywolne paski) nie tylko mogą zamącić w głowie, lecz także zniechęcić do bohaterów wykreowanych przez Papcia Chmiela, wykorzystywanych tu w celach ewidentnie merkantylnych.

Dziennik z krainy PAZŁOTKA

DOROTA MASŁOWSKA

Kserobojka



FOT. BOGDAN KRZEL

Kiedy wydawnictwo Prószyński i Spółka pod wpływem mody na wstrząsające powieści o amfetaminie zaczęło się w Trójmieście zdecydowało się już wydać książkę Doroty Szczepańskiej „Zakazane po legalu”, naprawdę dobrym pociąganiem marketingowym mogło być ukrywanie jej przede mną, żebym jej nigdy nie przeczytała, nie wspominając, jak pozytywnie wpłynęłoby to na moje samopoczucie. Te 260 stron naprawdę mnie poraziło i nie mogę poradzić sobie ze świadomością, że to „Wojna polsko-ruska...” stała się matrycą do produkcji takich rozpaczliwie tanich gniotów.

Jak wiadomo, mówienie masłem to podstawa lansu, więc bohaterowie usilnie posługują się makabrycznym wyobrażeniem autorki o tym, jak powinno się teraz pisać popularne i dobrze sprzedające się książki. Jest to kombinacja zacieklego szyku przestawnego, wulgaryzmów, powtórzeń i dodatków staro-cerkiewno-słowiańskich w rodzaju „dalibóg”, „prze-bóg”, „jako żywo” i „Boże chorony”. To było niekorzystne, że ktoś uznał za tak bezpretensjonalne prawa, którymi rządził się język „Wojny...”. Są nawet wyrażone przez bohaterkę poglądy i z góry czuje się, że są one słuszne. „I walczyły dwa demony – pisze Dorota Szczepańska – jeden szwabski, drugi ruski. Który był koniec końców mocniejszy, każdy wie”. Raz po raz trafiamy na różne akty prawdy obiektywnej: „Cały naród, narody oglądają. No i co taki przeciętny oglądaczy robi? Wierzyć zaczyna, się ekscytować. (...) Jak każą, sąsiada swojego zza miedzy zakatrupi, bo się nagle okaże, że on innowierca, a może i z innego narodu, rasy pochodzi. (...) Dzieciobójstwo, ludobójstwo, eksterminacja, holokaust, czystki etniczne”. Bardzo przepra-

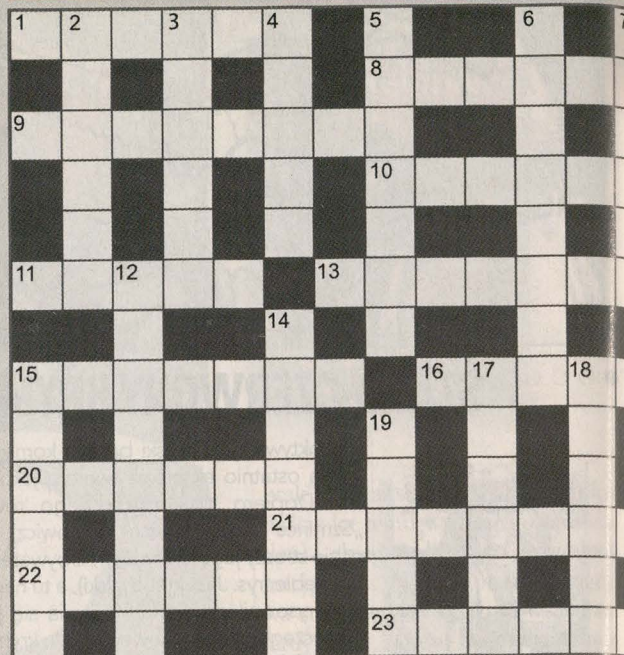
szam, ale to jest raczej firmy ADIDAS z pięcioma paskami.

Książka polecana jest jako tylko dla dorosłych. Obiecywany przez wydawnictwo wstrząs mogą jednak chyba przeżyć wyłącznie szesnastolatki, które marzą wieczorami o rzu- ceniu się w wir jakiegoś spektakularnego nałogu. Bohaterowie książki są tak fajnymi ludźmi, jakimi każdy chce być. Tryskają seksem i są przeciwko policji, która nie jest dobra. Ładnie pachnie im z ust. Lubią fajną muzykę Prodigy. O takim życiu onanizują się licealiści. Szpony nałogu. My, dzieci z dworca Sopot Kamien- ny Potok. Nawet obiecywana super- brutalność jest sfingowana i tania. Długie ustępy na temat seksu to podrasowane echa lektury „Cosmo- politana”. Bohaterowie nawet srają, ale każdy barwny, szokujący opis defekacji („Sram i sram”) poparty jest stwierdzeniem: „Po szuwaksie to normalne”. Przeważnie jednak jeżdżą samochodem na imprezę, słuchają fajnej muzy Prodigy, palą blanty, mówią inteligentne riposty i przyjechała policja, ale nic nie znaleźli.

Na koniec, aby ukazać potęgę tej literatury, przytoczę wypowiedź bohatera, który właśnie zjadł kwas: „No kurczę, widzę, jak te wszystkie wzory na ścianach, liście na roślinach i nadruki na koszulkach ożywały! (...)”. Jest to tak, jakby śmiertelnie pijany człowiek powiedział: „Kurczę fix, płacze mi się język, więc mówię, jestem bardziej wylewny oraz spontaniczny i lekko się zataczam!”. Wydaje mi się to po prostu straszne. „Zakazane po legalu” to zawstydzająca, bura, jałowa bajaderka z takimi właśnie kamiennymi bakali- ami. Nie warto było żyć 20 lat, że- by potem coś takiego przeczytać. Czego Państwu nie życzę. ■

www.przekroj.pl/maslowska

KRZYŻÓWKA nr 6



POZIOMO:

1. POSINIACZONY LEN
8. CZTEREJ PANCERNI I PIES
9. NAJCIEMNIEJSZE ŚWIATŁO
10. DŁUGOPIES
11. JEDNOSTKA CHAMA
13. C CENNE
15. POZĄTKUJĄCY MILIONER

16. ODLEPIŁO SIĘ

20. ROBI DYM
21. WALEC NA RONDZIE
22. W KIELICHU
23. DZIECKO KRABA

PIONOWO:

2. WARSZTAT DUDKA
3. FALISTA
4. MASZ TO JAK W BANKU

5. GORĄCEJ WOJY

6. NIEZNANY
7. WRRRRRRRRR
12. RĘCZNY CHŁODNIK
14. LAS, KTÓRY NIE TRZYMA
15. INNA FALISTA
17. PRZED PALNIKIEM
18. KOCIA WYGÓDKA
19. ŚWIĘTY TURECKI

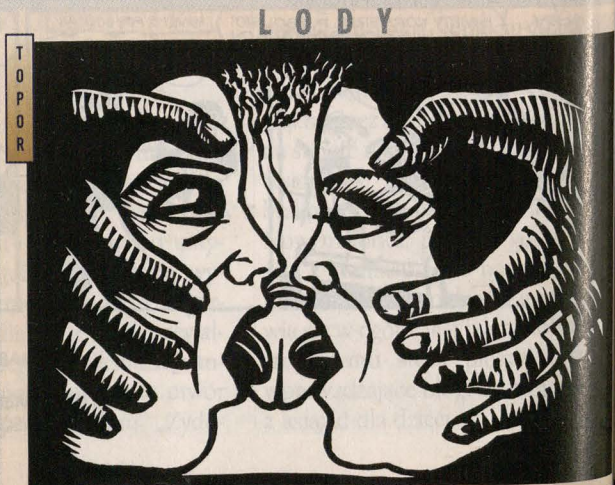
Rozwiązanie krzyżówki nr 3:

- Poziomo:** 1. powrót 7. wdowiec 8. kraksa 10. nazwisko 11. szkielec 12. doba 13. papa 15. akwrium 17. Wybrzeże 18. chemia 19. dorozka 20. sztuka
- Pionowo:** 2. obręcz 3. rękawica 4. odrzutowiec 5. wiosło 6. ochota 9. analfabeta 12. dyrygent 13. powódz 14. pobory 16. uścisk

Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 1 nagrody wylosowali:

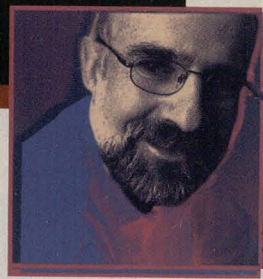
Damian Boguszewski, Legionowo; Jacek Bruzda, Kraków; Wojciech Opyrchal, Nowy Sącz; Dagmara Samson, Łódź; Magdalena Wiśniewska, Świnoujście. **Gratulujemy!**

Pomiędzy Czytelników, którzy do niedzieli 15 lutego (decyduje data stempla pocztowego) nadesłali poprawne rozwiązanie jolki lub krzyżówki, rozlosujemy 10 egzemplarzy książki Juliana Barnesy „Po drugiej stronie La Manche” (Prószyński i S-ka.).



W I N N Y

BIEŃCZYK



MAREK BIEŃCZYK

Sophie smutną ma twarz

Dzisiaj raz jeszcze wracam do trendów w świecie wina, bo obraz Sophie Marceau, zwłaszcza w tym różowym golfie, nie daje mi spokoju. Sophie siedzącej przed laty w kinie Bajka i uprzejmie odpowiadającej na moje pytanie o urodę Warszawy; Sophie ze smutną twarzą, znużonej koktajlem po polskiej premierze jej filmu i szukającej ukrycia w opustoszałej sali kinowej, do której wpełchały mnie moje studentki pragnące przetestować moją odwagę i wdzięk w realu, czyli w prawdziwym życiu. – No i co? – spytały ciekawie, gdy wróciłem na bankiet. – Nic – odpowiedziałem szczerze. – Nie było o czym gadać. – Co sądzi o Prouście? – powiedział, bo akurat czytaliśmy na zajęciach Prousta. – Fakt, zapomniałem!

Cóż, dzisiaj wiedziałbym, o czym gadać. O winie!

Anglicy i Polacy mówią, że coś jest *trendy*, Francuzi mówią, że coś jest *tendance*. Anglicy mówią *people*, Francuzi mówią *les people*. *Les people* to gwiazdy filmu, telewizji, mody, sportu, kuchni i paru innych dziedzin interesujących konsumentów bardziej niż ich własne życie. *Les people* to ludzie, którzy zasłużyli talentem i pracą (lub występem w reality show) na swój wizerunek i teraz go sprzedają za mamonę i dobra materialne. Spryskując szyję najnowszymi perfumami, wsiadając do eleganckich samochodów, opasując przegiętym złotym zegarkiem, a nawet popijając kieliszek wina. Sophie Marceau należała do *les people*.

Dla zdjęcia, które mam przed sobą, Marceau już nie w golfie, ale w czarnej sukni na ramiączkach, ściska dłoń Alberta de Monaco na oczach uradowanego dyrektora firmy jubilerskiej Chaumet. Nie tylko wszak klejnoty pastują do Sophie. Jak szeroko informowała o tym prasa, we wrześniu Sophie zapalała miłością do wina. Notki prasowe brzmiały mniej więcej tak: „19 września. Château Léoville Poyferré w Saint Julien poprosił Sophie Marceau, by została matką chrzestną zbiorów 2003. Dla aktorki, która od-



Château Léoville Poyferré w Saint Julien, wybitna posiadłość, której matką chrzestną została Sophie Marceau

kryła w sobie namiętność do win z Bordeaux, jest to wielka winna premiera. Jej wizyta w château sprawiła ogromną radość właścicielowi, panu Lavelier, który mógł w dwójnasób świętować udane zbiory”.

Jeszcze do niedawna główny nurt reklamy wina prowadził w głąbie tradycji, by wydobyć związki wina z ziemią i ludzką pracą. Na mojej ulubionej fotografii z tego nurtu widnieje para starszuchów, ledwie trzymająca się na wykrzywionych nogach i uśmiechająca się spod zmarszczek głębokich jak krater na Marsie. Podpis głosi: „Pan i pa-

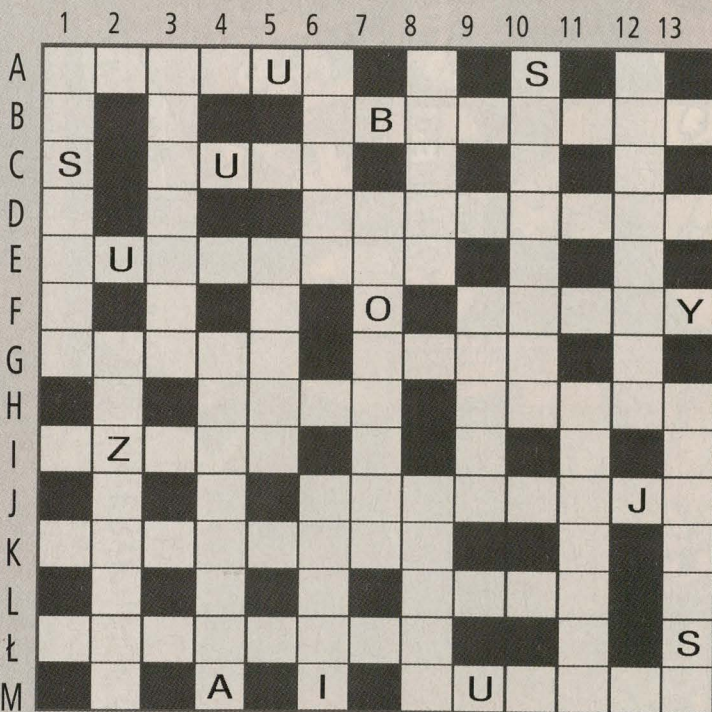
ni Dupont zbierają winogrona w château Troplong Mondot od 50 lat”. Dzisiaj reklama wina się zmienia, wzywa na pomoc *les people* w poczuć, że i tak najważniejsza jest światowa oprawa. Przy ostatnich zbiorach w Bordeaux swe buzie wystawiały znad krzaków jeszcze inne gwiazdy, a głośnym echem w Paryżu odbił się zorganizowany w medialnej knajpie Alcazar wieczór „Noc roczników Leclerca”, na którym takie sławy jak Emmanuelle Béart kosztowały najlepsze butelki z oferty tej sieci, czego dowodem były liczne reportaże w tzw. *presse people*. W zamian za tak miłą degustację Emmanuelle i inni otrzymali skrzynki wybitnych win, co w pisaćemu to słowa wzbudza zazdrość i tęsknotę za czymś pięknym i niewinnym. Na przykład za obrazem smutnej Sophie Marceau w różowym golfie w kinie Bajka. Tak, to była całkiem inna bajka. ■

www.przekroj.pl/bienczyk

JOLKA nr 6

OKREŚLENIA PODANO W INNYM SZYKU NIŻ KOLEJNOŚĆ WYRAZÓW W DIAGRAMIE. PO WYPEŁNIENIU DIAGRAMU NALEŻY ROZSZYFROWAĆ NASTĘPUJĄCE HASŁO:

M8 - B6 - E7 - A3 - G8 - M10 - L2 - E1 - L10 - K3 - G3 / M13 - L6 - J10 - B8 / I1 - D1 - L1 - H4 - B3.



WYRAZY 8-LITEROWE:

- tace ustalają
- splamione gryzie
- późne stadium mekki
- operacja psuja
- ogórki kwaszone po rozkwaszeniu
- monodram pobitego aktora
- dzwonek, którego nie słychać
- miejsce, którego nie ma bez kołców
- makijaż ołtarza
- biedny w Unii z każdym się liczy
- „poważny” listopadowiec

WYRAZY 7-LITEROWE:

- uczeń przez tydzień
- nie każdy z ogrodnika ojczyzna czyni
- na rogatkach Borów
- podniebienny koneser

WYRAZY 6-LITEROWE:

- segedynski drobnicowiec nie dla wegetarian

WYRAZY 5-LITEROWE:

- roślina z propozycją pozycji
- ręce do góry
- w głowie Murzynkowi Bambo
- mig się wyrwał
- ofiara cichej wody
- dzianina na zorze
- oddech jeziora
- pupilkowie kary
- Samuel na 6 kresiek i 6 kropek
- pramateria w niewładzie

WYRAZY 4-LITEROWE:

- w Towarzystwie Marshalla i Salomona
- nieprawdy mebel
- godzina inicjatorów
- czy robi minę uprzejmą w okolicach Hajnówki?

Za poprawne rozwiązanie jolki nr 1 nagrody wylosowali: Edward Kwiecień, Kraków; Ewa Malesa, Warszawa; Tadeusz Mysiek, Kraków; Paweł Pawłowski, Poznań; Izabela Wyrwicz, Poznań. **Gratulujemy!**

Uzupełnienie: Tydzień temu zamieściliśmy rozwiązanie krzyżówki i jolki, nie pisząc, że dotyczyły 2. numeru „Przekroju”. Hasło jolki nr 2 brzmiało: **OBSERWATORIUM ASTRONOMICZNE W FORCIE SKAŁA. Przepraszamy.**

Nasz adres: „Przekrój”, ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa, z dopiskiem Jolka 6 lub Krzyżówka 6

Z głowy...
Krzysztof Bilicy
Na odludziu
i odludek
człowiek.

PRZYGODY STAJĄCĄWA ZŁODZI

NA KONIEC PASE-
GO SERWISU
DOBRA i
WIADOMOŚĆ.

POLSKA FABRYKA
BŁĘDNE PRODUKOWAĆ
NAJNOWOCZESNIEJ-
SZY POĆISK
PANCERNY.

PRZEBIJAŁO CZYBY PAKIET
WĘPNĄTRZ CZOŁEŁU PO-
WODUJE GWĄTOWY
WZROST TEMPE-
RATURY I CIŚNIE-
NIA, WARTOŚĆ
ZABIAJA
ZACOF

ALTRUIKI

Wizerunek popraw posła,
Sam udawaj w Sejmie osła.

Bezkrytycznie kochaj ZUS,
(Bo bez ZUS-u ani rus!).

Elastycznym bądź! W tym rzecz:
Sam ubezpiecz się. Sam lecz.

A fiskusa wspieraj skrycie:
Rąbnij się w ostatnim Picie.

DOROTY POTOCKIEJ

Spójrz, jak trudzi się Łybacka,
Sam konceptem rzuć znieńska.

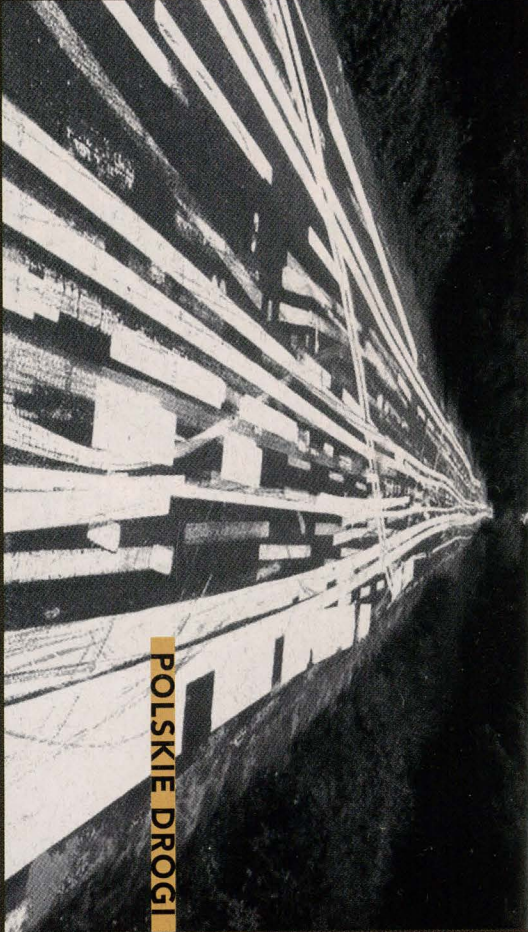
By bankowiec wciąż był syty,
Bierz i bierz, i bierz kredyty.

Kanarowi podaj rękę (czyt. łapę),
Autobusem jedź na gapę.

Bezrobocie zmniejsz, po prostu,
Skocz do Wisły prosto z mostu.

BAKU BRZOSKI

Kierowca Stara
Kierowca się stara
Tak jak tylko może
Ale star już nie może
Taka to historia stara
Dariusz Brzóska Brzósław



POLSKIE DROGI

KINOTEATRZYK PRZEMKA JURKA MELODRAMAT WZORCOWY

Występują:

KOBIETA

MĘŻCZYZNA

KOBIETA:

*To są nasze
miłość*

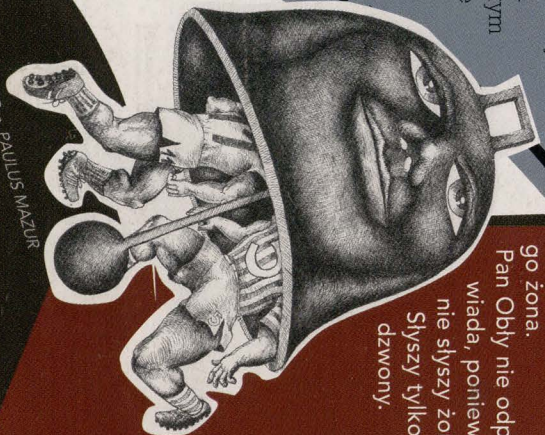
– Pozornie nie jestem atrakcyjna, ale to tylko z powodu przepracowania i irracjonalnych kompleksów, które nie pozwalały mi przemoc się i porozmawiać z tobą, o tak, jakby nigdy nie, o wysłonym pracowniku biurowej administracji i zadowolonej wyższego szczebla. Poza tym mam piękne wnętrze i interesuje się poezją.

MĘŻCZYZNA:

– Ach, przeczyście. Zdałem się, że całe życie na ciebie czekałem. Pójść w me ramiona.

Muzyka klasyczna, szum morza, śpiew płaków, w le piesz z „Timesem” w dysku.

THE END/KURTYNA



Rys. PAULUS MAZUR

Rodzina Obłych

Dzwony
Pattyk Pajak

Wieczorem pan Obły ogląda w telewizji atrakcyjny mecz piłkarski. Obydwie drużyny traktują mecz bardzo poważnie i nieustannie kontratakują. W pewnym momencie na stadionie rozlega się dzwony. Piłkarze przerywają grę i przyjaźnie się obejmują. Niektórzy wręczają sobie skromne podarki. Pan Obły patrzy na to politycznie.

– Słabo grają? – pyta go żona. Pan Obły nie odpowiada, ponieważ nie słyszy żony. Słyszy tylko dzwony.

A tak naprawdę – są jedynym: długowieczny gad i świątynia – w doskonałej skorupie Katedry pełznie życie po grobach z karnienia. Osowa, 8.05.2003

MYŚL

Należy skończyć z lenistwem szyn między przejazdami pociągów.
Marcel Duchamp

Jacek Kaczmarski

Antoni Pawlakowi

Zwiedzając Katedrę chwacko, dziecko zgubiło żółwia. Zaowocowało to sytuacją, którą przedstawiam tu ja.

Pełnie zółw po plytach nagrobnych, po marmurze szorują pazury. Żalobne to szmery, żalobne, milczą wierni, milczą marmury.

Pochowani palaci, kancelarze także milczą, z oczyszczonych powodów, przynięceni zółwim pancernem, patrzący na żółwia spod spodu.

Po rzeźbionych herbach, inskrypcjach, zatarzonych na kształt karek z bajki, podąża ta popielniczka, grzebień, szylker, usznik do fajki.

I podnosi swój łeb pomarszczony – intruz, zwierzę, zupa żółwiowa – na kamiennych ścian niebosłony; w których Wszechświat się zaczął od Słowa...

Najwyraźniej i on Raj utracił, skoro ludzie z Raju wygnani. Placi za nich, niewinnie placi, żywy Syzyl (Notabene – pogani).